# KULTURA

*Szkice • Opowiadania • Sprawozdania*

PARYŻ Nr 11/145 1959




*• « La Culture » • Revue mensuelle •*

. MIEROSZEWSKI : **W MATNI KOEGZYSTENCJI**

Cz. MIŁOSZ : **LIST DO POLSKICH KOMUNISTÓW**

A. BOBKOWSKI : **CZARNY PIASEK**

# SPIS RZECZY



## KRAJ



## ARCHIWUM POLITYCZNE



## NAJNOWSZA HISTORIA POLSKI



## KRONIKA KULTURALNA



## KSIĄŻKI













# KULTURA

*Szkice • Opowiadania • Sprawozdania*

PARYŻ Listopad – Novembre 1959

INSTYTUT  LITERACKI

## DALSZE WPŁATY NA DOM " KULTURY "

| | |
|---|---|
| A.J. Kruszyński, Holstebro (Szwecja) .................... | 900 frs |
| Władysław Szul, Elizabeth, N.J. (USA) ponownie ........ | 2.500 ,, |
| Henryk Landowski, Tripoli (Libia) ...................... | 2.500 ,, |
| Ryszard Fiks, Chicago, Ill. (USA) ...................... | 1.000 ,, |

DZIĘKUJEMY



Imprimé en France.

# W matni koegzystencji

Chruszczow nie jest żadnym teoretykiem, ale nawet z jego wypowiedzi widać jasno, że *nie istnieje* koegzystencyjna doktryna komunistyczna. Premier sowiecki w tym samym przemówieniu deklamuje o pokoju i o ,,pogrzebie Ameryki'' wraz z całym kapitalistycznym światem. Wyszkolony komunista musi sobie zdawać sprawę z antagonistycznych sprzeczności jakie zachodzą pomiędzy doktryną komunistyczną a teorią pokojowej koegzystencji z kapitalizmem. Żaden system zamknięty, jak komunizm czy katolicyzm, nie może uprawiać polityki koegzystencji. W Anglii pomiędzy kościołem katolickim a kościołem anglikańskim istnieje wzajemna tolerancja ale nie koegzystencja. Kościół rzymski jest w ofensywie i każdej niedzieli katolicy modlą się w swych kościołach o nawrócenie Anglii. I choć po ludzku sądząc cel ten wydaje się równie odległy jak komunistyczne millenium — kościół katolicki jak długo będzie kościołem katolickim nie może postępować inaczej. Gdyby kościół rzymski zrezygnował z misji zdobycia wszystkich ludów świata dla swojej wiary przestałby być kościołem katolickim.

Dla Chruszczowa, który niewątpliwie jest przekonanym komunistą, przywódcy amerykańskich związków zawodowych są ,,lokajami i sługusami kapitalistów''. Wielogodzinną rozmowę z działaczami związkowymi zakończył Chruszczow oświadczeniem : ,,nasze systemy są absolutnie nie do pogodzenia''.

Święta prawda — ale jak mają koegzystować ze sobą dwa systemy ,,absolutnie nie do pogodzenia'' ?

Czy to oznacza, że koegzystencja jest utopią i zbliżamy się ku wojnie?

W moim przekonaniu nie zbliżamy się ku wojnie. Koegzystencja nie jest żadną doktryną ani polityczną teorią — jest tylko stanem faktycznym narzuconym obu stronom. Obie

strony muszą ze sobą współżyć ponieważ nie mogą ze sobą walczyć. Nie mogą ze sobą walczyć ponieważ są spętane strachem przed katastrofą atomową.

Ale istota zagadnienia leży gdzie indziej. Demokracja amerykańska nie jest totalnym systemem zamkniętym. Amerykanie nie zobowiązali się ani przed sobą ani przed światem do zamerykanizowania wszystkich ludów ziemi. Dlatego system amerykański bez popadania w wewnętrzne sprzeczności może koegzystować z komunizmem, z dyktaturą faszystowską czy z ustrojem monarchicznym. Ale dla Sowietów koegzystencja oznacza odejście od doktryny i ustawiczne wikłanie się w sprzecznościach. Przez najbliższych kilka lat czystości oblicza doktryny można bronić teorią, że koegzystencja jest de facto tylko czasową zmianą taktyki. Ale jeżeli przez najbliższe lata wojny światowej nie będzie — koegzystencja doprowadzi do bankructwa wiele podstawowych tez komunizmu. Okaże się w pierwszym rzędzie, że na drodze pokojowej nie można pozyskać świata dla idei komunistycznej ani doprowadzić do upadku systemu kapitalistycznego. I wówczas jeżeli komuniści zechcą wydobyć swój system z matni sprzeczności będą musieli swe doktrynalne założenia poddać daleko idącej rewizji. Ci, którzy pogrzebali rewizjonistów i rewizjonizm nieco się pospieszyli.

W sumie należy stwierdzić, że koegzystencja niesie z sobą daleko więcej niebezpieczeństw dla komunizmu niż dla kapitalizmu. Jeżeli bowiem do wojny światowej nie dojdzie — koegzystencja stanie się nieuchronnie grobem komunistycznej utopii. Ludzkość nie tylko nie będzie mówiła wspólnym językiem — co przepowiadali sowieccy „językoznawcy", ale zawiodą również i inne, mniej poetyczne marzenia komunistycznych teoretyków. Stanie się jasne ponad wszelką wątpliwość nawet i dla ludzi w Moskwie — że robotnicy najbardziej uprzemysłowionych krajów świata wyrośli raz i na zawsze z utopijnego marksizmu. Ustrój komunistyczny tym krajom można by jedynie narzucić siłą. Premier Chruszczow „grzebiąc amerykański kapitalizm" i równocześnie rezygnując „na wieki" z użycia siły przypomina do złudzenia niektórych polityków z Bonn, którzy łudzą Niemców rewizją granicy na Odrze i Nysie rezygnując równocześnie uroczyście z użycia siły. Perspektywy skomunizowania Ameryki na drodze pokojowej są równie realne jak pokojowa rewizja granicy na Odrze i Nysie.

Gdyby sekwens wydarzeń historycznych był inny — gdyby nie Stany Zjednoczone, lecz Rosja była ojczyzną pierwszej bomby atomowej — wówczas istniałaby możliwość narzucenia światu doktryny komunistycznej. Lecz w sytuacji jaka wytworzyła się obecnie, bomba atomowa gra przeciwko rewolucji komunistycznej. Chruszczow powtarzając... pokój, pokój, pokój, nie zdaje sobie sprawy, że skreślenie wojny z rejestru instrumentów polityki, na dłuższą metę pozbawia komunizm charakteru rewolucyjnego. Z chwilą gdy bagnety armii czer-

wonej przestają być nosicielami rewolucji — epoka rewolucyjnego komunizmu przechodzi do historii. Pozostaje tylko nadzieja na ewolucję — czyli na pokojowe przekształcenie społeczeństw świata po liniach sowieckiego modelu. Podtrzymywać wiarę w tak absurdalną utopię można tylko w całkowitym oderwaniu się od rzeczywistości.

Przywódcy sowieccy są więźniami swojej ideologii. Denis Healey, który towarzyszył przywódcom Labour Party w ich niedawnej podróży po Rosji — opisał na łamach ,,The Observer'' wielogodzinne dyskusje z Chruszczowem. Chruszczow — między innymi — nie mógł zrozumieć dlaczego Labour Party przegrała wybory w roku 1951. Premier sowiecki rozumował następująco: jeżeli Labour Party istotnie reprezentuje klasę robotniczą to nie mogła przegrać wyborów bo cały brytyjski świat pracy na nią głosował. Jeżeli jednak przegrała wybory to mogło to nastąpić tylko na skutek zdrady, tzn. tajnego układu pomiędzy Labour Party a konserwatystami. Chruszczow wręcz odrzuca jako absurd znany powszechnie fakt, że w Anglii istnieją robotnicy, którzy głosują na konserwatystów.

Takich przykładów można by cytować dziesiątki. Owe ,,ideologiczne więzienie'' to nie jest tylko kwestia cenzury, zakazów i prohibitów. Dla Chruszczowa nie istnieją przepisy cenzury i wszystkie informacje są dla niego dostępne. Jeżeli jednak jakiś fakt obiektywnie sprawdzalny nie mieści się w ramach doktrynalnego poglądu Chruszczow odrzuca go jako absurd. Komunistyczni intelektualiści biorą te sprawy znacznie mniej dramatycznie. Lecz starzy zawodowi komuniści typu Chruszczowa lub Gomułki — utracili zdolność konfrontowania swoich poglądów z nowymi faktami i nowymi informacjami.

Lecz niemniej przecież sprawa jest przesądzona. Skłonny jestem przypuszczać, że na dnie duszy nawet Chruszczow wyczuwa niejasno, iż rozwój sytuacji historycznej odbiega coraz dalej od litery klasycznych tekstów marksizmu-leninizmu. Z chwilą gdy stało się oczywiste, że ani w Anglii ani w Ameryce klasa robotnicza nie podejmie haseł komunistycznych — jedyną nadzieją rewolucji mogła być tylko zwycięska wojna. Rezygnując z wojny jako narzędzia rewolucji — komuniści rezygnują w gruncie rzeczy z rewolucji światowej i akceptują stałe współistnienie różnych systemów społeczno-politycznych. Wszystkie slogany o pokojowej ewolucji ku komunizmowi — hasła pokojowej przyjaznej koegzystencji z kapitalizmem itp. — są herezją. Żaden z klasyków marksizmu nie mówił bowiem nigdy o ewolucji tylko o rewolucji. W pismach Marksa i Lenina nie znajdziemy również nigdzie wzmianki o wieczystym pokojowym współistnieniu komunizmu z kapitalizmem.

Komunizm stoi i upada swym uniwersalizmem. Z chwilą jednak gdy się okaże, że łatwiej jest wylądować na księżycu niż zniszczyć system kapitalistyczny w najbardziej uprzemysłowionych krajach świata — pokojowa koegzystencja ozna-

czać będzie doktrynalną kapitulację i przyjęcie w praktyce zasady wielopoglądowości.

Pokolenie rewolucyjnych komunistów do których należy Chruszczow — do końca będzie się wzdragać przed wyciągnięciem oczywistych wniosków z tej oczywistej sytuacji. Chruszczow do śmierci będzie zapewniał Amerykanów, że ich wnuki będą komunistami.

Ale fakty pozostają faktami. Koegzystencja — w dalszej perspektywie — zredukuje uniwersalną ideologię komunizmu ad absurdum. Komunizm przestanie być ideologią i przekształci się w system społeczno-gospodarczy — jeden z wielu.

Zrezygnowanie z wojny jako instrumentu komunistycznej polityki rewolucyjnej — pociąga za sobą jeszcze jedną ważną konsekwencję. Trzeba będzie przyjąć „otoczenie kapitalistyczne" za stały czynnik sytuacji międzynarodowej. Wszyscy amerykańscy i brytyjscy obserwatorzy, którzy stykali się z Chruszczowem i czołowymi przywódcami sowieckimi — podkreślają wiecznie żywy lęk sowieckich komunistów przed „kapitalistycznym okrążeniem". Dla Chruszczowa, który patrzy na świat poprzez pręty swej ideologicznej klatki — kapitalizm to przede wszystkim kontrrewolucja. Jak ma wyglądać pokojowa koegzystencja rewolucji z kontrrewolucją tego nie dowiemy się z pism klasyków marksizmu-leninizmu. „Święte księgi" uczą nas natomiast, że kontrrewolucyjne siły świata dążą i zawsze dążyć będą do wytrzebienia komunizmu, którego twierdzą i ostoją jest Związek Sowiecki. Dopóki sytuację polityczną rozpatrujemy z pozycji doktryny marksistowskiej dopóty Amerykę określać się musi jako śmiertelnego wroga komunizmu i Związku Sowieckiego.

Ojcowie-fundatorzy marksizmu-leninizmu układając schemat niezmiennych praw procesu historycznego nie przewidzieli epoki atomowej. Wynaleziona przez nich newtonowska mechanika społeczno-gospodarcza zawodzi całkowicie w erze atomowej. Proces dziejowy — tak jak go widział Marks — regulowany był periodycznymi wojnami, które z kolei stwarzały wielkie okazje dla rewolucji. Według Lenina imperializm stanowić miał szczytową formę kapitalizmu a imperialistyczne wojny były z kolei nieuchronną konsekwencją kapitalistycznego systemu. Ten cały schemat, którego teoretycznemu rozpracowaniu poświęcono tysiące tomów — stał się dziś anachronizmem. Dziś trzeba wybierać. Albo trzeba oświadczyć, że marksistowska teoria procesu dziejowego jest słuszna i zaakceptować wojnę atomową — albo trzeba stwierdzić, iż w epoce atomowej wojna przestała być narzędziem polityki choćby motywowanej celami rewolucyjnymi. Ale przyjmując to drugie stanowisko trzeba konsekwentnie uznać, że wymazanie wojny z obrazu naszych dziejów uniemożliwia stosowanie analizy marksistowskiej w odniesieniu do prawidłowości procesu dziejowego. Albowiem marksistowskie prawidłowości w epoce atomowej przestały być prawidłowościami. Nie ulega wątpliwości

że świat bezwojenny nie będzie w niczym przypominał świata, który fundował sobie wojny w odstępach dwudziestoletnich, a przecież Chruszczow domaga się *powszechnego* rozbrojenia a nie paktu o nieagresji. Likwidacja wojny jako elementu historio-twórczego pchnąć musi proces dziejowy w nowe łożysko. W tym nowym układzie wykrystalizują się z czasem nowe prawidłowości, których Marks nie mógł ani przewidzieć ani przeczuć.

Dopóki marksiści nie wyciągną odważnie wniosków z powyższej sytuacji dopóty będą się wikłać w żałosnych i kompromitujących sprzecznościach jak czynił to premier Chruszczow w serii swych amerykańskich przemówień.

Po obu stronach istnieje szczery lęk przed wojną. Obie strony szczerze wojny nie pragną. Obie strony zdają sobie sprawę z faktu, że dla procesu historycznego trzeba stworzyć nowe łożysko bo na powodzie rzeki Historii nie możemy sobie więcej pozwolić. Pobojowiska zawsze było można zaorać. Ale radioaktywnych pustyń ani zaorać nie można, ani nie byłoby ich komu zaorać.

Na razie nikt nie ma koncepcji świata bezwojennego tj. świata ku któremu zmierzamy. Czternaście lat temu spadła na Hiroszimę pierwsza bomba atomowa. Niemal następnego dnia rządy amerykański i brytyjski wypowiedziały się za międzynarodową kontrolą broni atomowych. W roku 1949 Rosja wyprodukowała swoją pierwszą bombę atomową. Wielka Brytania ,,zatomizowała się'' w roku 1952. W tym samym roku Stany Zjednoczone wyprodukowały pierwszą bombę wodorową, a w rok później i Rosja stała się mocarstwem wodorowym. W roku 1956 członkiem ,,klubu wodorowego'' stała się Wielka Brytania.

Rokowania na temat międzynarodowej kontroli atomowej i rozbrojenia trwają od roku 1946. Od tej daty ciągnie się łańcuch planów i konferencji — występujących w literaturze przedmiotu pod monotonnymi nazwami: ,,United Nations Atomic Energy Commission'' (plan Barucha), ,,Disarmament Commision'' (zmodyfikowany plan poprzedni), ,,Disarmament Sub-Committee — 1954'' (plan brytyjsko-francuski) itp., aż po ostatni plan Chruszczowa wysunięty w przemówieniu w ONZ we wrześniu bieżącego roku.

Większość obserwatorów i publicystów zachodnich wyraża pogląd, iż wszystkie rokowania rozbrojeniowe rozbijają się o zagadnienie kontroli. Nie podzielam tej opinii. Wszystko rozbija się nie o problem kontroli tylko o problem kontrolera. Plan Chruszczowa przewiduje całkowite rozbrojenie z likwidacją akademii wojennych i sztabów generalnych włącznie. Pomysł świetny, ale kto ma go przeprowadzić i kto kontrolować? To są wszystko plany na wyrost i w obecnej sytuacji całkowicie nierealne. Nie ma bowiem agencji, która mogłaby je urzeczywistnić. Plan powszechnego rozbrojenia mógłby przepro-

wadzić tylko i wyłącznie rząd światowy. Ponieważ do rządu światowego bardzo nam jeszcze daleko wszystkie dyskusje na temat planu Chruszczowa skazane są na niepowodzenie.

Tezą tego artykułu jest twierdzenie, iż koegzystencja i utrwalenie pokoju wywrze na dalszą metę potężniejszy formatywny wpływ na świat komunistyczny niż na świat zachodni. Ameryka może wejść w epokę bezwojenną z całym swoim bagażem — Rosja nie. Toteż pacyfistyczna przebudowa i rewizja komunizmu trwać będzie długo. Dopóki to nie nastąpi nie można wyłączyć wielkich niespodzianek ze strony Moskwy. Należy pamiętać również i o tym, że ideologiczny uniwersalizm komunizmu stanowi nie tylko sprężynę agresywnej polityki Sowietów na zewnątrz, lecz jest również źródłem dynamiki wewnętrznej rozbudowy. Czy Chruszczow może powiedzieć ,,radzieckim ludziom'' : ,,nigdy nie będzie wojny, nigdy nie będzie światowej rewolucji, komunizm nigdy nie ziści swojego uniwersalnego mitu''.

Są narody, jak Rosjanie i Niemcy, które nie mogą obejść się bez ,,misji''. Dla tych narodów państwo nie jest celem samym w sobie tylko narzędziem do celu, który obejmuje swym zasięgiem jeżeli nie glob ziemski to w każdym razie spory jego wycinek.

W Niemczech rozsprzedano ostatnio 35 tysięcy egzemplarzy książki W.S. Schlamma pt. ,,Die Grenzen des Wunders''. Autor nie jest żadnym eks-hitlerowcem. Przeciwnie był bliskim współpracownikiem Carl von Ossietzky — zamęczonego przez hitlerowców. Schlamm współredagował świetną ,,Die Welt buehne'' — tak blisko związaną z działalnością von Ossietzky'ego.

Cóż proponuje dziś pan Schlamm?

Autor ,,Granic Cudu'' proponuje ,,cud'' następujący: komuniści boją się wojny. Wszędzie tam gdzie natrafiają na siłę — cofają się. Wycofaliby się i z Europy, gdyby w Europie istniał sojusz reprezentujący siłę i dynamizm. Skąd wziąć taki sojusz? Panu Schlammowi odpowiedź na powyższe pytanie nie nasuwa trudności. Amerykanie winni zawrzeć przymierze wojskowe z Zachodnimi Niemcami (niezależnie od NATO) i uznać suwerenność Niemiec w stosunku do wszystkich ziem, które wchodziły w skład Reichu w roku 1939. Wówczas sprawa Niemiec stałaby się sprawą Ameryki. Stany Zjednoczone dałyby siłę a Niemcy ze swej strony dynamizm i konkretny cel. Rosjanie w takiej sytuacji nie zaryzykowaliby wojny i stopniowo wycofaliby się w swe rodzinne pielesze.

Innymi słowy Schlamm proponuje aby niemiecki mit wielkości zaadoptowała Ameryka. Ponieważ Stanom Zjednoczonym brak jest mitologii i ,,misji'' — Niemcy są gotowi wypożyczyć im swoje własne ,,sny o potędze''.

Rozumowaniu Schlamma nie można mimo wszystko odmówić pewnej logiki. Co to oznacza zbroić Niemców? Zbroić Niemców oznacza solidaryzować się z ich politycznymi celami.

Był czas, że Amerykanie posyłali broń i zaopatrzenie Rosjanom ponieważ solidaryzowali się z ówczesną polityką sowiecką, której celem było pobicie hitlerowskich Niemiec. Jeżeli Amerykanie dziś z eksportu do Rosji wyłączyli wszystkie materiały o charakterze strategicznym uczynili to dla tego, że nie solidaryzują się już z celami polityki sowieckiej.

Nie ma dwóch logik — jest tylko jedna logika, ta sama dla Niemców co dla Rosjan. Chruszczow nie ma żadnych podstaw do wnioskowania, że Amerykanie z jednej strony zdecydowani są zbroić Niemców a z drugiej strony przeciwstawić się ich rewizjonistycznej polityce. Toteż dopóki Ameryka będzie zbroić Federalną Republikę dopóty Chruszczow nigdy nie uwierzy, iż Waszyngton nie solidaryzuje się z rewizjonistycznymi celami polityki niemieckiej.

My po tej stronie barykady wiemy, że amerykańska polityka w stosunku do Niemiec jest de facto nielogiczna, gdyż Waszyngton wprawdzie pragnie uzbroić Federalną Republikę lecz równocześnie daleki jest od popierania planów rewizjonistycznych. Prez. Eisenhower proponuje Niemcom identycznie to samo co Schlamm proponuje Amerykanom. Schlamm proponuje Amerykanom by zaadoptowali cele niemieckie — Eisenhower proponuje natomiast Niemcom, by zaadoptowali cele amerykańskie. I w nadziei, że tak się stanie — zbroi ich. Cele amerykańskie są czysto defensywne i nie mają nic wspólnego z rewizjonizmem. Amerykanie sądzą, że uzbrojone Niemcy Zachodnie zadowolą się rolą wieczystych stróżów ,,granicy'' NATO.

Sądzę, że przeciętny Niemiec może hołdować tylko jednemu z dwóch następujących poglądów : może sobie powiedzieć — ,,zbroimy się, ponosimy związane z tym ciężary w nadziei odzyskania ziem któreśmy utracili''. Może sobie jednak powiedzieć inaczej — ,,nie mamy żadnych szans odzyskania utraconych terytoriów na drodze wojennej po co więc mamy się zbroić i ponosić związane z tym ciężary. Statut neutralny daleko lepiej by nam odpowiadał''.

Oba powyższe poglądy są logiczne i zrozumiałe. Jest jednak absurdem wymagać nawet od Niemców by się zbroili, płacili podatki na armię i równocześnie ze wszystkiego rezygnowali. A jeszcze większym absurdem jest wmawiać w siebie i w innych, że to jest możliwe.

Najbardziej charakterystycznym momentem tezy Schlamma jest przekonanie, że dynamicznym można być tylko za cenę agresywności. Ten sam Schlamm ubolewa, że młode pokolenie Niemców utraciło ,,cel'' z oczu i steruje ku neutralności.

Dla Rosjan ,,cel'' — to opanowanie świata i ufundowanie ustroju komunistycznego na całym globie.

Dla Niemców — przynajmniej niektórych — ,,cel'' to zjednoczenie wszystkich ziem rzekomo niemieckich i restauracja ,,Drang nad Osten''.

W epoce narzuconej nam siłą faktu koegzystencji powyższe ,,cele'' są anachronizmem. Bez wojny, agresji i zbrojnego zwycięstwa owe ,,misje'' skazane są na zwietrzenie i spróchnienie na cmentarzysku Historii.

Ani Rosjanie ani Niemcy nie odnaleźli się jeszcze w nowym bezwojennym świecie. Nie jest wykluczone, że wielkie, drapieżne narody wczorajszego świata — narody, które czerpały swą moc i dynamizm z ideologii agresji — skarleją w epoce bezwojennej. Kto wie czy za sto lat Rosjanie nie będą poszukiwali ,,prosperity'', neutralności i izolacjonizmu. Być może w bezwojennej epoce wysuną się na czoło narody, których dynamizm i siła twórcza nie wypływały z instynktu agresji i imperializmu. Może ci, których żywiła ideologia agresji pomyśleć będą musieli o innym chlebie? Ale czy sępa można żywić kukurydzą?



W tym procesie docierania się dwóch systemów i dwóch światów — Polska może odegrać doniosłą rolę. Frazes o ,,pomoście między Wschodem a Zachodem'' mógłby się stać programem pod warunkiem, że byłby właściwie rozumiany. W obecnej sytuacji Polska mogłaby bardzo wydatnie przyczynić się do rozładowania napięcia międzynarodowego pogłębiając swój wpływ na państwa bloku wschodniego.

Jeżeli nie ma być wojny światowej — jeżeli naprawdę Wschód i Zachód dopracować się mają pokojowej polityki cywilizowanego współistnienia — byłoby to możliwe jedynie poprzez ewolucję całego bloku wschodniego po liniach polskiego modelu. Wyłączamy z tych rozważań Chiny, bo to jest zagadnienienie odrębne. W bloku wschodnim łącznie z Rosją dokonywują się poważne przemiany. Chodzi w tej chwili o dwie rzeczy. O pełną restaurację Października w Polsce i o upowszechnienie polskiego modelu w państwach bloku wschodniego.

Powtarzam: jeżeli nie ma być wojny światowej ewolucja komunizmu jest sprawą przesądzoną. Z wszystkich państw w bloku wschodnim Polska ma najwięcej po temu danych by na tę ewolucję wywrzeć decydujący, formatywny wpływ. Ale by ten program mógł liczyć na powodzenie musiałaby nastąpić w Kraju generalna zmiana warty. Grabarze Października winni odejść. Stawiamy sprawę jasno. Nie namawiamy nikogo do montowania ,,drugiego etapu''. Uważamy natomiast, że zarysowujące się perspektywy odprężenia międzynarodowego *umożliwiają liberalizację polskiego modelu*. Jeżeli owa liberalizacja okaże się sukcesem, polski ustrój może się stać *orientacyjnym wzorem* dla procesu przemian *w całym bloku komunistycznym*.

Miliony ludzi po obu stronach barykady uważają koegzystencję za mrzonkę. Sądzimy, że koegzystencja a tym samym

trwały pokój — są do osiągnięcia ale za cenę przebudowy komunizmu. Ze stalinizmem czy z neo-stalinizmem koegzystencja nie jest możliwa. Perspektywy pokoju są wprost proporcjonalne do potencjalnych możliwości przemian ustrojów komunistycznych. Polski Październik, który na Zachodzie stał się legendą — utrwalił przekonanie, że komunizm jest zdolny do ewolucji. Ale Październik był odosobnionym eksperymentem, z którego Gomułka stale się wycofuje. Teraz jest chwila by Październik w pełni odestaurować i nadać mu znamiona powszechnego ruchu ewolucyjnego w bloku państw komunistycznych. Program trudny i ambitny — ale czy nasza sytuacja kiedykolwiek była łatwa?

*Juliusz MIEROSZEWSKI*

# O przestępczości młodzieżowej w U. S. A.

## 1. JUVENILE DELINQUENTS

Ostrożnie! Zwolnijmy! Ten samochód mijający nas z szybkością znacznie przekraczającą przepisowe 60 mil na godzinę — to *teen agers*. Nie wiadomo co im strzeli do głowy. Wysiądźmy z tego autobusu, zaczekajmy na inny. Ta rozkrzyczana banda wyrostków i dziewcząt z mocno umalowanymi wargami — to *teen agers*. Działają nam na nerwy. W *launchenette* hałasują i oblegają automatyczne maszyny do gry, śmieją się prowokująco rozparci za ladą. Włóczą się po pustych ulicach i późnym wieczorem rozbijają latarnie. A wyjdźmy z dzielnicy rezydencjalnej, przejdźmy się zaśmieconymi uliczkami *slums*'ów — zauważymy ich na rogach ulic. Noszą obcisłe *dugarees* i czarne skórzane żakiety, albo krzykliwe, kolorowe koszule. Dziewczęta ubierają się na czarno, wąskie spodnie, obcisłe swetry. Chłopcy pozują na to, aby być *drape*. Ich mundur to rażąco wąskie spodnie o nogawkach krótszych z przodu i nieproporcjonalnie długich w tyle, jaskrawe krawaty, ekscentryczne marynarki lub bluzy. I naturalnie długie włosy. Żaden z nich nie chce być *square*. Być *square* to znaczy być *sissy* — mazgaj, niedorajda. *Square* jest to układny *college boy*, który ubiera się normalnie i przychodzi wieczorem do domu.

Mijające nas w zawrotnym tempie samochodu roześmiane twarze, i te spoglądające ironicznie, spode łba na rogach ulic, muskularna młodzież rozpychająca się w autobusie, gwiżdżąca w kinie, włócząca się wieczorami po opustoszałych ulicach — to *teen agers* — wiek niebezpieczny pomiędzy 10-tym, a 18-tym rokiem życia.

Tylko niewielki ich procent przejdzie przez ten okres spokojnie i bez najdrobniejszego odchylenia. Zarazek buntu, chęci wykroczenia przeciwko ustalonym normom dotyka wszy-

stkich. Nie u wszystkich jednak odporność jest jednakowa. Jedni przechorują go lekko, tak że nawet najbliższe otoczenie nie będzie zdawało sobie sprawy z niebezpieczeństwa. Inni będą mieli na sumieniu drobne wykroczenia przeciwko prawu, ale nie zawsze zostaną zauważeni lub zatrzymani przez policję. Jeszcze inni zetkną się z sądem dla nieletnich, zostaną ostrzeżeni przez sędziego i odesłani pod opiekę rodziców. Tylko drobny odsetek młodzieży oskarżonej o przewinienia poważniejsze, a głównie recydywiści, zostanie osądzony jako *guilty i juvenile delinquents.*

Mianem *juvenile delinquents* określa się dziecko, którego zachowanie jest anty-społeczne i przeciwne temu, czego spodziewa się od niego otoczenie. W roku 1950, na konferencji w Białym Domu, omawiającej problem przestępczości młodzieżowej postanowiono zaniechać dotąd używanego terminu *Juvenile Delinquency* i zastąpić je określeniem *children who rebel* — dzieci, które się buntują. Chociaż już dziewięć lat upłynęło od powzięcia tej słusznej decyzji, termin *delinquency* trwa i używany jest na porządku dziennym. Tylko ludzie ocierający się codziennie o młodzież dotkniętą tym rodzajem schorzenia psychicznego, cofają się instynktownie przed piętnującym słowem przestępczości, a zastępują je określeniem — bunt.

Bunt ten zrozumiany jest jako usiłowanie dziecka zachowania i obrony własnej godności, własnej osobowości, wtedy, gdy te wartości są narażone, niszczone lub zaprzeczane.

W roku 1957, 530 tysięcy dzieci w wieku od lat 10-ciu do 18-tu stanęło przed sądem. Obecny stopień wzmagania się przestępczości młodzieżowej nie zmalał, a oblicza się, że w roku 1965 milion młodocianych przestępców stanie przed sądem dla nieletnich w Stanach Zjednoczonych. Przestępczość młodzieżowa uważana jest za problem społeczny. Dlatego też opieka nad *delinquents,* stosowanie środków zaradczych i terapia należy głównie do agencji społecznych — *social agencies,* które są wykładnikami miejscowego społeczeństwa.

## 2. METODY ZARADCZE — *SOCIAL WORK*

Praca z młodzieżą przestępczą jest bardzo ciekawa, ale też niezmiernie trudna, szarpiąca nerwy, a często niewdzięczna.

Agencje społeczne, państwowe, stanowe, lokalne (miejskie), czy też prywatne oparte są na zasadzie *social work.*

Co to jest *social work?*

Wyobraźmy sobie koło, w którego zasięgu gromadzą się i zazębiają o siebie zawody mające bezpośredni kontakt z człowiekiem. Będą to: medycyna, prawo, nauczycielstwo, działalność kościołów i praca społeczna — *social work.* Każdy z nich zajmuje pewien wycinek koła. Zakreślmy teraz z tego

samego punktu drugie koło o większym niż poprzednie promieniu. Otrzymamy obręcz, którą możemy nazwać polem akcji społecznej. Każdy z wymienionych wyżej zawodów spotka się z pokrewnym sobie zawodem na terenie akcji społecznej.

*Social work* moglibyśmy umiejscowić pomiędzy zawodem lekarskim, a nauczycielsko-wychowawczym. W zależności od potrzeb jednostki *social work* leczy jej bolączki społeczne lub wyjaśnia i tłumaczy podstawę niedomogi psychicznej. Opiera się głównie na wierze w wartość jednostki i przekonaniu, że dobra jej nie należy poświęcać dobru państwa.

Chociaż praca społeczna ma za sobą długą tradycję, jako zawód (*profession*) i nauka, wykrystalizowała się dopiero niedawno. W Stanach Zjednoczonych *social work* rozgałęzia się na trzy zasadnicze działy:

*Social casework* — praca z jednostką.

*Social group work* — przy czym grupa jest zrozumiana jako najmniej dwie osoby, a najlepiej dziesięć do dwunastu osób i nie powinna tej liczby przekraczać.

*Social community organization* — w luźnym tłumaczeniu polskim — organizacja obywatelska. Jest to obecnie bardzo rozwijająca się praca na terenie zamieszkałym przez ludzi interesujących się tym samym problemem, lub związanych wspólnym szerszym interesem społecznym np. poprawianiem lub ulepszeniem stanu mieszkaniowego dzielnicy. Wyrabia opinię społeczną i poczucie przynależności.

*Casework* — praca z jednostką jest istotą i podstawą amerykańskiego *social work*. Amerykanie uważają, że jest ich wynalazkiem i są z niej bardzo dumni. Gdy zwróciłam uwagę na jednym z wykładów, że *casework* jest luksusem amerykańskim i że tylko bogate państwo może sobie na nią pozwolić, przyznano mi rację. Dowiedziałam się jednak, że Europa zaczyna przejmować zasady *casework* i stosować je z sukcesem.

Co to jest *casework?*

Aby wyjaśnić co to jest *casework*, która staje się coraz bardziej popularna i obejmuje coraz więcej dziedzin życia amerykańskiego, zacznę od jej definicji sformułowanej przez Swithum Bowers i uznawanej przez większość uniwersytetów Stanów Zjednoczonych.

,,*Social casework* jest sztuką, w której wiedza i nauka o stosunkach ludzkich oraz umiejętność obcowania z ludźmi są użyte w celu zmobilizowania zdolności w jednostce i odpowiednich zasobów w społeczeństwie dla ulepszenia wzajemnego dostosowywania się jednostki i jej otoczenia''. Zapoznając się z nową dziedziną pracy i wiedzy natrafiamy natychmiast na cały łańcuch związanych z nią terminów. Jest to w wypadku *social work* dość skomplikowane, gdyż dosłowne tłumaczenie nie odda istotnego znaczenia terminów. Na przykład: ,,pracownik społeczny'' przywodzi mi na myśl ubezpieczalnię

społeczną i urzędnika za biurkiem, a przecież to nie jest funkcją *social worker*. „Działacz społeczny" — to za wiele, zbyt szumne. Najwłaściwiej byłoby „wychowawca społeczny", ale myślę, że najlepiej przyjęłoby się w języku polskim określenie „opiekun społeczny", które jest już znane i mniej więcej wiadomo o co chodzi.

Na *casework* proponuję termin „socjoterapia", a na *caseworker*, który musi połączyć dbałość o wewnętrzny, psychiczny stan klienta z jego adaptacją do życia w społeczeństwie, termin „soc-internista".

W Ameryce rzadko kto odróżnia ogólny termin *social worker* od bardziej ograniczonego *caseworker*. Zwykle klient mówi o nim: *my worker*. W Polsce przyjęłoby się pewnie popularne „opiekun", „opiekunka", jak „doktor" na określenie lekarza bez względu na to czy się doktoryzował czy nie. Uważam, że termin „klient" jest odpowiedniejszy niż „podopieczny". Przedrostek „pod" sugeruje zależność, a to jest przeciwne zasadom pracy społecznej i socjoterapii.

Socjoterapia rozwinęła się i nabrała znaczenia w okresie wielkiego kryzysu amerykańskiego w latach dwudziestych, gdy do agencji społecznych zaczęli zwracać się po pomoc ludzie, do tej pory niezależni materialnie i radzący sobie doskonale. Ci nowi klienci agencji społecznych wnieśli z sobą nie tylko problem zależności finansowej, ale i tragedię, że zmuszeni są o tę pomoc prosić. *Charity*, która dotąd obejmowała tylko warstwy najuboższe, ludzi schorowanych, starych, sieroty, wdowy i wykolejeńców, musiała prędko zmienić swój dotychczasowy wyraz, gdyż potrzebującymi stali się ci, którzy byli do niedawna obdarowującymi. Urażona godność, brak zaufania do własnych sił i wynikające stąd konflikty osobiste i rodzinne stały się nowym zagadnieniem i do niego *casework* musiała się dostosować. Nie wystarczyło udzielić pomocy w formie zasiłku pieniężnego, w naturze, czy też w dostarczeniu opieki lekarskiej, należało także podbudować morale społeczeństwa poprzez wzmocnienie morale jednostki.

Na czym polega owo podtrzymywanie morale, podbudowywanie go, pomoc, która jest moblizowaniem uśpionych lub osłabionych sił w jednostce, a którą stosuje się także w wypadkach przestępczości młodzieżowej?

Przede wszystkim, i to jest główną osią socjoterapii, na wytworzeniu stosunku przyjaznego pomiędzy osobą pomagającą — opiekunem, a osobą potrzebującą pomocy — klientem. Analizując ten stosunek — *casework relationship* — wzajemnego zaufania i życzliwości, osiąga się przez: traktowanie klienta jako jednostki, pozwolenie i ułatwienie klientowi wypowiedzenie swoich bolączek i uczuć związanych z jego problemem, pomoc w wybraniu drogi postępowania.

Indywidualne podejście do nowoczesnego klienta agencji społecznych, czy to będzie aplikant po zasiłek, czy człowiek starszy, wymagający opieki w szpitalu, czy młodociany zło-

dziej samochodu, albo jego matka, jest podejściem do osoby o jedynej, jej tylko właściwej strukturze psychicznej. Nie ma dwóch wypadków identycznych, każdy człowiek inaczej ustosunkowuje się do swego kłopotu i inaczej go rozwiązuje lub nie daje sobie z nim rady. Opiekun musi umieć słuchać i tylko umiejętnie kierować rozmową tak, aby nie zrazić, nie obrazić klienta, pozwolić mu się wypowiedzieć, a jednocześnie utrzymać zwierzenia czy dyskusję w odpowiednich ramach. Wydawałoby się, że wysłuchanie jest rzeczą mało ważną. Ale jak już dowiodła psychiatria, od której wiele zapożyczyła *social work,* głośne wypowiadanie się często zupełnie inaczej naświetla mglisty, dławiony w sobie problem. Socjoterapia nie sugeruje, ani nie pokazuje drogi wyjścia z problemu, klient ma prawo stanowienia o sobie. Można mu tylko wskazać do czego doprowadzi taka, a nie inna zamierzona przez niego droga postępowania. Można też drążyć głębiej, ale nie we wszystkich przypadkach, uprzytomnić klientowi dlaczego na skutek swej konstrukcji psychicznej chce on wybrać takie, a nie inne rozwiązanie, jaki układ warunków wpływa lub wpłynął na jego stan obecny. Klient wie wreszcie, i w tym umacnia go opiekun, że sprawa jego jest tajemnicą i nie będzie użyta przeciwko niemu.

Te wszystkie elementy czasem natychmiast, już w czasie pierwszego spotkania, a czasem dopiero po okresie dłuższym budują most wspólnego porozumienia. Jeśli opiekun nie jest w stanie taktyką swego postępowania, swoją umiejętnością i sztuką zbudować owego mostu, sprawa jest przegrana i klientowi nie można pomóc. Dzieje się to rzadko. Niekiedy porozumienie przychodzi dopiero po długim okresie milczenia, niechęci, wrogości klienta do swego opiekuna. Często punktem kulminacyjnym jest wybuch płaczu, nagły atak histerii, złorzeczenia, niezwykłe zachowanie się klienta. Nieraz też zdziwiony klient powie: ,,Ależ mnie tak nigdy nikt nie słuchał!" albo: ,,Jak ja z panią potrafię rozmawiać! Co mi się stało, że tyle mówię; jest mi lżej na sercu, wypowiedziałam się"; ,,A jednak pani była taka cierpliwa", albo: ,,Muszę przyznać, że nie lubiłam pani początkowo".

Opiekunka wie wtedy, że most nad którym pracowała, jest zbudowany. Stała się swemu klientowi bliska, przyjacielska, a tylko poprzez życzliwość i bliskość, wobec której można się nie hamować wybuchami uczucia i nastrojami, może przejść pomoc.

Dziedziny w których socjoterapia udziela pomocy są różnorodne. Postać *social worker* jest popularna w szpitalach, fabrykach, na dworcach kolejowych, w domach starców i domach dla sierot, wśród ociemniałych, inwalidów i w domach dla nieślubnych matek i w szkołach poprawczych. Nie wymieniłam wszystkich możliwości.

Zasadą socjoterapii jest, aby klient sam poprosił o pomoc, chociaż rozwija się dział *social work* bardziej agresywnej np.

w zwalczaniu gangów młodzieżowych, gdy *caseworker* czy raczej *group worker* staje się najpierw członkiem bandy, a potem ,,umoralnia ją''.

Jeśli chodzi o *juvenile delinquency* to opiekun musi pierwszy zbliżyć się do swego młodego klienta, a następnie wytworzyć taki stosunek, że dziecko samo zda sobie sprawę z potrzeby pomocy i samo o nią poprosi. W ramach przestępczości młodzieżowej opiekun pracuje z chłopcem czy dziewczynką albo na terenie sądu (*probation*), albo na terenie szkoły poprawczej, albo też agencji społecznej w dziale *protectives services* — praca zapobiegająca dalszym aktom przestępczym, lub zabezpieczająca przed grożącym *delinquency*.

## 3. SZKOŁA NA RÓŻANYM WZGÓRZU

Szkoła poprawcza, w której spędziłam okrągły rok stykając się z elementem dziewczęcym, którego boją się przyzwoici obywatele, nosi romantyczną nazwę Różanego Wzgórza. Jest to instytucja państwowa tak piękna i tak dobrze wyposażona, że nadawałaby się na luksusowy dom wypoczynkowy.

Wysadzana klonami droga urywa się na szczycie wzniesienia, skąd w dzień pogodny widać szczyty gór i panoramę lasów. Droga zwęża się, prowadzi między sądem i kukurydzianym polem aż do murowanej kaplicy. Żadnych bram, ogrodzeń, ani drutów. Tuż przy drodze, na polu truskawek pracują dziewczęta. Są w wieku od 12-tu do 18-tu lat. Każda z nich ubrana w swoją własną domową sukienkę, albo kolorową sukienkę, dostarczoną przez szkołę (aby zachować indywidualność i swojski nastrój). Tylko w razie deszczu i w zimie szkoła dostarcza grubych brezentowych płaszczy z kapturami. Pewnie dlatego, że dziewczęta te rzadko kiedy mają przyzwoite ciepłe okrycia zimowe.

Jadąc dalej napotykamy nowoczesny budynek szkolny. Widne, jasno malowane klasy, lśniące posadzki w korytarzach, nowocześnie urządzona kuchnia, w której dziewczęta uczą się gotować, szwalnia, fryzjernia itd. Budynek szkolny jest punktem zbornym wszystkich dziewcząt na Różanym Wzgórzu. Zbierają się zwykle dwa razy dziennie w dużej sali rekreacyjnej. W czasie świąt, albo uroczystości na scenie sali odbywają się przedstawienia, wręczanie nagród i prezentów. Prezenty są przy lada okazji. Święta Bożego Narodzenia są pod znakiem pakowania prezentów. Każda z dziewcząt dostaje ich zwykle kilka, a tym, których rodzice nie mogą nic ofiarować, dokupuje się jeszcze dodatkowe prezenty. Wiek, gust, upodobania i potrzeby bierze się pod uwagę przy kupnie prezentu. Nie żadne używane rzeczy, wszystko nowe. Państwo i prywatne agencje społeczne dostarczają pieniędzy i prezenty. Dziewczęta przysyłane są do szkoły z całego stanu. Stan podzielony jest

na okręgi (*counties*). Każdy okręg uważa za swój punkt honoru przywieźć gwiazdkowe prezenty dla „swoich" dziewcząt. Prezentami, ich pakowaniem i rozdzielaniem zajmują się opiekunki społeczne. Pudła pozawijane w kolorowe papiery, we wstążeczki, ozdobione karteczkami i malowidełkami zapełniły w czasie ostatniego Bożego Narodzenia trzy duże pokoje. Pakując do późna w noc, zniechęcona już i zmęczona pocieszałam się, że im, tj. dziewczętom, będzie przyjemnie. Może i było im przyjemnie, ale oddałyby wszystko, aby wydostać się na wolność.

Dziewcząt jest zwykle około 120-tu. Mieszkają rozdzielone, w małych domkach (*cottages*). Jest ich 6. W jednym więc domku mieszka około 20 dziewczynek.

Przyjrzyjmy się *cottage*'owi. Jest to jeden z tych czarujących domków z przedmieść amerykańskich, biało malowany, z czerwonym dachem, drewnianym gankiem otoczonym krzakami azalii. Wewnątrz typowy *hall-sitting room*, jadalnia i pokoje dziewczynek. Tylko nieliczna grupa dzieli wspólne sypialnie, pozostałe mają pokoiki niezależne. Umeblowanie: toaletka z lustrem do którego przypięte są wycięte z magazynów fotografie Pat Boone'a, albo innego aktualnego gwiazdora czy śpiewaka popularnych piosenek, łóżko, stolik, krzesło, szafa na ubrania. Schludnie, a w niektórych, bardziej nowoczesnych domkach po prostu miło, ładnie i przytulnie. Nie tylko tu, na Różanym Wzgórzu. Zwiedzałam i inne zakłady, a wszędzie ta sama troska o przyjemny, wesoły wygląd otoczenia. Ale dziewczęta narzekają:

— To straszne być zamkniętą w pokoju o godzinie 9-tej wieczór, ani światła ani muzyki, cisza, samotność.

— Uczysz się samotności — odpowiada opiekunka — przebywania z samą sobą.

— Ja nie chcę myśleć, nigdy w swoim życiu jeszcze tyle nie myślałam — płaczą — ja oszaleję! Wy (to znaczy personel szkolny) nie wiecie co to być w szkole poprawczej. Ucieknę!

W osobnym nowoczesnym budynku jest szpitalik i punkt obserwacyjny. Tu przez dwa pierwsze tygodnie obserwuje się nowo przysłaną przez sąd dziewczynkę. Przechodzi badania lekarskie, notuje się skrupulatnie wszystkie uwagi dotyczące jej zachowania się. Pierwszą osobą, która ją spotyka w szkole jest opiekunka społeczna. Rozpłakaną, zbuntowaną, albo złamaną i nieszczęśliwą stara się uspokoić, ułagodzić i zapoznać z rutyną szkoły. W szpitaliku, zwanym popularnie *clinic* zamyka się też te, które uciekły i wróciły schwytane przez personel szkoły lub policję, albo te z którymi zarządzająca domku — *cottage mother* — nie może sobie dać rady. *Cottage mother* jest zwykle osobą starszą, samotną, energiczną, a przy tym lubiącą dzieci. Praca ich jest ciężka i odpowiedzialna, a nieraz słuchając ich opowiadań podziwiałam, że mogą jeszcze wytrzymać, że nie brak im energii i optymizmu.

Spiski i zamachy zdarzają się, niezbyt często, ale są. Czę- sto wykrywane w porę kończą się na tym, że uciekinierki znaj- duje się spłakane i zziębnięte w polu lub w lesie. Są i takie którym udaje się uciec i zatrzeć za sobą ślady na czas dłuższy Los tych dziewcząt, w większości wypadków jest tragiczny Zdarzają się i wypadki zaatakowania. Jedna z dziewcząt roz- biła butelkę na głowie swojej ,,domkowej mamy'', a inna grupa związała swoją *cottage mother* i zamknęła ją w łazience poszu- kując kluczy od drzwi wyjściowych.

— Miałam je schowane na piersiach — opowiadała mi — ale nie znalazły.

Odtąd jednak żyła bez ustanku w strachu bojąc się cz- ją na nowo ktoś nie zaatakuje.

Personel szkoły musi mieć wyostrzone zmysły i po prost wyczuwać nastrój. Ujarzmienie zbuntowanej jednostki nie jes trudne, ale opanowanie zbiorowej histerii to już sztuka.

Trudno myśleć o grożącym buncie, gdy zajeżdża się n Różane Wzgórze w pogodny wiosenny, albo letni dzień. N gładkim, wypielęgnowanym trawniku wokół którego poprz zieleń drzew przeziera biel domków, roześmiane dziewczęt grają w piłkę. Za chwilę dzwonek przerwie zabawę i uszereg wane w dwójki pensjonariuszki odejdą do swoich domków n *lunch*.

Każdy domek, oprócz głównej zarządzającej — *cottag mother* do której dziewczęta zwracają się: *mum, mo* — pies czotliwe skrócenie słowa *mother*, posiada także wykwali kowaną gospodynię-kucharkę. Jest to starsza, doświadczon pani, która przygotowuje menu i kieruje dziewczętami w kuch ni. Gospodynie współzawodniczą z sobą w jak najlepszy przygotowywaniu posiłków. Jadłam obiady w każdym z dom ków i muszę przyznać, że były nie tylko obfite, ale i dosk nałe. Dziewczęta z Różanego Wzgórza, które przyjeżdża do szkoły blade i anemiczne, rozkwitają na świeżym powietrz i skarżą się na za duży apetyt. Zwiedzałam szereg instytuc dla dzieci i szkół poprawczych nie tylko na terenie ,,mojego stanu, i muszę uczciwie stwierdzić, że wszędzie jedzenie by smaczne i estetycznie przyrządzane. Dzieci i młodzież zaws jadły to samo co i personel lub zaproszeni goście. Amerykan są bardzo wrażliwi na punkcie demokratyzacji jedzenia. Ni dawno czytałam sprawozdanie jednego z wychowawców sp łecznych o wycieczce przedstawicieli agencji do szkoły poprav czej dla chłopców. Po słowach uznania dla personelu dodaj ,,Na obiad podano nam smażoną kurę, ryż, sałatę i duszo brzoskwinie, ale, gdy sprawdziłem menu szkoły nie było ta kury, tylko ryba. Czyżby ten luksus był tylko dla nas, zwi dzających?''

Zajęcia szkolne są bardzo dokładnie obmyślane, skrup latnie rozplanowane i dostosowane do wieku, umiejętnoś i zainteresowań dziewczynki. Dziewczynka do lat 16-tu uc

się w regularnej szkole, po południu pracuje na fermie, jest dyżurną w kuchni, albo w szpitaliku, pomaga w pralni. W szkole uczy się także pisania na maszynie i zostaje obeznana z elementarnymi zasadami pracy urzędniczej (*clerical work*). Starsze, lub te, które z ważnych powodów zwolniono z części zajęć szkolnych, uczą się fryzjerstwa, aby po zdaniu egzaminu stanowego i otrzymaniu licencji mogły być samowystarczalne. Nie sposób w tym krótkim szkicu omówić całokształtu szkolenia w szkole poprawczej. Czasem dziewczynkę przydziela się do tego, a nie innego zajęcia, ponieważ to wpłynie lepiej na jej samopoczucie. Zdrowie psychiczne, sprowadzenie dziecka na drogę normalnego rozwoju jest głównym zadaniem szkoły. Anty-społeczne postępowanie dziecka tzw. *delinquent behavior*, jest zwykle symptomem poważnych zaburzeń, które wpłynęły na całe jego życie. Dlatego też szkoła poprawcza nie jest instytucją karzącą, ale rodzajem sanatorium.

Po zewnętrznym szkicu szkoły poprawczej, należałoby przyjrzeć się jej pensjonariuszkom, tym które są tu *committed* — skierowane przez sąd dla nieletnich — dziewczętom, które się buntują, albo popularnie zwanym *delinquents*. Dlaczego, z jakich powodów są tu przysyłane? Weźmy pod uwagę grupę piętnastu dziewcząt. Wśród nich są cztery w wieku od 13-14 lat; cztery między 14-15 rokiem życia i siedem między 15-18 rokiem życia (1). Skala inteligencji, przyjmując Weschler Intelligence Scale For Children, waha się pomiędzy 114, a 73. Tylko jedna z piętnastu dziewcząt ma I.Q. równe 114, trzy pomiędzy 100 a 109, osiem między 90 a 89, trzy między 79, a 73. Inteligencja więc większości jest niżej niż średnia. Najwięcej w grupie omawianej jest dzieci najstarszych w rodzinie (8), 2 jedynaczki, 2 najmłodsze i 3 średnie.

Sąd zwykle skazuje dziecko za więcej niż jedno wykroczenie. W wypadku omawianych piętnastu dziewcząt, 11 uciekło z domu, 7 oskarżonych jest o wykroczenia seksualne, 2 o nie uczęszczanie regularne do szkoły, wagarowanie (*truancy*). W 6-ciu wypadkach rodzice sami zgłosili sprawę do sądu, gdyż nie byli w stanie kontrolować córki. Jedna oskarżona jest o drobną kradzież.

Obraz ten zmieniłby się, gdybyśmy omawiali przestępczość u chłopców. Większość miałaby na sumieniu nieregularne uczęszczanie do szkoły, bójki, awantury, kradzieże (zwykle samochodów), ucieczki z domu, a na samym końcu i bardzo nieliczni, wykroczenia seksualne.

Wspomniałam już że przestępczość młodzieżowa jest symptomem zaburzeń wewnętrznych. Zaburzenia te mogłyby uzewnętrznić się w innej formie: bezsenność, brak apetytu,

(1) Informacje liczbowa dotyczące 15-tu omawianych dziewcząt oparte są na badaniach rozwiniętych szerzej w mojej tezie magisterskiej pt. „The Delinquent Girl and Her Mother", omawiającej stosunek dziewczyny przestępczej do swojej matki.

depresja, neurastenia. Podobnie, jak lasecznik Kocha moż wywołać ogólną gruźlicę, zapalenie opon mózgowych, gruźlic płuc, albo skóry. Reakcja aparatu psychicznego podobnie, jak reakcja organizmu będzie się różniła w zależności od warun ków, odporności, momentu zaatakowania.

Obserwując klinicznie i badając naukowo przyczyny prze stępczości młodzieżowej dochodzi się obecnie do ogólneg wniosku, że źródło zaburzeń znajduje się w domu rodzinnym dziecka. Układ warunków rodzinnych, stosunki pomiędzy matk a ojcem, brak ojca lub matki, nienormalność codzienneg pożycia, brak przykładu, brak ,,ideału'' w osobie ojca dl chłopca, i matki dla dziewczynki, wstyd, upokorzenie, częst brak ciepła rodzinnego, zbyt surowy ojciec, zbyt pobłażliw matka, niemoralność, dom w którym rodzice starają się omi nąć i oszukać prawo — są to wszystko przyczyny wykoszla wiające wrażliwą psychikę dziecka. Im więcej bada się sto sunki rodzinne dziecka, tym bardziej wychodzi na jaw, ż przestępczość młodzieżowa jest bezpośrednią konsekwencj rozkładu rodziny. Dlatego też nowoczesna socjoterapia star się obejmować nie tylko dziecko, ale i jego rodziców, a częst również braci i siostry.

Nie możemy umniejszać wpływu otoczenia, ale dzieck wynoszące z domu zdrowy podkład moralny, dziecko kochan w sposób nie histeryczny, a normalny, utrzymywane w ra mach rozsądnej dyscypliny, nie łatwo ulegnie demoralizującym przykładom z zewnątrz.

## 4. PRÓBA ANALIZY NIEKTÓRYCH PRZYCZYN PRZESTĘPCZOŚCI MŁODZIEŻOWEJ W STANACH ZJEDNOCZONYCH

Rodzice, dom, najbliższe otoczenie to klimat, w którym wzrasta dziecko i podstawy z których czerpiąc obficie kszta tuje swoje ego. Sędzia niechętnie ,,skazuje'' dziecko na szkoł poprawczą. Robi to wtedy, gdy jest przekonany, że dom, w którym dziecko pozostanie, jest kompletnie zdezorganizowany a rodzice niezdolni do opieki nad nim. W wielu wypadkac dzieci nie są posyłane przez sędziego do szkoły poprawcz na skutek popełnionego ,,przestępstwa'', ale ponieważ n mają domu, który zapewniłby im atmosferę rodzinną i opiekę

Uregulowane, normalne życie rodzinne odgrywa niezmie nie ważną rolę dla dziewczynki i bardziej na nią wpływa n na chłopca. Zwykle trudności dziewcząt przestępczych s ściślej związane z ich układem domowym, wypływają z nieg i nieraz piętnują dziecko na całe życie.

Przyjrzyjmy się bliżej rodzicom piętnastu omawianyc dziewczynek. Dziewczęta z Różanego Wzgórza są przedstaw cielkami tzw. *lower socio-economic group*. Zajęcia ojców t

przeważnie: szofer taksówki lub samochodu ciężarowego (ten chociaż dobrze zarabia, rzadko przebywa w domu odbywając dalekie podróże), dozorca nocny, robotnik okrętowy, murarz, kucharz (kucharze zarabiają doskonale). Zdarzają się i pracownicy umysłowi, niezależni rzemieślnicy itp.

Rodzice siedmiu dziewcząt mieszkają razem i utrzymują wspólny dom dla dzieci. Rodzice czterech dziewcząt są rozwiedzeni. Rodzice jednej dziewczynki żyją w separacji. Jedna to sierota, której ojciec nie żyje, a matka wyszła za mąż po raz drugi. Jedna jest dzieckiem nieślubnym, rodzice nie mieszkają razem.

Wszystkie omawiane dziewczęta są białe. Obraz rodziców zmieniłby się, gdybyśmy mieli do czynienia z grupą dziewcząt murzyńskich. W większości byłyby to dzieci nieślubne, pewna grupa miałaby rodziców żyjących w konkubinacie, z pewnością ojciec jednej lub dwóch zniknąłby bez śladu opuszczając rodzinę, liczba rodziców żyjących z sobą i mieszkających razem byłaby znikoma.

Wracając do omawianej grupy białych dziewcząt, warto zauważyć, że 4 z nich mają aż po dwie pary „rodziców": matkę i męża matki (*step-father*), ojca i żonę ojca (*step-mother*). Do terminów tych *step-mother*, macocha, i *step-father* — ojczym nie mogłam się przyzwyczaić, gdyż wyobrażałam sobie i na przykładzie polskim do tego przywykłam, że macocha była wtedy, gdy umierała matka, a ojciec żenił się po raz drugi. Ale w Stanach wszystko jest O.K.

Matki albo nie pracują i zajmują się domem (6), albo zajęte są regularnie poza domem (7), albo tylko pracują dorywczo (2). Jeśli matka pracuje zarobkowo jest zwykle kelnerką, robotnicą w pralni lub fabryce.

W każdym niemal przypadku dziewczyny skierowanej do szkoły poprawczej wypływał na powierzchnię, jeśli nie natychmiast, to po pewnym czasie, konflikt, nieporozumienie, tragedia z matką. Ile to razy słyszałam buntownicze:

— Nienawidzę jej, to jej wina, że tu jestem, aby potem w liście do matki odczytać (listy dziewcząt były kontrolowane) „Jesteś najlepszą matką na świecie, tylko napisz do mnie".

Zjawisko to warte jest zastanowienia jak bardzo stosunek dziewczynki z matką wpłynął na jej przestępczość.

Tylko 7 matek, w czasie rozprawy sądowej wyraziło chęć, aby dziewczynka po zwolnieniu ze szkoły poprawczej wróciła do domu. Pozostałe osiem były obojętne lub wręcz wrogie.

Każdej z piętnastu dziewcząt zadałam następujące pytanie:

*Co, twoim zdaniem, matka powinna zrobić dla swojej córki?*

Zadając tym samym dziewczętom inne, bardziej szczegółowe pytania otrzymałam przeciętną zainteresowania się matki córką. Otóż 13 matek najbardziej dba o wygląd zewnętrzny córki: jej ubranie, fryzurę itd., a tylko 6 matek wy-

jaśniło dziewczętom problemy związane z rozwojem seksualnym. Tylko 5 matek powiedziało przelotnie, lub napomknęło córkom o różnicach pomiędzy złem a dobrem.

Wszystkie dziewczęta w ten lub inny sposób wyraziły, że zasadnicza rola matki polega na tym, aby *pomogła* córce i aby z nią *rozmawiała*. (*She should help her out of trouble by talking to her*).

Badając bliżej stopień zaufania dziewcząt do swoich matek i stopień porozumienia z matką, doszłam do wniosku, że większość dziewcząt pragnie porozumienia i bliskiej komunikacji z matką, ale brak im zaufania, aby się do niej zwrócić po wyjaśnienie lub radę. Możliwe, że matki nie starają się zbytnio o nawiązanie tego porozumienia. Wydawałoby się więc, że więź uczuciowa pomiędzy taką dziewczyną, a jej matką będzie niezbyt silna. Niejednokrotnie dziewczyna ma słuszny żal do matki, że znalazła się w szkole poprawczej, że matka była złym przykładem moralnym, że wyrzekła się jej wobec sądu, że nie pisze, nie odwiedzi córki w szkole poprawczej. Gdy zadałam pytanie: ,,Czy kochasz swoją matkę?'' — dwanaście na piętnaście odpowiedziało zdecydowanie: ,,Tak''. Jedna wahała się, czasem kocha matkę, a czasem nie. Druga odpowiedziała bardziej filozoficznie, że kocha matkę, ale nienawidzi jej postępowania. Tylko jedna nie wiedziała jakie są jej uczucia dla matki. Sądzę, że dziewczęta te uważały, że ,,powinny'' kochać matkę, gdyż inaczej będą uważane za ,,złe'' — *no good*. Wiele mówiący jest też autentyczny list rozżalonej dziewczynki:

*,,Drodzy ojcze i matko,*
*Zdecydowałam, że w ogóle was nie lubię,*
*Wasza kochająca córka,*
Betty''.

Trudno zatrzymać się w tym punkcie i zrzucić całą odpowiedzialność za przestępczość dzieci na matkę czy też obydwoje rodziców; uciąć krótko polskim przysłowiem: ,,Nie daleko pada jabłko od jabłoni''. Okazać się może, że czasem ,,jabłko pada bardzo daleko''. Napomknę tylko krótko o ogólnych przyczynach przestępczości młodzieżowej. Np. industrializacja, przechodzenie ze wsi do miast i zmiana roli i nie tylko rodziców, ale i dziecka. Uczestnictwo dzieci w pracy miejskiej rodziców jest niemożliwe, i zabronione przez prawo. Szereg pokoleń, po przeflancowaniu ze wsi do miast jest po prostu wysadzone z siodła. Ludzie tylko powierzchownie dostosowują się do nowych warunków. W nowych warunkach miejskich zanika wszechładna siła opinii społecznej piętnującej wykroczenia jednostki przeciwko ustalonym pojęciom dobra i zła. Jednostka nie czuje przynależności do społeczeństwa. Trzeba by długich lat współżycia i zadomowienia się, aby tę przynależność odnaleźć. Czasem wpłyną na to kataklizmy zewnętrzne.

Reasumując przyczyny przestępczości młodzieżowej trzeba stwierdzić, że są one wynikiem procesów ogólnych, których nie jesteśmy w stanie zatrzymać, że te procesy wpływają na rodzinę i jej ustosunkowanie się do społeczeństwa. Rodzina jest degenerującą się komórką, którą musimy ratować, jest bezpośrednim źródłem przestępczości, która będzie produkowała nową przestępczość w przyszłości. Walka jest prowadzona na dwóch frontach: pomoc rodzinie dziecka i pomoc samemu dziecku.

Wróćmy jeszcze raz do piętnastu omawianych dziewcząt. Na podstawie szeregu odpowiedzi opracowałam w 14-tu punktach „ideał matki", widziany oczami dziewczynki przestępczej w szkole poprawczej.

## IDEALNA MATKA

1. Matka jest miła, przyjemnie jest z nią przebywać.
2. Kocha swoją córkę i okazuje jej to.
3. Rozmawia z córką i ma czas przeznaczony tylko dla niej.
4. Zawsze mówi prawdę. Jest uczciwa w odpowiedziach na pytania córki.
5. Jeśli córka zasłuży na karę, matka karze ją przez ograniczanie jej przywilejów.
6. Dba o wyżywienie i ubranie córki.
7. Posyła swą córkę do szkoły i interesuje się jej wykształceniem.
8. Stwarza przyjemny dom, do którego można zaprosić koleżanki i kolegów.
9. Wie z kim i gdzie przebywa jej córka.
10. Pomaga jej we wszystkim i stara się ją zrozumieć.
11. Nie wymyśla i nie kłóci się w obecności córki.
12. Nie upija się.
13. Ubiera się schludnie i ładnie, tak, że córka jej może być z niej dumna.
14. Matka zawsze pozostaje u boku córki, cokolwiek przydarzyłoby się córce. Nie odwraca się od niej i nie potępia jej.

Ten surowy kodeks, formuła na doskonałą matkę jest całkowitym tworem 15-tu dziewcząt ze szkoły poprawczej, przedstawicielek tej młodzieży, którą kategoryzujemy słowem: *delinquents*. Skąd więc to wysokie pojęcie o roli matki, bo przecież nie przyjęły go całkowicie od własnych matek? Nie łudźmy się też ani na chwilę, że zastosują go w całości we własnym życiu. Można przypuszczać, że na ustalenie tych pojęć wpłynęła nauka w szkole, kościół (chociaż wiele z nich nie chodzi do kościoła), prawdopodobnie zasady moralne zasłyszane na telewizji czy w kinie. Zastanawiające, jak bardzo

ten ideał matki zbliżony jest do ideału matki przeciętnej dziewczyny amerykańskiej, tylko jakby bardziej wyostrzony, surowszy, bardziej dramatyczny.

## 5. SOC-INTERNISTA (OPIEKUN SPOŁECZNY) I MŁODZIEŻ PRZESTĘPCZA

W pracy z dziewczynką lub chłopcem, który ma na sumieniu wykroczenie przeciwko prawu, albo zasadom społeczeństwa, opiekun społeczny stara się przejąć na siebie rolę matki lub ojca. Umiejętność jego polega na złagodzeniu i naprawieniu obrazu matki lub ojca. Jest matką rozumiejącą, dobrą, która słucha, potrafi wytłumaczyć, ale także i skarcić i wymagać rzeczy zasadniczych. Jak zwykle w socjoterapii trzeba najpierw zbudować most porozumienia, na którym spotkają się opiekun społeczny i dziecko, ale z którego w odpowiednim momencie opiekun musi się wycofać, aby pozostawić miejsce dla prawdziwej matki i dla ludzi innych, którzy od tej chwili będą nie tylko symbolem matki, ale i opiekuna.

Sędzia skazujący dziecko na szkołę poprawczą zwykle nie podaje terminu jego uwolnienia. Dziewczynka pozostaje w szkole około 10-12-tu miesięcy, najkrócej sześć, a są i takie, które pozostają w szkole dłużej niż dwa lata. Jeśli dziewczyna nie wraca do własnego domu, agencja społeczna, która współpracuje ze szkołą poprawczą, wyszukuje dla niej miejsce w *foster home*, gdzie otrzyma opiekę, jedzenie i będzie dzieliła pokój z jedną lub dwoma dziewczynkami w jej wieku. Jeśli dziewczynka jest starsza i może pracować, utrzymanie i pokój opłaca z własnych pieniędzy, w przeciwnym razie agencja pomaga jej finansowo, albo dopłaca opiekunom *foster home* do ustalonej z agencją kwoty za utrzymanie i opiekę. Wniosek o zwolnienie dziecka ze szkoły poprawczej podaje jego opiekun społeczny. Wniosek ten musi być dobrze umotywowany i przedstawiony pod dyskusję na konferencji szkolnej, na której zwykle obecni są : kierownik szkoły, lekarz psychiatra, psycholog i przedstawiciel stanu. W dniu uwolnienia dziecka opiekun społeczny jest obecny w sądzie, gdzie są już wezwani rodzice dziecka i gdzie sędzia formalnie zwalnia je ze szkoły poprawczej. Następnie opiekun społeczny odwozi dziecko do agencji społecznej, gdzie przekazuje je pod opiekę innego soc-internisty, który odtąd będzie z nim pracował. Cotygodniowe wizyty dziecka w agencji będą trwały rok lub pół roku, w zależności od wieku klienta i jego zachowania. Stopniowo też wizyty będą rzadsze, dziecku zostawia się coraz więcej swobody i pod koniec widuje się je tylko raz na miesiąc. Wizyty w agencji są obowiązkowe i nakazane z góry przez sąd.

Jednocześnie rozpoczyna się intesywną pracę z rodzicami lub tylko matką czy opiekunką dziecka.

W krótkim tym szkicu nie jestem w stanie rozwinąć szerzej wszystkich aspektów pracy opiekuna społecznego w dziale agencji zwanej *protective services*. Chciałabym tylko dodać, że pomoc zabezpieczająca przed dalszą przestępczością nie obejmuje jedynie *delinquents*, ale również tzw. *pre-delinquents*, te dzieci które mogłyby się stać przestępczymi. Jest to dział nowy i okazuje się, bardzo skuteczny.

## 6. SZKOLENIE OPIEKUNÓW SPOŁECZNYCH

Kandydat na opiekuna społecznego, na stopień magistra prac społecznych (M.S.W.-*Master of Social Work*) musi odpowiadać wymaganiom nieco innym niż kandydat na stopień np. magistra praw czy inżyniera. Studenci *Social Work* mają już często ukończony jeden fakultet, ale wymagane są zasadniczo cztery lata *college*'u. Oprócz tego kandydat musi się wykazać doświadczeniem w pracy społecznej i odpowiedzieć na pytanie : dlaczego chce zostać opiekunem społecznym. Zainteresowanie ludźmi, chęć pomocy innym jest zwykłą odpowiedzią.

Pytanie : *Why do you want to be a social worker?* było moją zmorą podczas dwóch lat studiów i trzyletniej praktyki w agencjach społecznych. Badano mnie na wszystkie możliwe sposoby; czy naprawdę, czy na pewno, a dlaczego, a czy jestem przekonana ? Miałam wrażenie, że wstępuję do zakonu. Podobało mi się to tylko pod tym względem, że nie było mowy o pieniądzach i *business*'ie tak typowym dla Ameryki. Amerykanie uważają, że *social work* jest pewnego rodzaju powołaniem. Przechodziłam ogniowe próby, cotygodniowe godzinne konferencje, które kończyły się zapewnieniem, że jeśli *social work* mi nie odpowiada, to jest jeszcze czas, aby się wycofać. Najlżejsze potknięcie się językowe nie było brane na karb mojej niedoskonałości językowej, ale ,,co to ja chciałam przez to powiedzieć''. Były to sprawy, których nigdy nie spotkałam na uniwersytetach polskich.

— Bo będziesz miała do czynienia — powiedziała jedna z moich kierowniczek — bo powierzamy ci to co mamy najdroższego : kierownictwo psychiczne klientów naszej agencji. Masz w ręku broń, która użyta umiejętnie może wyleczyć, ale zastosowana nie odpowiednio może zwichnąć życie ludzkie''. Muszę jej przyznać, że miała rację. Odpowiedzialność moralna opiekuna społecznego jest ogromna.

Wspomniałam na początku, że socjoterapia przenika do Europy. A oto jeden z przykładów. *Social work* została importowana z U.S.A. do Włoch po drugiej wojnie światowej, w roku 1946. Zainicjowano ją na konferencji w Tremezzo pod auspicjami U.N.R.R.A. Pomoc finansowa i techniczna dostarczona została z USA. W ślad za konferencją zaczęły się

rozwijać pierwsze szkoły *social work*. Obecnie największy przemysł stalowy we Włoszech posiada fabryczną *social service*, która obejmuje opiekę nad pojedyńczym pracownikiem. Udziela zasiłków finansowych, interesuje się i pomoga w trudnościach osobistych i rodzinnych i w przystosowaniu się pracownika do rodzaju wykonywanej pracy.

## UWAGA NA MARGINESIE

Trudno mi przemilczeć fakt jak moja odrębna narodowość wpływa na moich klientów. Oto jeden z przykładów: Basia ma lat 14 i jest śliczną dziewczynką o ogromnych niebieskich oczach. Barbara właściwie nie ma domu, jest dzieckiem nieślubnym, a do szkoły poprawczej oddano ją, gdyż spacerowała na ulicy z prostytutką i namawiała marynarzy, ażeby ,,zapoznali się'' z jej towarzyszką, za co ta fundowała jej ,,coca colę'', lody, albo kino. Matka Basi to ogłupiałe stworzenie, zaniedbane, nie dające sobie rady z sześciorgiem dzieci, które przybywają co rok, a każde od innego ojca. Ojciec nie interesuje się Basią, ma przyjaciółkę, która jest o nią zazdrosna.

Moja przyjaźń z Basią przechodziła rozwój klasyczny od zupełnej nieufności, podejrzliwości, aż do zwierzeń intymnych, scen zazdrości o inne dziewczęta w szkole poprawczej i rozpaczliwych wyrzutów, gdy nie mogłam jej zobaczyć i gdy opuszczałam szkołę poprawczą.

Nauczycielka powiedziała mi, że Basia nie chce uczyć się historii. Zapytałam dlaczego bojkotuje ten przedmiot.

— Nienawidzę historii — odpowiedziała Basia — nie chcę uczyć się konstytucji Ameryki, nic z tego nie rozumiem.

Wzięłam podręcznik i starałam się przygotować razem z nią lekcję.

— Czy pani wie — przerwała mi — że dostałam 100 (najwyżej stopień) z wypracowania o *foreign countries?*

Pochwaliłam ją i powiedziałam, że w takim razie powinna sobie dać łatwo radę z innymi wypracowaniami.

Basia pokręciła przecząco głową.

— Mnie tylko interesują *foreign countries*. Nic więcej.

Zaciekawiona, spytałam dlaczego. Basia wzruszyła ramionami, a wreszcie patrząc na mnie spod oka spytała:

— Dlaczego nie wraca pani do swego kraju?

Zaskoczyło mnie to, ale odpowiedziałam spokojnie, że teraz nie byłoby to takie łatwe, że zdecydowałam się mój kraj opuścić.

— To jest właśnie to samo co ja chcę zrobić — zawołała ucieszona — uciec stąd do innego kraju, zupełnie tak samo, jak pani.

*Danuta MOSTWIN*

# Mój Londyn

*„Il ne faut laisser d'indécision dans aucune chose"*

Corot

Na początku parę wyznań. Po trzech latach Akademii w Krakowie i dwóch latach Paryża zdawać mi się zaczynało, że nigdy muru nie przebiję. To był rok 1926. Poza krótkimi chwilami dosłownie co parę miesięcy, godzina najdalej, — błąkałem się pędzlem po płótnie z nieustannym uczuciem, że jestem OBOK. Ta praca w ciemności była, nie przesadzam, męką. To znaczyło, że nie umiałem związać oka z ręką, że nawet uwagi skupić nie umiałem w spojrzeniu, że widziałem oddzielne fragmenty rzeczy, nigdy całości. Ostatnie dwa czy trzy miesiące nie malowałem już wcale. Musiałem zarabiać na życie i nieraz do dwunastu godzin dziennie ślęczałem nad rysunkami do żurnalów mód. Były to lavis z ostatnich modeli sukni. Na ukośnie ustawionej desce miałem ułożony papier i zalewałem moje rysunki różnego natężenia czerniami, najmniejsza niedbałość, zalanie nie dość gładkie, czy guzik za wysoko, kokardka za nisko i rysunek już był nie do użycia. Te moje lavis były zresztą z reguły odwalane przez redakcję tych żurnalów.

Był dzień moich urodzin. Odwiedzili mnie najbliżsi koledzy Waliszewski i Jan Cybis. Podziwiałem ich. Byli naprawdę dla mnie mistrzami, wierzyłem im. Przyprowadzili kolegę, stypendystę z Polski, oprowadzali go od paru dni po galeriach, oni, starzy Paryżanie (już blisko dwa lata w Paryżu) i mowa była tylko o malarstwie. Zaraz od wejścia Waliszewski poprosił bym zdjął ze ściany i pokazał gościowi moje ostatnie dwie martwe z lata. Te martwe były dla mnie ostatnią nadzieją, deską ratunku w zwątpieniu. Owoc ostatniego okresu

intensywnej pracy malarskiej i jak mi się zdawało — postęp, ślad malarstwa.

Waliszewski z gościem z Polski uważnie oglądali martwe, czekałem pochlebiony ich uwagą.

,,Widzisz — powiedział mu Waliszewski — to argument dla tego co twierdziłem w tramwaju''.

Powiesiłem znów obrazy, koledzy przynieśli butelkę wina, języki im się rozwiązały i po jakiejś godzinie, jak sami stwierdzili, powrócili znów do tematu przerwanego, tematu dyskusji w tramwaju. Waliszewski twierdził, że docierają do malarstwa wybrani, że są ludzie, którzy pomimo pracy i najlepszej chęci nigdy nie będą w stanie malować naprawdę, że ten świat jest dla nich na zawsze zamknięty. Moje płótna, tak uważnie oglądane zaraz po przyjściu, były, zrozumiałem to nagle, właśnie tym ostatnim argumentem, którego użył by przekonać gościa z Polski, że tak jest właśnie. Jeden Cybis wówczas bronił tezy, że nigdy o nikim nie można tak mówić. Nie dałem po sobie poznać, że powiązałem tamtą dyskusję z oglądaniem moich płócien, ale to odkrycie przeżyłem jak nieoczekiwany cios. Ludzie, do których miałem największe zaufanie malarskie, najbliżsi przyjaciele, tak możliwości moje malarskie oceniali.

Zdaje się, że tego wieczoru dopiero STAŁEM SIĘ malarzem, bo zrozumiałem, że nadal tę ścianę ciemności będę próbował przebijać, nawet przyjmując ewentualność, że jej nigdy nie przebiję, bo oderwać się od malarstwa nie mogę. Dotknąłem jakiegoś dna. Skąd ten upór, sam nie rozumiem. Rysunki moje z wczesnej młodości były manieryczne i fałszywe, gdy zdolności do muzyki, nad którą dużo pracowałem w tamtych czasach nikt mi nie odmawiał. W latach paryskich zaś już wiele pisałem, bredziłem to Dostojewskim to Norwidem, no i wiele spraw ŻYCIA mnie przejmowało. Więc dlaczego pchałem się do malarstwa nie zachęcany przez nikogo i będąc właśnie w tej dziedzinie wyjątkowo tępy, wprost bez talentu?

Po tym wieczorze przyszły trzęsienia ziemi innej natury, rozpaczliwe próby wśród całej naszej grupy kapistów zdobycia materialnej podstawy dla utrzymania się w Paryżu, przeróżne imprezy, które chronicznie kończyły się fiaskiem, a nieraz kompromitacjami, które spadały przede wszystkim na mnie, bo wówczas ja jeden mówiłem po francusku, i dlatego przede wszystkim byłem prezesem kapistów. W najgorszej chwili najgorszych opałów i zupełnej rozterki mnie uratował tyfus. Nagła pomoc przyjaciół. Skutek choroby : oderwanie zupełne od trosk praktycznych, od nieustannego napięcia nerwów, od wszelkich prób malarstwa. Ledwo jeszcze włócząc nogami pojechałem do Anglii i zamieszkałem w małym domku pod Londynem u wuja profesora, gdzie przez parę tygodni zupełnej bezczynności leżakując na małym starannie wystrzyżonym trawniku czytałem Prousta — tu się zaczęła moja wieloletnia intoksykacja Proustem.

Któregoś dnia ruszyłem do Londynu do National Gallery. Oglądałem setki płócien bez specjalnego wrażenia, przechodząc już bardzo zmęczony od sali do sali i nagle zobaczyłem małe płócienko. Mężczyzna, w ciemnej kurtce i jasnych spodniach na siwym koniu, na tle ciemnej oliwkowej zieleni lasu. Mężczyzna miał zdaje się miękki słomiany kapelusz na głowie. Do dziś, po trzydziestu paru latach WIDZĘ to płótno, widzę tych parę nikłych szarości i tę czerniawą corotowską zieleń. Trudno mi mówić o tej chwili, ale po latach Krakowskiej Akademii, Paryża, po tygodniach spędzonych w Luwrze na pilnym oglądaniu, czy jeszcze pilniejszym tępym kopiowaniu Poussina — pierwszy raz w życiu tak przeżyłem malarstwo. Przecież i przed tym iluż obrazami się zachwycałem. W dzieciństwie Matejką, twarz Skargi, postacie w Batorym pod Pskowem, potem Hodlerem (Die Musik miałem nad biurkiem), potem Wyspiańskim, Salomea, Bóg Ojciec w witrażu, aż po Van Gogha, którego kolorowe reprodukcje oglądaliśmy w sklepie Aleksandrowicza na Basztowej. W podziwie dla Van Gogha był już także moment malarskiego, prawdziwie malarskiego zachwytu, ale grała tu i radość niespodzianki i nowości i samej gwałtowności zestawień kolorowych jeszcze reprodukcją zbrutalizowanych. Mój zachwyt dla prac moich kolegów jak Waliszewski, Cybis i wówczas kubizujący Jarema, był ściśle związany z zachwytem dla ich stylu życia, furii malarskiej, bezwzględności i gotowości zawsze postawienia wszystkiego na jedną kartę malarstwa. Od tych pierwszych przeżyć w Akademii krakowskiej po mój Londyn z 1926 przeżyłem już wiele obrazów. Wczesny Derain, niektóre obrazy Bonnarda, jakaś złota gałąź palmy na fioletach i kobaltach nieba i wody, Matisse i już Cézanne; od dawna, zdawało mi się, umiałem rozróżnić malarstwo od opowiadanej pędzlem literatury, wchodziłem w ten świat poprzez jakiś nowy dreszcz kolorystycznych ,nieoczekiwanych zestawień, poprzez prowokacyjną brutalną deformację. Ale Corot, jak właściwie wszyscy dawni mistrzowie, był dla mnie ciemny. Jeździec Corota, ten mały obrazek, takich Corotów widziałem już setki, właściwie nie rozróżniając ich, nie wyczuwając tej przestrzeni, która te obrazy dzieliła od niezliczonych pejzaży malarzy salonów jego epoki, w Paryżu czy nawet tych które widywałem w Zachęcie Warszawy.

Dlaczego wówczas właśnie, po latach wysiłków i targaniny, po latach szkoły i wysiłku by WIDZIEĆ, widziałem tak mało i właśnie wówczas kiedy od szeregu tygodni nie dotknęłem do farb, kiedy w chorobie, w czytaniu, w wolnym powracaniu do zdrowia, przy zupełnej niewiadomości jak będę mógł malować w przyszłości — opuścił mnie ten nieustanny jakiś skurcz woli — zobaczyłem malarstwo?

Nie chciałbym przesadzać, ale zdaje mi się dziś po trzydziestu paru latach, że od tej chwili niczego więcej się nie

nauczyłem, że sama istota doznania malarskiego, która wówczas mnie nawiedziła PO RAZ PIERWSZY została we mnie ta sama, że to przeżycie wcale nie wstrząsające, ale jakieś ciche, pełne, od woli mojej wcale niezależne, rozlało się jakby na setki innych przeżyć i dlatego do dziś nie umiem myśleć o National Gallery bez wzruszenia.

Nie mając pewności czy to Tate Gallery czy National Gallery była tą galerią z Corotem, prosiłem o te informacje przyjaciela malarza z Londynu. Odpisał mi i mówiąc o ,,moim Corocie'' dodał ,,powracałem do tego obrazu kilkakrotnie, ale przy bardzo szlachetnej powierzchni ten obraz potraktowany jest zbyt fotograficznie. To znaczy, że dziś mógłby być wykonany od początku do końca z pomocą techniki fotograficznej...''. A więc obraz, który mi ODKRYŁ istotę malarstwa, właśnie poprzez swą absolutną, jakże intymną, własną muzykalność i czujność, wydał mi się przeciwieństwem fotografii, szczytem wyczucia formy i gry barwnej — może dla malarza, którego bardzo cenię, być ,,prawie fotografią''? Czy nie ma tutaj nowego spłycenia wrażliwości na formy istniejące w naturze, na podpatrzone w naturze działania barwne, spłycenia, które zawdzięczamy dziś dominacji kierunków abstrakcyjnych; uczulając artystów na ,,rytmy'', na faktury obstrakcyjne, jakże zubożyły one, stosunek artysty do natury widzianej.

Świadomość, że naraz jakiś kolor najniklejszy może zagrać jak akcent jedyny... naraz jakaś mieszanina szarości i ugru, parę plam, o których się mówi, że są brudne, przy ostrych kadmiumach, czystych szafirach i zieleniach — gra jak srebro. Cały Bonnard jest w tych niespodziankach. Proust gdzieś pisze, że dekoracje Baksta w pierwszych diagilewowskich baletach odkryły mu nagle, że można ze zwyczajnego kawałka papieru stworzyć iluzję srebrnego księżyca. Dla mnie Bonnard był chyba tym Bakstem. Harmonie Bonnarda, gdzie było tyle fioletów tak źle widzianych w latach 20-30-ych, bo jeszcze pamiętaliśmy fiolety secesyjne, nagłe rozegranie szarości brudnych brązów, zielonej ziemi obok kolorów najczystszych, ta migotliwość drogocenna zrobiona nie wiadomo z czego, z mieszanek najsubtelniejszych i najrzadszych przy nie tylko nie zatraceniu, ale maksymalnym doprowadzeniu obrazu do jedności i do zadziwiającej przy tym wierności pierwszemu doznaniu natury — to całe malarstwo które stworzyło kilometry półplagiatów na całym świecie (banalny, międzynarodowy bonnardyzm jest przeważnie równie okropny jak owoce zarazy impresjonizmu czy kubizmu lub dzisiaj abstrakcjonizmu), to całe malarstwo w swych przejawach najwyższych to jakby wyższa matematyka kolorów, jakiś stopień dalej w świadomości kontrapunktu koloru. Ileż razy stwierdzałem, że najdalsi Bonnardowi malarze współcześni na to malarstwo są jesz-

cze wrażliwi. Ale Corot? Gama najwęższa, pozornie banalna. Walory utrzymane najściślej (w notatkach swoich z natury rysowanych Corot nieraz oznaczał walor numerami od 1 do 24). Kolor lokalny maksymalnie utrzymany tak, że nie mamy nigdy tej bonnardowskiej niespodzianki, choć przecie jakże bardzo Bonnard z corotowskiej tradycji wypływa, przysiąc bym gotów, że Bonnard musiał mieć kult Corota.

Dziś jeszcze gdy patrzę na Corota stawiam go wśród największych, który poprzez minimum środków, minimum efektów dotarł do czegoś co jest w sztuce najprostsze i największe i co pomimo pozorów jest o sto mil od fotografii. I wracając do mego przeżycia w Tate Gallery zdaje mi się, że on dopiero mi odkrył, że najgłębsze wątki psychologiczne, literackie, treściowe, przejawy najoryginalniejszego temperamentu czy najświetniejszej zabawy, których bynajmniej nie myślę lekceważyć istnieć dla mnie zaczynają w obrazie DOPIERO kiedy trafiają do mnie tak jak kiedyś ten jeździec na tle szaro-zilonej ściany lasu. Jeszcze parę lat temu, gdy oglądałem wystawę arcydzieł galerii wiedeńskich w Paryżu, skonstatowałem schodząc ze schodów Petit Palais, że uniesiony entuzjazmem *qualité* barwnej, kompozycyjnej tych płócien — Rubensy, Tycjany, Breughle etc. — nie pamiętałem ani jednego tematu, pamiętałem jedynie tę ,,absolutność'' malarskiej *qualité*. Od czasu szoku, którego doznałem w Tate Gallery (nie znałem wówczas *Czasu Odnalezionego* Prousta, więc scena w podwórzu pałacu Guermantów — *les dalles inégales* — nie mogła tu nawet podświadomie na mnie wpłynąć), przeżyłem niezliczoną ilość odkryć malarskich. Od Goyi i Greca po Flamandów, Zurbarana i tego Cotana, którego odkrycie zawdzięczam dopiero wystawie martwej natury w 1952 w Paryżu — wszystko zdaje mi się być tylko rozwinięciem tego pierwszego i decydującego przeżycia sprzed trzydziestu paru laty w National Gallery i to jest właśnie MÓJ LONDYN.

Główny patron surrealizmu Duchamps dzieli malarstwo na malarstwo siatkówki oka i malarstwo kory mózgowej. Tego pono ,,genialnego'' określenia Duchamps nigdy nie byłem w stanie rozumieć inaczej, jak dość płytki paradoks, bo malarstwa, w którym i oko i kora mózgowa nie biorą udziału nie mogę uznać. Obraz, którego wartość ocenić możemy nie licząc się z reakcją siatków naszego oka, może być świetną czy mniej świetną grą intelektu — taką czy inną zabawą, ale nie malarstwem.

Po co te wyznania? Chciałbym, by czytający te strony, może młody, nieznany mi malarz, uwierzył, że żadne trudności, żadna niemoc, nie powinny być uznane jako coś nie do przezwyciężenia, jeżeli trwa w nas poczucie konieczności malarskiej wypowiedzi. Nie wiemy nigdy co praca nasza jest warta. Aż do śmierci mogą istnieć momenty najgorszego zwątpienia

obok najwyższej pewności — tu wielki przykład Cézanne'a wystarcza. Malarzowi winno chodzić o jedno, o dotarcie W SOBIE do tego, żeby jego przeżycie zrosło się z jego okiem, z jego ręką, a przez to z płótnem, które maluje. To związanie bywa u niektórych jakby natychmiastowe, inni malarze osiągają to po latach. Nie brak talentu, czy tego co ludzie nazywają talentem, a co jest przeważnie tylko łatwością i zręcznością, ale brak *wyboru,* uwagi, ciągłości w pracy naszej świadomości, nas od tego świata błogosławionego odrywa. Wszystkie trudności, które trzeba przezwyciężyć są zapłacone stokrotnie, nie przez sukces żaden, który może być podniecający, przyjemny czy niszczący, ale przez samą pracę jako taką. O tym wie każdy malarz z prawdziwego zdarzenia, bo inaczej nie traciłby tysięcy godzin na robotę, która zdaje się tak wielu niedorzeczna, bo najczęściej bez żadnej namacalnej i współmiernej wysiłkowi korzyści.

O tym wiedział najlepiej... Corot.

*Józef CZAPSKI*

# Gotfryd Benn - Wiersze

## UWAGI WSTĘPNE

Gotfryd Benn urodził się w roku 1886 na Pomorzu Zachodnim jako — jeszcze jeden związek poezji niemieckiej z plebanią protestancką — syn pastora wiejskiego. Posłuszny marzeniom niezasobnych rodziców — w starości ze wzruszeniem wspomina owe gliniane garnuszki z domową marmeladą, które po każdych świętach i wakacjach uwoził w walizie i z których tygodniami czerpał jedyną omastę do chleba — wybrał praktyczną drogę życia i wstąpił na medycynę, studiując kolejno na uniwersytetach w Marburgu i Berlinie. Już wtedy interesował się naukami przyrodniczymi w ogóle i zdobył solidne podstawy swej późniejszej, encyklopedycznej nieomal wiedzy w tym zakresie. Po ukończeniu studiów osiadł w Berlinie, gdzie jako lekarz-dermatolog z dość dużą praktyką spędził — pominąwszy liczne podróże — nieomal całe życie. Tamże umarł 6 lipca 1956 r.

Biorąc pod uwagę jego absorbujące studium medyczne, jako poeta debiutował Benn raczej wcześnie, liczył bowiem dwadzieścia sześć lat, gdy ukazał się pierwszy tomik jego wierszy pod tytułem ,,Morgue'' (,,Trupiarnia''). Są to jak gdyby ,,poetyckie odpadki'' prosektorium i szpitala. Chodzi o tak często we wczesnej młodości spotykaną u jednostek wrażliwych grozę znikomości życia, jednakże poeta wywołuje tę grozę środkami dość manierycznymi, grzebiąc się naturalistycznie w do cna schorowanych lub już martwych organizmach ludzkich (por. niżej wiersz ,,Mężczyzna i kobieta idą przez barak rakowatych''). Zamiast ,,metafizycznego dreszczu'' przed zagładą odczuwamy raczej zdrowe obrzydzenie do tych gór patologii. Poezja nie jest namaszczoną protokólantką wywiadów chorobowych, ani pryncypałką zakładu pogrzebowego. I w dalszym swym rozwoju Benn rychło odszedł od swej maniery, chociaż

na zawsze pozostała w nim obsesja śmierci, którą wszyscy nosi[my] w sobie jak nieuchronnie posuwającą się z latami ku serc[u] drzazgę granatu z jakiejś powszechnej bitwy, mimo że nikom[u] nic nie wiadomo, gdzie i kiedyśmy ją stoczyli.

Łączna spuścizna poetycka Benna jest szczupła, chocia[ż] składa się na nią jedenaście pozycji bibliograficznych. Jeg[o] „Wiersze zebrane" („Gesammelte Gedichte", Limes Verlag, Wiesbaden — Verlag der Arche, Zürich, 1956) mieszczą si[ę] w jednym tomie objętości 360 stronic, ale w tym *non mult[a] sed multum* zawarte jest tyle, że wystarczyło, aby wysuną[ć] go na jedno z czołowych miejsc w liryce europejskiej ostatnic[h] paru dziesięcioleci, chociaż jego poezja — ze względu n[a] rodzaj jej nowatorstwa — nadal budzi wiele sprzeciwów, tak samo jak budziła je w chwili debiutu autora przed czterdziest[u] kilku laty.

Benn wyszedł z ekspresjonizmu i pryncypia ekspresjonizm[u] dają klucz do jego poezji. Pozostańmy przy sformułowaniac[h] najprostszych. Istotą ekspresjonizmu — czy jedną z jego istot, bo trudno ostatecznie definiować kierunek, który nie tylko m[a] swoje miejsce w historii naszego stulecia, ale wciąż działa jak pewna wzbogacająca swe środki metoda twórcza — jest rozkła[d] formy na rzecz wyrazu i treści, co potocznie nazywamy defo[r]macją, skupiając przy tym uwagę bardziej na objawach niż n[a] ich źródle. Epoka, która chce wyrazić treści inne niż poprze[d]nia, odczuwa sposoby formalne i konstrukcyjne swej poprze[d]niczki jako mniej lub więcej przebrzmiałą konwencję, nie umie[ją]cą już służyć nowemu poznaniu. Jest rzeczą znamienną, [że] kryzysy formy artystycznej zbiegają się na ogół blisko z okre[]sami wrzeń społecznych i politycznych lub wielkich odkryć nau[]kowych, wtedy bowiem powstaje nowa rzeczywistość wyma[]gająca nowych środków wyrazu jako odmian naszego poznani[a]. Istnieje wprawdzie coś, co — jak poza tym na świecie — zdaj[e] się być w sztuce wieczne: konstrukcja, kompozycja, pewie[n] układ służący celowi. Ale któż nam zaręczy, że najbardzi[ej] nawet tradycyjnie uznana i nienaruszalna konstrukcja nie je[st] konwencją powstałą jako służebność dla nieważnych już treś[ci] i nieaktualnej już rzeczywistości? Krańcowym, ale najbardzi[ej] chyba poglądowym przykładem były by tu trzy osławione jednoś[ci] pseudoklasyczne w dramacie, które pośród dobrej w nie wiar[y] działały przez jakieś półtora stulecia.

Odnośne poglądy Benna ilustruje chociażby wiersz „Kon[]strukcja", gdzie mowa jest o „priapizmie formalnym na kos[zt] treści", co możemy rozumieć jako inercyjne, nałogowe lub[o]wanie się w nadmiarze tradycyjnego, skostniałego piękna, wśr[ód] którego treść współczesna wiedzie żywot suchotniczy.

Benn jest zdania, że dokonany przez naukę olbrzymi prz[e]wrót w pojmowaniu materii zmusza poetę do szukania abs[o]lutnie pozatradycyjnych środków wyrazu, jeżeli chce on sprosta[ć] swojemu czasowi. Ekspresjonizm ma wielkie osiągnięcia w szt[u]

ıch plastycznych, niewielkie w literaturze, toteż dla indywidual-
ɔści tej miary, co Benn, należy szukać analogii nie w literatu-
e, lecz w plastyce. W jego wierszach spotykamy tę samą
łzeźwość i grozę przy jednoczesnym dążeniu do precyzji, co
a obrazach Beckmanna, Grosza, Picassa. Pełno tu przy tym
rminów naukowych, w szczególności z zakresu medycyny
nauk przyrodniczych, pełno reminiscencji z filozofów i histo-
ków, które zresztą pojawiają się na tych samych prawach,
strzępy snu czy koszmaru. W niemczyźnie, tak przywykłej
skodyfikowanych okresów stylistycznych, zdanie złożone roz-
ıda się na sąsiadujące z sobą po przecinku lub bez znaku
zestankowego zdania główne i nie ociosane kadłuby zdań
z orzeczenia, powstają nieraz anakoluty, słowa chętnie powra-
ją do pierwotnego sensu etymologicznego. Często nieufni,
hyłamy się niby nad jakimś nowym procesem chemicznym
ıltury w tyglu czy probówce i urzeczeni dynamiką poszcze-
ólnych składników, ale niepewni konieczności ich wiązania
ię z sobą, usiłujemy samych siebie przekonać, że wrażenie
aotyczności może być także równoznaczne z naszą nieznajo-
ością obcych lub powstających dopiero praw. Cóż, żeby
zewyciężyć chaos, trzeba go nasamprzód uznać za rzeczy-
istość i z grubsza go przedstawić, zamiast niechętnie odeń
ię odwracać i szukać azylu na ,,oświetlonych pokojach'' ludz-
ości. W tej atmosferze umysłowej realizują się ,,absolutne wier-
e'' Gotfryda Benna.

Polski ekspresjonizm poetycki, do którego zaliczyłbym całą
wangardę, nie miał dość zmysłu dla nowych treści i pozostał
ymś powierzchownym. Pasjonalnie szukając nowych środków
yrazu, położył na wierszu warstwę metaforyki grubości *ele-
antiasis* i w tym się na ogół wyczerpał. Był to — żart po-
aża, więc pobłażajmy żartowi — ów ,,priapizm formalny'',
wnętrznie prawidłowa erekcja bez wewnętrznej potrzeby aktu
wystarczających zasobów koniecznej do tego substancji.

U Benna substancja istnieje w obfitości, jeżeli nawet nie
nadmiarze, albowiem ten *poeta doctus* usiłuje nieraz na
zestrzeni kilkunastu linijek wierszowych powiedzieć wszystko,
wie i co mu się w związku z danym zagadnieniem tłucze
głowie. Większość jego wierszy to poetyckie felietony czy
rzypowieści filozoficzne, w których przeżycia osobiste są na
ół tylko pretekstami do rozważań. Trzeba jednak przyznać,
rozważania te operują językiem eliptycznym i wpadającym
ız po raz w niejasną symbolikę świadomie na surowo rejestro-
anych dialogów wewnętrznych.

To, wraz z powyżej wyrażonymi wątpliwościami, narzuca
– mnie przynajmniej — ostateczną formułę, że cała twórczość
enna jest wielkim, pionierskim, ale p r o w i z o r i u m
o e t y c k i m , biwakiem artysty, który zdecydowanie,
ız na zawsze opuścił przeszłość, zapalił swój własny ogień
— świadom złudnego bezpieczeństwa w tym wątłym kręgu

światła i ciepła — nasłuchuje głosów przyszłości odzywających się tylko w nim, więc brzmiących nie dość przekonywająco dla ucha bliźnich. Może za bardzo był samotnikiem, podczas gdy coś tam na temat przyszłości można się dorozumieć nasłuchując jednocześnie tysiąca owych głosów wewnętrznych, które gadają w wielkich i małych współczesnych.

Trafił zresztą w swojej ojczyźnie na czasy — mówiąc eufemistycznie — sprzyjające samotnictwu myślicieli i poetów: przejrzały imperializm epoki wilhelmińskiej, pierwsza wojna światowa, Republika Weimarska pod znakiem hec odwetowych i bezrobocia, wkrótce hitleryzm, potem druga wojna światowa z jej zbrodniami i chaos powojenny. Trzeba jednak wyraźnie powiedzieć, że bodaj w jakimś odruchu samotnika, który zawsze tęskni za wspólnotą i chciałby przynajmniej raz w życiu do niej należeć, Benn miał na początku okres nieprzyjemnej chwiejności wobec hitleryzmu, ale szybko i krańcowo z nie ukrywanym wstydem odstrychnął się od przydrożnego grzęzawiska własnej łatwowierności. Można by cytować jego wczesne wypowiedzi antynazistowskie, ale poprzestańmy na obrazowo najwymowniejszym jego essayu „Zum Thema Geschichte", napisanym w roku 1943 „do szuflady", w rok cym się od szpicli Berlinie. Zawiera on jedne z najbezwzględniejszych i najbardziej gorzkich prawd, które kiedykolwiek Niemcy powiedzieli Niemcom.

„Oto zgromadziło ich wszystkich — czytamy jakby skr tragifarsy wystawionej na dworze Kaina — uroczyste posiedzenie Niemieckiej Akademii, na które zaprosił Goebbels. Są wielcy matadorzy, profesorowie zwyczajni filozofii i fizyki. Honorowi senatorowie ze starych jeszcze, przyzwoitych czasów. Nosiciele orderów Pour-le-mérite klasy cywilnej, prezesi trybunałów Rzeszy, cesarskie ekscelencje, wydawcy, 'pożądani' powieściopisarze, badacze twórczości Goethego, konserwatorzy zabytków, aktorzy w randze dostojników państwowych, naczel dyrektorzy teatrów, czcigodny kupiec — i wszyscy bez wyjątku cierpliwie znoszą antysemickie brednie Ministra. Z zainteresowaniem pochylają się ku sobie, gestykulują — przeci niedawno fakultet filozoficzny skreślił Tomasza Manna z lis doktorów honorowych, a przyrodniczy wysłał do obozu antropologa, który nie chciał współdziałać z idiotycznymi teutonizmami. Każdy z obecnych wie, że jeden z najszlachetniejszy duchownych, były komendant łodzi podwodnej, mający za so dwanaście wypraw na nieprzyjaciela, torturowany jest w obo koncentracyjnym, ponieważ nauczał, że Bóg jest większy n ten Hitler. Każdy z obecnych tu naukowców wie, że zasię się opinii dozorców i blokowych, czy zamieszkałemu w i dzielnicy uczonemu można powierzyć katedrę, wszyscy b wyjątku widują ciężarówki, na które ciska się dzieci żydowsk zabrane na ludzkich oczach z domu, aby zniknęły na zaws. To dzieło tego Ministra. Wszyscy podnoszą ramiona i okl

kują tego Goebbelsa. Siedzą tu agnaci starych rodzin, które wydały Novalisa, Kleista, Platena, Droste-Hülshoff. Siedzą jeden przy drugim potomkowie wielu głośnych rodów pastorskich, które przez cztery stulecia pięćdziesiąt dwa razy w roku głosiły przykazanie miłości, siedzą ramię w ramię z czcigodnym kupcem, którego prawem winno być dotrzymywanie słowa i umów, po społu zabijają Żydów i bogacą się ich zasobami, napadają na małe narody i — jakby to było najnaturalniejsze w świecie — obrabowują je do ostatniego grosza, a zaraz potem ,,do głębi'', i ,,ostatecznie'', i ,,całkowicie'' wespół oczyszczają je z brudu kulturalnego. Nikt nie czuje się związany jakąś tradycją, jakimś rodowodem natury rodzinnej lub umysłowej, jakąś moralnością przodków, jakimś ich dziedzictwem — wszystko nazywają rasą. Akademia Niemiecka ! Nikt się nie poderwie z miejsca, nikt nie splunie na kwietne dekoracje, nie stratuje nogami palm, nie oświadczy, że nie wolno jest twierdzić, jakoby w postaci tych cuchnących szumowin narodowych chciała się wydobyć na światło dzienne jakaś utajona substancja narodu, bo tu czynna jest li tylko narodowa odbytnica i przez tę tubę naród robi pod siebie. Nikt się nie kwapi, żaden z nosicieli orderów Pour-le-mérite klasy cywilnej, żaden z uczonych międzynarodowej rangi, żaden z czcigodnych kupców. Wszyscy klaszczą''.

I jeszcze taka formuła: ,,Wojny bywały waśniami lub wyprawami łupieskimi... Demoniczne stały się dopiero z tą chwilą, gdy wziął górę idealizm niemiecki...''.



Z nakreślonego powyżej opisu poezji Benna łatwo wywnioskować, że jego wiersze nastręczają tłumaczowi niemało trudności. Najważniejszą z nich jest sporadyczna niejasność specjalnego rodzaju, gdyż Benn miewa niejasność tego typu racjonalisty, który pokłada ufność w zbyt wielu ze swych myśli i dając ich naraz aż tyle, częstokroć nie dorysowuje tekstu lub też po trochu go zamazuje, czego przyczyn szukać należy w za liberalnych rygorach selekcji.

Toteż tu i ówdzie czułem się wprost zniewolony do zastosowania pewnej dozy interpretacji, to bowiem, co w języku tekstów oryginalnych jeszcze może uchodzić za wieloznaczność, w przekładzie na inny język, zakotwiczony w innej tradycji poetyckiej i — przede wszystkim — etymologicznej, skłonne jest pogrążyć się w zwykłej już mętności.

Wyjaśnienie to przeznaczone jest dla czytelnika, który by zadał sobie trud kolacjonowania przekładów z oryginałami.

Wiersze zostały ułożone w chronologicznym porządku ich powstawania, według wyżej cytowanej edycji zbiorowej.

*Adolf SOWIŃSKI*

## MĘŻCZYZNA I KOBIETA IDĄ PRZEZ BARAK RAKOWATYCH

*Mężczyzna:*
*Ten rząd to łona w rozkładzie, a tamten*
*piersi w rozkładzie. Łóżko w łóżko cuchnie.*
*Siostry się muszą zmieniać co godzina.*

*Chodź, podnieś kołdrę spokojnie i spójrz.*
*Ta bryła tłuszczu i gnijących cieczy*
*miała w swym czasie rozmiary mężczyzny*
*i upojeniem była, i ojczyzną.*

*Zbliż się, obejrzyj tę bliznę na piersi.*
*Czujesz różaniec z miękkich węzłów? Wolno*
*dotykać. Tkanka rozmiękła, nie boli.*

*Ta krwawi jakby z trzydziestu ciał. Nie ma*
*tyle krwi żaden człowiek.*
*Tej wycięto*
*właśnie z macicy rakowatej dziecko.*

*Nikt im nie wzbrania spać. I dzień, i noc. Nowym*
*mówimy: tu się wyśpisz zdrowo. Tylko*
*w niedzielę na pół się budzą przy gościach.*

*Prawie nie jedzą. Plecy odleżałe*
*aż do ran. Popatrz, co tu much. Niekiedy*
*myje ich siostra, jak się ławki myje.*

*Tu już wokoło łóżek puchnie gleba.*
*Mięso zrównuje się z polem. Żar stygnie.*
*Soki gotowe cieknąć. Ziemia woła.*

## CHOPIN

*W rozmowach nie był na zbyt płodny,*
*poglądy nie były jego silną stroną,*
*poglądy omijają sedno rzeczy,*
*kiedy Delacroix rozwijał teorie,*
*jego ogarniał niepokój, bo ze swej strony*
*nie umiał uzasadnić nokturnów.*

*Błahy kochanek,*
*cień w Nohant,*

*gdzie dzieci George Sand*
*nie przyjmowały odeń*
*żadnych wskazań wychowawczych.*

*Suchotnik*
*w postaci przewlekłej,*
*z krwotokami i zabliźnieniami;*
*cicha śmierć*
*w przeciwieństwie do śmierci*
*z paroksyzmami bólu*
*lub wśród salw karabinowych:*
*przysunięto fortepian (Erard) do drzwi*
*i Delfina Potocka*
*śpiewała mu w ostatniej godzinie*
*pieśń o fiołku.*

*Do Anglii udał się z trzema fortepianami:*
*Pleyelem, Erardem, Broadwoodem,*
*za dwadzieścia gwinei grał wieczorem*
*kwadrans*
*U Rotszyldów, Wellingtonów, w Stafford House*
*i przed niezliczonymi podwiązkami;*
*zasępiony utrudzeniem i bliskością śmierci*
*wrócił do domu*
*na Square d'Orléans.*

*Wtedy pali swe szkice*
*i manuskrypty,*
*byle by tylko wyzbyć się pozostałości, fragmentów, notatek,*
*tych oszukańczych naświetleń —*
*na koniec powiedział:*
*„Moje próby są dokonane na miarę tego,*
*com był w stanie osiągnąć".*

*Każdy palec powinien grać*
*z siłą odpowiadającą jego budowie,*
*czwarty jest najsłabszy*
*(tylko u Syjamczyków służy za średni).*
*Gdy rozpoczynał, palce leżały*
*na e, fis, gis, h, c.*

*Ktokolwiek słyszał*
*któreś z jego preludiów*
*bądź to w willi gdzieś na wsi,*
*bądź w okolicy górskiej,*
*bądź też z drzwi otwartych na taras,*
*chociażby w sanatorium,*
*temu trudno je będzie zapomnieć.*

*Nigdy nie skomponował opery*
*ani symfonii,*
*jedynie owe tragiczne postępy nieskończone*
*z niezawodnością artysty,*
*małą ręką.*

## ST. PETERSBURG — POŁOWA STULECIA

*„Każdy, kto udziela bliźniemu pomocy,*
*jest Getsemane,*
*każdy, kto bliźniego pociesza,*
*jest ustami Chrystusa”,*
*śpiewa sobór świętego Izaaka.*
*klasztor Aleksandra Newskiego,*
*cerkiew świętego Piotra i Pawła,*
*gdzie spoczywają carowie,*
*jako i sto dziewięćdziesiąt dwie inne świątynie prawosławne,*
*osiem rzymskokatolickich,*
*jedna anglikańska, trzy ormiańskie,*
*łotewskie, szwedzkie, estońskie,*
*fińskie.*

*Święcenie wody*
*przejrzystej błękitnej Newy*
*w dzień Trzech Króli.*
*Bardzo zdrowa to woda, unosi precz z sobą odpadki.*
*Dźwiga skarby*
*do Komnaty Perłowej,*
*do Komnaty Bursztynowej*
*Carskiego Sioła*
*wśród Duderhofskich Wzgórz,*
*lazurowe marmury syberyjskie*
*na schody tarasów.*
*Salwy armatnie,*
*kiedy topnieją lody*
*córki jezior*
*Onega i Ładoga.*

*Koncert przedpołudniowy w Sali Engelhardta,*
*madame Stepanow,*
*która była pierwszą kreacją*
*w Glinki „Życiu dla Cara”, zanosi się nienaturalnie,*
*ucierpiał już i baryton Worojewa.*
*Pod filarem,*
*z wystającymi białymi zębami,*
*z afrykańską wargą,*
*bez brwi,*
*Aleksander Siergieicz Puszkin.*

*Obok niego baron Brambeus,*
*którego „wielka uczta u Szatana"*
*uchodzi na szczyt doskonałości.*
*Wiolonczelista: Dawidow.*
*A potem rosyjskie basy: ultragłębokie,*
*dwakroć potęgujące*
*normalny chór basów raz po raz w oktawie,*
*contra-c czyste i pełne,*
*z dwudziestu gardeł*
*ultragłęboko.*

*Na wyspy!*
*Zwłaszcza na Ostrów Kretowski — miejsce sielanek, słowo-sielanka —*
*Baszkiry, brodate Wielkorusy, Samojedy z renami,*
*dalejże na zdobycze zmysłowe i nadzmysłowe!*

*Część pierwsza:*
*„Od goryla do unicestwienia Boga",*
*część druga:*
*„Od unicestwienia Boga do przeistoczenia*
*natury człowieka" —*
*Wódka!*
*Kresem rzeczy*
*czkawka alkoholowa*
*ultragłęboka!*

*Raskolnikow*
*(w ogólności wielce udręczony swym światopoglądem)*
*wchodzi do kabaku,*
*ordynarnej knajpy.*
*Lepkie stoły,*
*harmonia,*
*chroniczni pijacy,*
*worki pod oczami,*
*ktoś go zaprasza*
*„na rozsądną rozmowę",*
*źdźbła siana we włosach.*
*(Inny morderca:*
*Dorian Gray, Londyn,*
*zapach bzu,*
*miodobarwnie kwitnący cytisus,*
*przed domem — czarem parku —*
*przygląda się cejlońskiemu rubinowi dla lady B.,*
*zamawia orkiestrę indonezyjską — gamelang).*

*Raskolnikowa,*
*w głuchym uporze trwającego przy swoim,*
*budzi Sonia „z żółtym biletem"*
*(prostytutka, jej ojciec*

*odnosi się do tego „wręcz przeciwnie, tolerancyjnie"),*
*mówi:*
*„Powstań! Pójdź nie zwlekając ze mną!*
*Zatrzymaj się na rozdrożu,*
*ucałuj ziemię, którąś zbrukał,*
*przed której obliczem zgrzeszyłeś,*
*a potem uderz w pokłon całemu światu,*
*wyznaj wszystkim głośno:*
*jam jest morderca —*
*czy chcesz?*
*Czy pójdziesz ze mną?"*
*I tedy poszedł z nią.*

*Każdy, kto bliźniego pociesza,*
*jest ustami Chrystusa —*

## WIERSZE STATYCZNE

*Poczucie obcości rozwoju*
*jest głębią mędrca,*
*dzieci i praszczury*
*nie zatrważają go,*
*nie wdzierają się weń.*

*Reprezentowanie kierunków,*
*rozprawianie,*
*powroty i odjazdy,*
*to zjawiska świata,*
*który nie ma jasności spojrzenia.*
*Za moim oknem*
*— powiada mędrzec —*
*leży dolina,*
*w niej gromadzą się cienie,*
*dwie topole dają oprawę drodze*
*prowadzącej — ty wiesz dokąd.*

*Perspektywizm*
*jest innym słowem dla jej statyki:*
*liniom dawać punkt wyjścia,*
*prowadzić je dalej*
*według prawa pędów roślinnych*
*— pędy rozpierzchają się —*
*a także jakieś chmary, wrony,*
*rzucać w zimową czerwień porannych widnokręgów,*

*po czym kazać im opaść —*

*ty wiesz — dla kogo.*

## FRAGMENTY

*Fragmenty,*
*odchody dusz,*
*skrzep krwi dwudziestego stulecia —*
*historyczne religie pięciu stuleci zdruzgotane,*
*nauka — pęknięcia w Partenonie,*
*Planck swoją teorią kwantów*
*starł się w nowym zamęcie z Keplerem i Kierkegaardem —*

*Ale były wieczory upływające w barwach*
*Wszechojca, ruchomych, szeroko rozfalowanych,*
*niezniszczalne w swym milczeniu*
*napłyniętego błękitu,*
*kolorze introwersji;*
*wtedy zbierano się,*
*ręce oparłszy na kolanach,*
*po chłopsku, z prostotą*
*i skrycie oddając się napojowi,*
*wokół harmonik parobków —*

*i inne*
*szczwane wewnętrznymi konwolutami,*
*tęsknotą za wznoszeniem sklepień,*
*kompresjami stylów architektonicznych*
*i polowaniem na miłość.*

*Kryzysy w sposobach ekspresji i napady erotyki:*
*to jest człowiek dzisiejszy,*
*we wnętrzu próżnia,*
*ciągłość indywidualności*
*istnieje dzięki ubraniom,*
*które — gdy są z dobrego materiału — przetrwają dziesięć lat.*

*Reszta — fragmenty,*
*półdźwięki,*
*pierwsze nuty melodii z domów sąsiednich,*
*negro spirituals*
*albo awemaryje.*

## KONSTRUKCJA

*Każdy ma swoje niebo, swoją miłość i swój grób,*
*nie zatrzymujmy się nad tym,*
*w zasięgu danej kultury zostało to omówione i przestudiowane.*
*Ale nowa, i to nie cierpiąca zwłoki,*

*jest kwestia konstrukcji:*
*dlaczego coś tak wyrażamy?*

*Dlaczego rymujemy albo rysujemy dziewczynę*
*wprost czy też odbitą w lustrze*
*albo dlaczego cieniujemy na piędzi papieru czerpanego*
*niezliczone rośliny, korony drzew, mury,*
*te ostatnie jako grube gąsiennice z głową żółwia*
*ciągnące się niesamowicie nisko*
*w określonym układzie?*

*Przytłaczająca nieodpowiedzialność!*
*To nie są widoki na honorarium,*
*wielu przy tym umarło z głodu. Nie,*
*to jest popęd w ręce*
*kierowany z daleka, pozycja mózgu,*
*może spóźniony znachor-salwator lub zwierzę totemiczne,*
*priapizm formalny na koszt treści,*
*to minie,*
*ale dziś jest konstrukcja*
*czymś podstawowym.*

*„Nieliczni, którzy coś z tego pojęli" — Goethe —*
*z czego właściwie?*
*Przyjmuję, że z konstrukcji.*

## NOTTURNO

*W sąsiednim pokoju kostki rzucane na drewniany stół,*
*nieopodal para w stadium wsysania się w siebie,*
*z gałęzią kasztanu na fortepianie podchodzi natura —*
*oto milieu, które mi się podoba.*

*Pogrążają się wtenczas procesy myślowe,*
*choroba morska, która człowiekowi w ciągu dnia*
*obrabia centra womitalne,*
*giną w alkoholu i mżawce —*
*nareszcie niknięcie bytu i wybłysk dusz!*

*Leżeć na falach —*
*oczywiście, można utonąć,*
*to tylko sprawa czasu,*
*ale czymże jest czas — wobec oceanów?*
*One były przedtem,*
*przed świadomością i poczęciem,*
*nikt nie wyławiał z nich potworów,*
*nikt nie znosił głębi poniżej trzech metrów,*
*a to jest mało.*

## MINISTROWIE SPRAW ZAGRANICZNYCH

*Biorąc rzecz w pełnych wymiarach*
*narody warte są mszy,*
*ale w poszczególnych wypadkach — pozwólcie trąbie przemawiać*
*[do kotła,*
*teraz Król przepija do Hamleta,*
*scena wspaniała,*
*tyle że koniec szpady jest zatruty.*

*„Izwolski śmiał się".*
*Cytaty pod ręką, bonmots jak z rękawa,*
*tu chłodno, tam chaleureux, peace and goodwill,*
*lepiej już o jedną piszczałkę na dużo,*
*shake-hands Wittego w Portsmouth* (1905)
*były rekordem, zaś pokój zaczął układać się pomyślniej.*

*Przed parlamentem — to nie jest bynajmniej bicie piany,*
*w tym jest metoda jak w sanskrycie lub fizyce jądrowej,*
*ogromne laboratorium: referenci, agencje prasowe, empiria.*
*a i charakter trzeba wyczuć,*
*mówiąc poważnie: ci, co zaszli wysoko, z całą pewnością*
*[mają charakter,*
*nie na przykład z uwagi na sukcesy,*
*ale jest on ich moralnym sex-appealem —*
*a w samej rzeczy: czymże jest Państwo?*
*„Tym, co istnieje wśród istniejących",*
*powiedział już Plato.*
*„Niezgodnością między opinią publiczną*
*a właściwą" (Keynes). Opalizowanie!*
*Życie między les hauts i les bas,*
*najpierw gubernator na prowincji, potem małe stanowisko*
*[na Balkanie,*
*w końcu szef,*
*po czym nowe revirement*
*i wycofanie się do własnych dóbr.*

*Łatwo powiedzieć: przewrotna polityka.*
*Kiedy przewrotna? Dziś? Po dziesięciu latach? Po stu latach?*

*Mezalianse, zdrada, intrygi,*
*wszystko idzie na nasz ciężar,*
*musisz włożyć impregnowany kombinezon,*
*zanim pójdziesz na morze,*
*musisz obserwować, czy orły lecą na prawo, czy też na lewo,*
*czy święte kury odmawiają przyjmowania pokarmu.*
*Gdy Hannibal ciągnął ze swymi słoniami przez Simplon,*

*wszystko było w porządku,*
*gdy potem padła Kartagina,*
*płakała Salambo.*

*Socjalizm — kapitalizm : kiedy rosną winne jagody na szczepie,*
*a przemysł krajowy — dzięki niezwykłym wynalazkom*
*[i manipulacjom —*
*przetwarza ich sok*
*w musujące wino, to przecież trzeba je wypić?*
*Albo czy mamy potępić Celtów*
*za to, że zanieśli masylijską winorośl*
*w drodze wymiany do Galii Przedalpejskiej —*
*w ten sposób potępilibyśmy zaiste każdy tok rozwojowy*
*i wszelkie rozprzestrzenianie się kultury.*

*,,Ministrowie Spraw Zagranicznych na dwugodzinnej*
*[konferencji*
*przyjęli rozwiązanie prowizoryczne''*
*(kwestie ropy naftowej i rurociągu),*
*trzech było w żakietach,*
*jeden nosił burnus.*

## SPOTYKAŁEM DZIEWCZĘTA

*Spotykałem dziewczęta, które,*
*gdyś je zapytał o nazwisko,*
*nieśmiało — jak gdyby nie mogły sobie rościć żadnego prawa*
*do nazwy własnej —*
*odpowiadały ,,Bąkówna''.*
*,,A na imię?'' (chciały ci ułatwić zapamiętanie,*
*nazwisko nie było trudne jak ,,Giedgowdówna'' lub*
*[,,Stołyhwianka'')*
*,,A na imię?'' — ,,Proszę nie zaprzątać sobie pamięci!''*

*Spotykałem dziewczęta, które*
*razem z rodzicami i czworgiem rodzeństwa wzrosły*
*w jednej izbie; nocą, zatkawszy uszy palcami,*
*uczyły się przy kuchennym kominie,*
*zaszły wysoko, zewnętrznie piękne i ladylike jak hrabiny,*
*a wewnętrznie łagodne i skrzętne jak Nauzykaja,*
*obnosiły czyste czoła aniołów.*

*Zadawałem sobie nieraz pytanie, i nie znajdowałem odpowiedzi,*
*skąd się bierze łagodność i dobroć,*
*po dziś dzień nie wiem, a muszę już odejść.*

## INNA WIOSNA
(Parafraza)

*Niech nad czeremchą myśli wieczór spędzą,*
*a gdy i jabłoń błyśnie, zmieszaj obie*
*ze swoją krwią: swym szczęściem i swą nędzą,*
*z pomrocznym mułem, który krąży w tobie.*

*Dni opieszałe. Przeszłość uszła z serca.*
*Koniec, początek? Gdy nie spytasz o to,*
*sandały godzin nie pękną pod stopą,*
*lecz cię poniosą ku kopułom czerwca.*

## CHWIEJNOŚĆ

*W moim domu rodzinnym nie wisiał żaden Gainsborough*
*ani nie grano Chopina*
*sztuka nie postała w myślach*
*ojciec był raz w teatrze*
*z początkiem stulecia*
*na „Dzierlatce" Wildenbrucha*
*tym karmiliśmy się*
*to było wszystko.*

*Dawno skończone*
*siwe serca, siwe włosy*
*ogród w polskim posiadaniu*
*groby bądź tu, bądź tam*
*ale wszystkie u Słowian,*
*linia Odra-Nysa*
*jest obojętna treściom trumien*
*dzieci o nich myślą*
*wdowy i wdowcy chwilę jeszcze jakąś*
*chwiejnie, chwiejnie*
*aż muszą pójść dalej*
*punctum, psalm skończony.*

*Dzisiaj jeszcze tylko wśród nocy wielkomiejskiej*
*taras kawiarni*
*gwiazdy lata,*
*przy sąsiednim stoliku*
*hotelowe eminencje frankfurckie*
*rokowania*
*damy niezaspokojone*
*gdyby ich tęsknota miała masę*
*każda z nich ważyłaby trzy centnary.*

*Ale ten fluid! Gorąca noc*
*à la prospekt biura podróży*
*i ladies wychodzą ze swych konterfektów*
*nieprawdopodobne beauties*
*długonogie, wysoki wodospad*
*niedopuszczalna jest nawet*
*myśl*
*żeby się oddały.*

*Na tym tle zdystansowane są pary małżeńskie*
*przestają przychodzić, bale wpadają w sidła,*
*on pali, ona obraca pierścienie,*
*w ogóle rzecz godna zastanowienia*
*stosunek między małżeństwem a męską produktywnością*
*paraliż albo szczyt popędu.*

*Pytania, pytania! Wspomnienia wśród nocy letniej*
*z dala mrugające, z dala przylatujące,*
*w moim domu rodzinnym nie wisiał żaden Gainsborough*
*zapadło się wszystko*
*całość w chwiejbie*
*punctum, psalm skończony.*

## NIECHAJ NIKT NIE PŁACZE

*Róże, Bóg sam wie czemu tak piękne,*
*w zielonych widnokręgach miasto*
*wieczorem*
*pośród przemijania lat!*

*Z jakąż tęsknotą wspominam te czasy,*
*kiedy mi marka trzydzieści była sprawą życia i śmierci,*
*o tak, zniewolony koniecznością, przeliczałem fenigi,*
*według nich układałem swoje dni,*
*co mówię dni: tygodnie, o chlebie i śliwkowej marmeladzie*
*z glinianych garnuszków*
*przywiezionych z rodzinnej wsi,*
*jeszcze opromienionych domowym ubóstwem,*
*jakże bolesne było wszystko, jak piękne i drżące!*

*Czymże jest świetność europejskich augurów,*
*wielkich nazwisk,*
*kawalerów Pour-le-mérite,*
*którzy patrzą wciąż swego i wciąż robią swoje,*

*ach, piękne jest tylko to, co przemija,*
*ubóstwo, kiedy spojrzeć wstecz,*

*raz głucha groza, która samej siebie nie rozpoznaje,*
*złocha i próżnuje,*
*wspaniały ten Hades,*
*który przyjmuje grozę*
*na równi z augurami —*
*niechaj nikt nie płacze,*
*niechaj nikt nie mówi:*
*u, tak samotny.*

## ZNISZCZENIE

*Zniszczenie —*
*ale tam gdzie nie ma już nic do zniszczenia,*
*w skurczu naśladującym ziemię*
*starzeją się nawet gruzy*
*z babką i cykorią*
*na jakichś aluzjach do gleby.*

*Zniszczenie*
*— to bądź co bądź orzeka: tu była niegdyś*
*masa, budowla, zwarta struktura —*
*o piękne słowo*
*brzmiące akordem*
*do bogactwa pełności*
*i ojczystych niw.*

*Zniszczenie*
*— o zamierzchłe słowo Siedmiu Braci Śpiących,*
*na długo bezpieczne*
*wśród chmur, nawałnic, ściemnień pod listowiem —*
*tam gdzie powinno być lato*
*z napojami owocowymi,*
*z ociekającymi rosą pucharami lodów*
*i zabawami na wybrzeżu, jasną nocą.*

## NIE MOŻE BYĆ ŻAŁOBY

*V tamtym łóżeczku, nieomal dziecinnym, umarła Droste-*
*[Hülshoff*
*widzieć je można w jej muzeum, w Meersburgu),*
*a tej kanapie Hölderlin w wieży, u stolarza,*
*Rilke, George zaś w szwajcarskich łóżkach sanatoryjnych,*
*w Weimarze leżały na białej poduszce*
*ż do ostatniego spojrzenia*
*wielkie, czarne oczy Nietzschego —*

*nie ma już teraz lub już wcale nie ma wszelakich rupieci,*
*nienazwalnych, tracących istotę*
*w bezboleśnie wiekuistym rozpadzie.*

*Nosimy w sobie kiełki wszystkich bogów,*
*to co po śmierci i to co po rozkoszy —*
*kto porozdzielał je: słowa i rzeczy,*
*kto to pomieszał: boleści i ustroń,*
*w której ustają, drewno w łez potokach,*
*na krótki pobyt — żałosny nasz dom.*

*Nie może być żałoby. Zbyt odległe,*
*zbyt niestykalne łóżko i łzy,*
*żadnego „nie", żadnego „tak",*
*narodziny, i ból cielesny, i wiara*
*to falowanie, bezbrzeżne, pierzchanie,*
*nadziemskość, powstając we śnie,*
*wstrząsnęła łóżkiem i łzami —*
*zaśnij!*

(Wiersz ostatni, napisany lub skończony 6 stycznia 1956 na pół roku przed śmiercią).

*Gotfryd BENN*

# Czarny piasek

SZTUKA W 3 AKTACH

OSOBY

JAN WĘGLEWSKI
GASTON MERY
HERMAN ROSENBERG
KAROL DORMANS
FRED DORMANS, 6-letni syn Karola i Marii
HARRY, młody Murzyn
MARIA DORMANS, żona Karola
IZA ROSENBERG, córka Hermana
ROSARIO, służąca Indianka
PARA TURYSTÓW AMERYKAŃSKICH
CHŁOPAK INDYJSKI

## AKT I

*Bar-sklep Hermana Rosenberga w wiosce nad brzegiem Pacyfiku, w Ameryce Środkowej. Październik, pora sucha, późne popołudnie. Bar położony jest nad brzegiem rzeki wpadającej poniżej do morza. Jest to solidny szałas, tzw. „rancho", o ścianach z grubych bambusów wbitych pionowo w klepisko i powiązanych ze sobą drutem i lianami. Dach bez sufitu na stożkowym rusztowaniu także z bambusów, pokryty strzechą z liści palmowych. Kolorem i wyglądem przypomina to dach wiejskiej stodoły oglądany od wewnątrz. Na krokwiach i poprzeczkach rusztowania dachu wiszą kolorowe lampiony i strzępy bibułkowych łańcuchów. W lewej ścianie wąskie, prostokątne okno* (prostokąt leżący) *z siatką przeciwkomarową zamiast szyby, pełną dziur. W lewym rogu nisko wiszący nad podłogą hamak, zaczepiony na lewej ścianie nad oknem i na ścianie frontowej. Stoliki i taborety malowane na czerwono, dywaniki z mat bambusowych. Po prawej stronie bar-lada sklepowa, równoległa do prawej ściany i zaokrąglona od strony widowni. Ściana poza ladą zabudowana jest półkami, w nich — jakby w niszy — lodówka elektryczna.*

*W prawym rogu — też jakby w niszy wśród półek — małe drzwiczki prowadzące do mieszkania Rosenberga. Na półkach mieszanina towarów: kolorowe zwoje tanich płócien, słomkowe kapelusze, zwoje linek, latarki elektryczne i naftowe lampy, puszki konserw, pasiaste poduszki, parasole, rozwieszone „oryginalne" łuki i strzały indyjskie, tanie radioodbiorniki, patefony, aparaty fotograficzne, płyty gramofonowe — tropikalny Sears and Roebuck. Na półce, na tej samej wysokości co lada, widać rząd butelek alkoholów różnych marek i kolorów. Na ścianie lady przypięty napis: „CREDITO ? — NO SENOR". Pod tym, mniejszymi literami: „Kredytu nima". W środku frontowej ściany drzwi dwudzielne, dolna połowa zamknięta. Nad drzwiami świecący nowością transparent z płótna z wielkim napisem: BIENVENIDOS A LA TIENDA SANTA IZABELLA. Po prawej stronie drzwi klatka z papugą. Przez drzwi, przez okno i przez szpary między bambusami przenika do wnętrza rażący blask słońca. Od strony okna dolatują krzyki i odgłosy gry w piłkę nożną i co chwila ukazuje się w nim głowa w słomkowym „sombrero". Czasem widać, jak przed odbiciem piłki głową, gracz szybko zdejmuje kapelusz, odbija piłkę, i znowu nakłada kapelusz. Z daleka, w chwilach ciszy w dialogach, dolatuje wyraźniej muzyka z publicznego głośnika na pobliskim placu: meksykańskie piosenki, dźwięki krajowej „marimby", tanga argentyńskie, jazz.*

*JAN WĘGLEWSKI, wysoki, przystojny mężczyzna, wiek koło 45 lat. W białej koszulce sportowej z krótkimi rękawami wpuszczonej w spodnie, wąskie, piaskowe „farmerki" z drelichu, lekkie buciki płócienne na grubej podeszwie gumowej. Bardzo elegancki przy całej niedbałości stroju.*

*GASTON MERY, Francuz, szczupły, sprężysty, wiek 38 lat, ale wyglądający młodziej. Żywy i błyskotliwy, ale jest to raczej poza osłaniająca człowieka głęboko myślącego i dobrego. Czarna koszulka trykotowa z krótkimi rękawami, czarne wąskie „farmerki" z żaglowego płótna, czerwone wełniane skarpetki i czarne „slippers". Mówi doskonale po polsku, czasem delektując się dobieraniem słów, niemal bez akcentu.*

*HERMAN ROSENBERG, polski Żyd, czerstwy i silny pomimo dobiegającej 60-ki. Koszula w kwiaty wypuszczona luźno na gabardinowe spodnie, nienagannie zaprasowane.*

*ROSARIO, młoda i ładna Indianka w ludowym stroju, zamiata i sprząta żując gumę. Herman Rosenberg za ladą porządkuje towar, przekłada, układa, często przerywa pracę na chwilę i zamyśla się. W czasie dialogu Gastona z Janem zachodzą czasem mieszkańcy wsi i kupują papierosy na sztuki, małe buteleczki wódki albo piwo, wypijając je wprost z butelki przy ludzie. Strój ich, to połatane koszule, białe płócienne spodnie, sandały z resztek starych opon samochodowych lub bosi, na głowie słomkowy kapelusz.*

GASTON (*w hamaku, ze szklanką whisky w jednej ręce, przeciąga się ziewając*) Ouuach — jestem tak rozleniwiony, że nawet umrzeć mi się nie chce.

HERMAN (*nie przerywając pracy*) Szczyt lenistwa można powiedzieć.

GASTON Egzystencjalistycznego.

HERMAN (*wychyla się spoza lady, robi na czole kilka kółeczek palcem i powraca do sortowania towaru*)

PAPUGA Qué calorrrr — qué calorrrr (*i kilka wrzasków papuzich*)

GASTON (*ściąga ze stopy pantofel i rzuca nim w klatkę*) Wchodząc do piekła, powiem jak ten Kubańczyk: z przyjemnością, nareszcie chłodniej. (*dopija resztę whisky i wyciąga się w hamaku wycierając twarz chusteczką*)

HERMAN (*wychodzi spoza lady, podnosi pantofel i odrzuca go flegmatycznie w stronę Gastona*) Panie Gaston — gadaj pan, co się panu podoba, ale zostaw pan mojego ptaka w spokoju. On jest bardzo stary i bardzo nerwowy. On pamięta jeszcze ogłoszenie tego — jak to się mówi — der Unabhängigkeit de éste pais.

GASTON (*zatyka uszy głośno sylabizując*) Niepodległości tego kraju, Monsieur Rozęber. Jak pan zaczyna mówić, to mi pan zawsze przypomina wieżę Babel.

HERMAN Panie Gaston, panie Gaston — kto dziś nie jest ein wenig wieża Babel? — Pan sam, par exemple, co pan jesteś? (*bez ochoty do dalszej rozmowy powraca do przerwanych porządków*)

GASTON No, no — kończ pan, panie Freud.

HERMAN Co no? Co ja mam kończyć? Superduperbabel pan jesteś, jak się mówi po amerykańsku. Może nie? (*wylicza na palcach*) Słuchaj pan: ojciec Francuz, mama Rosjanka, szkoły skończyłeś pan w Wilnie, potem we Francji, na wojnie razem z Degałlem, a teraz własna wyspa na rzece tu, plantowanie węży na skórki, zarzynanie biednych rekinów, pisanie książek... Wydaje się panu, że masz pan wszystko — jak to się mówi — w.....

GASTON (*zatyka uszy*) Gdzieś, gdzieś.

HERMAN Właśnie — w gdzieś. Ale precisamente to się panu tylko tak wydaje. — Ta pana wyspa zapluskwiona wężami, to leczenie Indianów, to pisanie... to — widzisz pan — wszystko na to, żebyś pan mógł myśleć że z pana Gregory Peck, kapitan Nemo, bógwico, a nie wieża Babel. — Do tego z trzema — wisz pan co — co kury znoszą.

JAN Brawo, panie Hermanie! (*patrząc pod światło w szklankę*). Tak — każdy z nas nią jest... Nawet z samym sobą nie można się dogadać. I może od tego wszystko się zaczyna.

HERMAN (*kiwa głową z uznaniem i macha rękami z wyrazem, że dotyczy go to bardziej, niż kogo innego*) Święte słowa, panie Janku, ś w i ę t e słowa pan powiedziałeś. (*zagłębia się w swoich porządkach, ciskając teraz od czasu do czasu jakimś przedmiotem, mrucząc pod nosem lub obsługując opryskliwie klientów*).

GASTON (*po chwili milczenia, w czasie której przygląda się Hermanowi, siada w hamaku i pochyliwszy się w stronę Jana ciszej, aby Herman nie usłyszał*) Wiesz — boję się o naszego starego. Jeżeli ta zwariowana Izia naprawdę zechce wyjechać z Harrym, to on w krótkim czasie wyjedzie — do domu wariatów. (*znowu po chwili, bo Jan milczy*) Ale, à propos, — słuchaj — coś ty robił dziś rano z Dormansem na twojej wieży z beczkami z wodą, czyli wodokaczce. (*żartobliwie, ale z ukrytym niepokojem*) Pojedynek w słońcu?

JAN Daj spokój! (*z opanowaniem, ale jeszcze kipiąc wewnętrznie*) Wyniósł na górę moją białą kotkę — wiesz — Findelkę... wrzucił do beczki i przyglądał się jak pływała czepiając się ścian i nie mogąc wyskoczyć.

GASTON (*cichy gwizd przez zęby, poważnieje jeszcze bardziej*) Całkiem interesująca zabawa. — Był pijany?

JAN (*lakonicznie*) At — diabli go wiedzą, kiedy on jest pijany, a kiedy nie. — Ale chyba był.

GASTON (*po chwili*) No i co? I tak staliście sobie na szczycie wieży i... mierzyliście się wzrokiem?

JAN (*z wyraźną chęcią ucięcia rozmowy na ten temat*) Nawet dość dokładnie to określiłeś. Gdy wymierzyłem, wyciągnąłem już półżywą Findelkę z beczki i zszedłem z nią na dół.

GASTON Tak po prostu zlazłeś na dół? Tout simplement? Bez żadnych rozmów... na szczycie?

JAN Tak. — Czy może chciałbyś żebym podpisał z nim pakt... kulturalny? Wystarczył mi pomiar oczny.

GASTON C'est à dire?

JAN (*już spokojnie, analitycznie*) Możesz się ze mnie śmiać. To trudno wytłumaczyć, ale mówię ci, że w pewnym momencie wyraźnie czułem... jakby ci to powiedzieć?... że czekał, rozumiesz? W wyrazie jego oczu było coś pokrewnego ze spojrzeniem Findelki w beczce... Po prostu jakby czekał, że w tym wypadku nie wytrzymam i uwolnię go... że zrobię za niego to, na co on nie może się zdobyć... Może się zresztą mylę, ale mówię ci że miałem takie wrażenie.

GASTON Krótko mówiąc (*naśladuje wyciągnięcie z kieszeni rewolweru*) — phęę!

JAN Mniej więcej. — On nie jest głupi, zresztą sam mogłeś się przekonać rozmawiając z nim, że to jest „coś lepszego"... a w każdym razie było. — Staliśmy tam na górze, patrzyliśmy się sobie w oczy bez słowa i miałem wrażenie, że on wszystko o mnie wie... że zna na wskroś ludzi mojego typu. — Wiesz, co mam na myśli: tak zwanych kulturalnych, humanitarnych, spokojnych — którzy w

obronie zwierząt zdobywają się zwykle na to, na co nigdy nie mogą się zdobyć w obronie człowieka. Dosłownie widziałem w jego oczach, że próbuje od tej strony... że szuka...

GASTON Jednym słowem wziął cię za Anglika.

JAN (*parskając pobłażliwym śmiechem*) Dziękuję ci za komplement.

GASTON Hm — swoją drogą trudno zrozumieć, jak taka kobieta, jak Maria, mogła zostać jego żoną. Gdzie Rzym, gdzie Krym.

JAN Czort jego wie, co to za człowiek. Może był kiedyś kimś zupełnie innym, niż jest dzisiaj. Nie wiem. Nie mogę jeszcze połączyć pewnych rzeczy, a łącząc je... dosłownie nie mam odwagi iść dalej, rozgryzać do końca.

GASTON (*z udaną obojętnością*) Nie mówiłeś z nią o tym?

JAN Próbowałem, ale poza tym że wyratował jej matkę i ją z kacetu, niczego więcej nie mogłem się dowiedzieć. To mogłoby o nim dobrze świadczyć. — Tylko jak, jako co, w jakim charakterze? — Zasłania i siebie, i jego ze wszystkich stron, a ja — jak ci mówię — raczej nie chcę się domyślać...

GASTON (*ostrożnie*) Zdawało mi się, że zdążyliście już sobie powiedzieć znacznie więcej...

JAN (*niemile zaskoczony, odpornie*) Chyba... moim zachowaniem się wobec niej nie dałem nikomu powodu do takich spostrzeżeń.

GASTON Słuchaj, stary — nie gniewaj się — ale może lepiej, żebyś wiedział. Od dawna wszyscy widzą więcej, niż ci się wydaje.

JAN (*zażenowany, nie bardzo wiedząc jak zareagować, siląc się wreszcie na uśmiech kiwa głową w stronę Hermana*) Stary mnie zdradził.

GASTON Ani słowem. Tylko — przepraszam cię — wystarczy spojrzeć na was, gdy jesteście razem.

JAN Nie... ręczę... za siebie, ale jeżeli chodzi o Marię, to daję ci słowo, że nic takiego nie zauważyłem.

GASTON Widzisz, mój drogi — albo kłamiesz, albo — mówiąc technicznie — twoje sygnały nadawcze są tak silne, że uniemożliwiają ci czysty odbiór. — A nam nie. Przy czym Izia zamieniła się już w superheterodynę. Mogłaby ci przetransmitować cały reportaż.

JAN (*zażenowany, ale jakby z przyjemnością*) Daj spokój — nie pleć głupstw.

GASTON (*bardzo poważnie i z troską w głosie*) Nie, nie — nie machaj ręką. I nie myśl, że cię wyciągnąłem na rozmowę o tym ze zwykłej ciekawości. — Ty mi się ostatnio

zupełnie nie podobasz. Naprawdę. Mówię ci zupełnie otwarcie, że zaczynam się poważnie niepokoić. — O te przyszłe spotkania... na przykład na szczycie. — Jak dzisiaj.

JAN Zupełnie się z tobą zgadzam. — Ja też.

GASTON (*po chwili, niby obojętnie*) Ciekawe, za co to indywiduum pije od rana do wieczora...

JAN Całkiem fachowo ciągniesz mnie za język. — Pośrednio za moje pieniądze.

GASTON Aaaaa?

JAN Za „wynajmowane" w mojej fabryce mieszkanie nie płacą i niemal od pierwszego dnia właściwie ja utrzymuję ją i chłopca. — I oczywiście pośrednio jego.

GASTON Dajesz jej pieniądze?

JAN Nie — co znowu. Stary jej „pożycza" — rozumiesz?

GASTON Rozumiem, doskonale rozumiem. — I na co liczysz?

JAN Na nic; czekam.

GASTON Na co? Że go tą wódą wytransportujesz na tamten świat? To jedna z najdłuższych śmierci. — I najprzyjemniejszych. — Nie zakłamuj się — zawsze się na coś liczy.

JAN Nie zakłamuję się. Po prostu nie dostrzegam jeszcze wszystkiego jasno i wyraźnie.

GASTON Albo nie chcesz. Czy nie sądzisz przypadkiem, że byłby już czas wysunąć trochę głowę z tej mgły i przyjrzeć się temu dokładniej?

JAN Daj mi święty spokój — a zresztą to nic nie pomoże. Czy to takie ważne, w jakiej postaci, wyraźnie albo niewyraźnie, dostrzegasz krople deszczu? — Spadają jedna po drugiej i jedna obok drugiej i — nagle rzeka wylewa... Bo m u s i . (*przesuwa podświadomie po tylnej kieszeni spodni, co Gaston łapie wzrokiem*)

GASTON Tołstojowski fatalizm.

JAN Wierzysz w siłę określeń? Wierzysz że definicja może być regulatorem uczuć?

GASTON Wierzę, że to pomaga. — Na przykład do usypania zawczasu wałów ochronnych.

JAN Mnie nie.

GASTON Bo w gruncie rzeczy ty chcesz, żeby rzeka wylała.

JAN Może... Jednego jestem pewny: gdy dojdzie do chłopca, gdy połapie się, że kocham także jego dziecko... że to uczucie stanowi jakby jedną całość z tamtym... Nie — dajmy spokój. To trudno tak wytłumaczyć.

GASTON Tego się obawiałem.

JAN (*jakby nie słysząc*) Z drugiej strony nie myśl, że ja nie widzę pewnych rzeczy jasno i wyraźnie.

GASTON Zaraz, zaraz — otóż właśnie. Bardzo często dostrzega się pewne rzeczy z taką jasnością wyrazistością tylko dlatego, żeby nie musieć dostrzegać pewnych innych rzeczy. — Taka oślepiająca jasność bywa po prostu wygodna. (*wskazując głową w stronę Hermana i zniżając głos*) On też dostrzega całkiem jasno, (*schyla się biorąc do ręki odrzucony przez Hermana pantofel i nakrywając nim rękę przed włożeniem go na stopę w wymownej aluzji*) dosłownie czarne na białym, tylko pewną rzecz: że Harry jest Murzynem. Ty dostrzegasz, że Dormans...

JAN (*gwałtownie*) Jestem w stosunku do niego najzupełniej obiektywny. Dziś jest to obraz typowego wykolejeńca, skończonego psychopaty, w którym na pewno żarzą się jeszcze resztki myśli. — Jest przy tym doskonałym fachowcem drzewnym — na pewno lepszym, niż ja jako były historyk w produkcji taniny.

GASTON (*cichy świst*) No, no — nie przypuszczałem, że zawędrowałeś już do tego punktu. Wiesz, jak ja go nazywam? Punkt karaluchowy. Całkiem obiektywnie zadeptuje się karalucha. — Bez żadnego uczucia. — Trzask. Zupełnie proste, prawda?

JAN Nie zawracaj mi głowy. Jeżeli chodzi o niego, to ani go nie potępiam, ani nie ma we mnie żadnej nienawiści. Widzę, że...

GASTON Właśnie, właśnie. Nie ma nic. O to chodzi. Ja z tym samym uczuciem zrzucałem bomby na palące się w dole miasta. Wydusić karaluchy...

(*wchodzi para turystów amerykańskich. Rosario rzuca się i wymachuje miotłą przed nimi, Amerykanie z uśmiechem przebijają się przez tuman kurzu i podchodzą do lady. Herman ożywia się i uśmiecha zacierając ręce. Rosario wychodzi drzwiczkami za ladą. Turyści rozglądają się zachwyceni, on pokazuje na łuk i strzały. Herman skwapliwie podaje mu łuk i mówi: „Ten baks". Amerykanin zabiera się fachowo do zgięcia łuku kolanem aby założyć odpuszczoną cięciwę, ale Herman rzuca się, wymachując rozpaczliwie w stronę Gastona*)

HERMAN No, no — brand old — kan brek... Oil, oil (*przesuwa ręką jakby strzykał oliwiarką wzdłuż łuku*) Yukatan — Lacandones put oil...

TURYSTA Oh, yes — I see... (*ogląda z uwagą łuk i strzały, potem odkłada*) It's not original — not from Yucatan, (*uśmiecha się uprzejmie*) Thank you. (*wychodzą*).

HERMAN (*cmoka z rezygnacją*) Panie Gaston — ja nie chcę być unangenehm, ale one jakoś coraz gorzej idą, te pańskie kusze. — Nie tak, jak dawniej.

GASTON Co robić? Widzi pan — nawet groty do strzał ze szkła o r y g i n a l n y c h butelek „Coca Cola" nie pomagają. Prawdziwy krzemień łupany, i nic — nie chwyta. Wie pan, co teraz idzie?

HERMAN No, no — mów pan. Me muero z ciekawości, bo teraz nic nie idzie.

GASTON Ciężkie czasy idą, panie Hermanie.

HERMAN (*odczyniając zły urok rękami*) Wypluj pan to słowo, ja tego nie słyszałem. — Pan zawsze byłeś facecjonista i dyziu, panie Gaston, ale powiedz pan sam — tak poważnie — co to będzie, jak już nawet Amerykanów nie będzie można — jak to się mówi — oszukać?

GASTON Koniec świata. — Bo wtedy wszystkie takie kraje, jak ten nasz, będą musiały wziąć się do uczciwej pracy.

HERMAN Nie daj Boże! — Ale pan je powinieneś robić składane, jak damskie parasolki. A tak, to oni chcą je zaraz łamać, żeby było łatwiej zapakować do walizki.

GASTON Nie łamać — chcą naciągnąć. Niech się pan nie boi. Próbowaliśmy wszystkie z Izią strzelając do ryb, jak Lakandoni. Swoją drogą, jak oni ich tam teraz uczą w tych szkołach. — Wie pan? — Izia na każdą rybę mówi, że to dorsz.

HERMAN (*gwałtownie*) Pan mi teraz lepiej nie wspominaj jej imienia!

GASTON (*przedrzeźniając*) To kto ma mówić, kto? — Nawet nam pan dokładnie nie opowiedział, jak ją pan po tylu latach odnalazł w Polsce.

HERMAN (*z irytacją*) Jak? — Jak w powieści. — Wystarczy, nie? (*po chwili*) I po co ja ją sprowadzałem, po co? Ona szalała, że tatulki, że tropiki, że egzotyki, że nie może wytrzymać, że nienawidzi — jak to się mówi — tak zwaną rzeczywistość. Ja szalałem, że mam córkę, że mindestens to zostało na starość — i co? — Masz pan: przychodzi taki czarny Murzyn z Brytysz Honduras czyli naszego Belice i adiós! Po co oni tacy czarni? po co oni tu najeżdżają? (*po chwili*) — Ja nie jestem rasista, mnie prześladowali za rasę, ja wszystkich straciłem, ja sam straciłem prawe płuco w kacecie... Ale ja czarnych wnuków nie chcę... ja nie mogę... ausgeschlossen, pan rozumie? — Nie, pan nie rozumie. — Ja tyż nie... nul wnimanja... Po moim trupie, psiakrew!... (*ciszej*) Albo po jego. — Wszystko mi jedno. Ja już sam nie wiem... ja nic nie rozumiem... (*woła*) Panie Gaston! (*wychodzi spoza lady i staje przed nią*)

GASTON (*rzucając wymowne spojrzenie do Jana*) Tak...

HERMAN Panie Gaston — wejdź pan za ladę i nalej mi pan diabełwiski. (*Gaston szybko wchodzi za ladę i nalewa „dabla"*) Ja pana przepraszam, ale pan rozumie — jak ja bym zaczął pić z tamtej strony, po tamtej stronie — jak to się mówi — żelaznej kurtyny, to ze mną byłby szlus. (*wypija duszkiem, wyjmuje pulares z kieszeni i płaci. Gaston otwiera szufladkę i wydaje mu resztę pozostając za ladą*) Widzi pan — ja nie chcę nikogo prześladować... ja sam cierpiałem... (*po chwili*) Pan się tak na mnie nie patrz. Pan wie, dlaczego ja żyję z tą Rosario? Ja wiem; pan myśli : — stary rozpustnik, taki — jak to się mówi — lampart. — Nie, wcale nie. Ja z nią żyję, bo ona nawet nie wie, co to znaczy Żyd. (*z zachwytem, już rozgrzany alkoholem*) Pan wie — nie, (*śmieje się*) pan nie wie... Panie Gaston — jak ona przechodzi koło bóżnicy, to ona się żegna, jak przed kościołem. To ja często — jak to się mówi — a proposito...

GASTON (*wpatrzony w niego, z powagą*) Naumyślnie...

HERMAN (*niecierpliwy gest, żeby mu nie przerywać*) ...To ja a proposito, jak z nią jestem w mieście, prowadzę ją koło naszego templum, znaczy bóżnicy, i ja się nie mogę nacieszyć, ja się wprost napawam. — Mówię do niej : ES TEMPLO JUDIO. — To ona : NO COMPRENDO i żegna się, i całuje ten paznokieć na wielkim palcu, i te jakieś szeptałki... Czy pan rozumie, co to znaczy po tym wszystkim mieć koło siebie człowieka, co on überhaupt nie wie, nie r o z u m i e , co znaczy Żyd? (*po chwili, z wściekłym uporem*) Ale żadne czarne wnuki, carrramba ! — Nalej pan drugiego.

GASTON (*przekładając aluzyjnie dłonie*) Znaczy się białe na czarnym może być, ale czarne na białym nie może, co?

HERMAN (*rozwścieczony*) Ja panu zabraniam świńskich aluzji — milcz pan! (*po chwili, uspokoiwszy się*) Pan tego nie może zrozumieć. — Ja tyż nie. — Nalej pan drugiego.

GASTON (*sięga po butelkę z wahaniem*) Panie Hermanie — może lepiej już nie...

HERMAN (*już lekko zamroczony*) Co jest do ciężkiej cholery sakra mokra? Jak ja w ósmym pułku ułanów krakowskich szłem do szarży na bolszewików, to pułkownik Brzezowski — on był z austriackiej armii, z ułanów księcia Szwarcenberga... (*widzi, że Gaston trzyma flaszkę, ale nie nalewa*) Lej pan — non plus ultra — ja płacę, ja wymagam. (*Gaston leje do pełna*)

***(Wchodzi Iza z Harrym, który lekko ją obejmuje, ale na widok obecnych, puszcza ją od razu za progiem. Iza idzie przed nim, prowadzi.***

*IZA jest bardzo ładną i świetnie zbudowaną dziewczyną. Wiek 20 lat Czarne, bardzo krótkie szorty, sandałki bez pięt na szpilkach, biała bluzka bez rękawów z wąskimi ramiączkami, głęboko wycięta na plecach, rozpięta z przodu niedbale i ukazująca „un soupçon" piersi, silnie opalona.*

*HARRY jest młodym Murzynem. Wiotki, wysoki, ubrany cały na biało, w koszuli z długimi rękawami, wielkimi spinkami u manszetów, czerwona „muszka", białe spodnie, skarpetki i buciki, typowa elegancja murzyńska.*

*Iza sadza Harry'ego przy stoliku i muska go ręką po głowie, jakby dla dodania mu odwagi. Herman wypija duszkiem pełną szklankę whisky i odwraca się oparty o ladę, wpatrując się w Harry'ego wybitnie prowokująco. Gaston robi wysiłki, aby ukryć zdenerwowanie, Jan podświadomie przedłuża czynność zapalania już trzeciego papierosa. Naelektryzowana cisza, z odległego głośnika prawdziwy orleański „rag").*

IZA (*do Harry'ego*) Coca-Cola? Cuba libre?

HARRY *Just a Coke*, Iza *Thanks*.

IZA (*woła od stolika*) Rosario! (*Cisza, Rosario nie kwapi się z wyjściem*) A cóż to za leniwy naród. — Rosaaario! (*cisza. Iza wstaje, skopuje ze stóp sandałki i boso idzie za ladę, odmyka lodówkę, wyjmuje dwie butelki Coca-Cola i stawia je na ladzie. Woła teraz ostro wprost w kierunku drzwiczek za ladą*) Rosario! (*wraca do stolika obrzucając wszystkich wzrokiem. Idąc*) Co jest? Murzynaście nie widzieli, czy co? (*siada przy Harrym i zapala papierosa*)

HERMAN (*już wyraźnie podpity, wolno*) Właśnie widzimy — en toda su gracia.

ROSARIO (*wychodzi i żując gumę z szerokim otwieraniem ust i głośnym mlaskaniem, staje za ladą*)

IZA (*pokazując butelki*) Coca-Cola. — *Pero ya, ya — rapido!*

ROSARIO (*rzuca jej lekceważące spojrzenie i do Hermana, z typową wyższością Indian w stosunku do Murzynów*) Y que pare este negrite tambien? (*cisza, Herman nie odpowiada. Rosario otwiera butelki, wrzuca nonszalancko dwie słomki do jednej, bierze dwie drugie, ale po chwili namysłu nagle je odkłada, wyjmuje jedną słomkę z już tkwiących w pierwszej butelce, strzepuje ją i dla dokładniejszego osuszenia z resztek wody, oblizuje ją i wkłada do drugiej butelki. Stawia na tacy i niesie z nieukrywaną niechęcią, wyrażającą się bardzo głośnym żuciem gumy. Stawia tacę na stoliku przed Izą ze szczękiem i wychodzi wolno, nucąc zupełnie po częstochowsku piosenkę Doris Day:* „Que sera, sera — atewer wil bi, wil bi...")

HERMAN (*do Izy*) Dwadzieścia centavos leci!

IZA (*wstaje z butelką w ręce, grzebiąc drugą w kieszonce szortów w poszukiwaniu centów, idzie w stronę Gastona z chęcią wszczęcia rozmowy. Po drodze, do Hermana*)

Zaraz będzie dwadzieścia groszy. (*przygląda się Hermanowi*) Ależ się ojciec naoliwił...

HERMAN Kto smaruje, ten jedzie. (*ostro*) Izia — ja ci już mówiłem sto razy, żebyś ty tu po wsi nie łaziła w szortach.

IZA Jeżeli nie tu, to gdzie ja mam chodzić w szortach? Na Szpicbergu czy innym Rosenbergu?

HERMAN (*jeszcze ostrzej*) Ty się nie natrząsaj z naszego nazwiska.

IZA Przepraszam. (*rzuca prowokujące spojrzenie w stronę Jana*) Zapomniałam, że ojciec też ze szlachty zachciankowej. Wszystkim zachciewało się być szlachtą i to nas zgubiło. (*intelektualnie, do Gastona*) Co pan pisze teraz?

GASTON (*tym samym tonem, z wyrazem twarzy ,,Deux Magots''*) Powieść o miłości starego Hindusa do kozy. Nieletniej, mówiącej trochę po francusku. Gwarantowany bestseller!

IZA Chuligan!

GASTON Staram się łagodzić pani tęsknotę za jedynym krajem, w którym waaarto żyyć.

IZA (x) (*misjonarsko*) Czy pan w ogóle może pojąć sens słowa ,,tęsknota'', ,,żal''? Czy pan, — czy wy wszyscy możecie zrozumieć że tutaj, w tych rajskich krajobrazach ciągle dzwoni mi w uszach tramwaj warszawski ze swoim nudnym, jazgotliwym pytaniem: jak to załatwić? jak to zrobić? Czy wy możecie to zrozumieć, że...

GASTON (*bierze z lady serwetkę papierową, wyciera oczy i siąkając głośno nos między wyrazami*) ..Ojczyzno.. moja... wy... jesteście... jak... zdrowie...

IZA Kosmopolita bez żadnego oblicza etycznego!

HERMAN Iza! — zachowuj się!

JAN (*przechadzając się, do Hermana*) Niech pan da jej spokój. To urok ich pokolenia. — Musieli tak wcześnie wejść w posiadanie osobowości, że jej im potem nie wystarcza na resztę życia.

IZA Moje życie jest takim samym cyklem dialektycznym o znaczeniu moralnym, jak historia i nie mam żadnych dowodów na to, że jest to cykl antydialektyczny niepodlegającej zmianom, raz ustalonej osobowości, panie d e Węglewski. Niech się pan lepiej zajmie swoją.

GASTON Przepraszam?

IZA Proszę. Nie ma za co.

---

(x) Szereg poniższych tyrad Izy wziąłem z Adolfa Rudnickiego i K. Brandysa, bo nic doskonalszego w tym ideologiczno-ojczyźnianym żargonie nie byłbym w stanie wymyślić.

HERMAN (*próbując łagodnością*) Izia, Izia — ja nic z tego nie rozumiem, ale ja ciebie nie poznaję, ich erkenne dich garnicht. Jak ty przyjechałaś, to ty mówiłaś całkiem inaczej, de manera completamente diferente.

IZA (*misjonarsko*) Bo to trzeba przeżyć — ojciec nigdy tego nie zrozumie... nikt tego nie zrozumie, że w socjalizm można naprawdę uwierzyć, naprawdę przeżyć cały jego patos humanistyczny dopiero wtedy, gdy zacznie się żyć poza zasięgiem jego działania, jego...

GASTON I gdy mnie to nic nie kosztuje, bo płacą za to niewierzący w jego zasięgu. (*demonicznie*) Towarzyszko — Zachód już gnije i w was!...

IZA (*wściekła, namiętnie*) Wasz śmiech jest nielojalny. — Wy nic z tego nie rozumiecie i nigdy nie zrozumiecie. Nic, nic, nic. — W naszym ustroju nikt nie jest zapomniany, nikt nie jest odstawiony na boczny tor. — A tu nie obchodzę nikogo... U nas nie ma zbędnych kart, każdy jest grany, wszyscy są na „Tak" albo na „Nie"... Bo jeśli się nie chce, jeśli się jest przeciw, jeśli się nawet nienawidzi tego wszystkiego tam, to choćby n i e n a w i ś ć daje r a c j ę b y t u, daje głos, robi ze mnie c z ł o w i e k a...

GASTON Nadczłowieka. *Ça rapelle les souvenirs...*

IZA (*nie zwracając uwagi, w uniesieniu*) I już nie jestem niczym, jestem k i m ś — nawet jeśli jestem niczym. U nas każdej chwili można za wszystko winić państwo, ustrój... U nas za wszystko odpowiada ktoś, coś — nie ja, nigdy ja, w żadnym wypadku ja. — I to jest faaascynująące, w tym tkwi i d e a, której siłę poczułam dopiero tu, w tej tropikalnej chacie, w tym wodniackim pejzażu, gdzie nagle zobaczyłam, że nie mam co począć z tą w a s z ą wolnością, gdzie widzę, że ona może — zabić.

GASTON For Poland, home and Beauty! (*w zupełnej ciszy siąka przeraźliwie głośno nos w serwetkę lewą ręką i prawą robi w powietrzu znaki krzyża jakby nad grobem. — W czasie tego, niedostrzeżona przez nikogo z wyjątkiem Hermana i Gastona, wchodzi MARIA i staje przy drzwiach. MARIA jest kobietą pod 40-kę, wyglądającą młodo. Zgrabna i powabna, ale ze śladami zniszczenia i zmęczenia ciężkim życiem. Ubrana skromnie, ale z elegancją kobiet, którym od dziecka wyrabiano dobry gust. Lekka plażowa suknia bez rękawów, sandałki, na ręce koszyk z jarzynami. Opalona, typ z charakterem, a jednocześnie nie pozbawiony miękkości, mądra. Herman robi do niej nieznaczny i pełem szacunku ruch, Gaston kiwa głową rozbawiony, jakby mówił „niech pani słucha"*)

JAN (*po chwili dłuższej ciszy*) Rzeczywiście fascynujące. — Jak opowieść o Wielkim Inkwizytorze. Zna ją pani? Kajdany wolności nałożone każdemu z nas przez boskiego głupca.

IZA (*nie tracąc tupetu*) Tam każdy jest grany... A tu co? Pewnego dnia mogą znaleźć w dżungli mojego rozkładającego się trupa i nawet nie zatroszczyć się, kim był. — Nie obchodzę nikogo...

JAN (*patrząc przed siebie, jakby widział*) I nie troszczyć się, dlaczego tam leżał... i kto go podrzucił sępom i mrówkom na żer, żeby pijani policjanci mieli mniej pracy z identyfikowaniem go... Un cadaver no identificado... Przeklęta wolność, w której za wszystko odpowiadam j a, zawsze j a, w każdym wypadku j a... przed samym sobą. — Albo przed Bogiem.

IZA Niech pan nie dehumanizuje moich myśli!

JAN (*z autoironią*) Ja tylko deheroizuję moje własne, panno Iziu. (*Kładzie znowu odruchowo rękę na tylnej kieszeni spodni, co Maria dostrzega*)

GASTON Sorry — czy wy mówicie po polsku?

JAN — Jak panna Iza zacznie samodzielnie myśleć, to będziemy mówić po polsku. (*z uśmiechem do Izy*) Prawda?

HERMAN (*do Izy, na hamowanym głosie*) Słuchaj Iza — ja ci jeszcze raz powtarzam, że ja nic z tego nie rozumiem i ja chcę tylko wiedzieć: wyjeżdżasz z nim, czy nie? (*do Gastona*) Nalej pan! (*Gaston teraz zapatrzony w Izę z zainteresowaniem badacza rzadkich okazów fauny, nalewa bezmyślnie znowu pełną szklankę, Herman wypija duszkiem i grzebie w kieszeni zamglony*)

IZA Wyjeżdżam. Jutro rano pierwszym autobusem.

JAN Niech się pani jeszcze dobrze zastanowi.

IZA Miałam dość czasu na to i zapewniam pana, że robię to z całą świadomością. W nadziei wyzwolenia siebie jako jednostki. — Choć wiem, że jednocześnie stawiam się w sytuacji granicznej, ambiwalentnej i dwubiegunowej, kryjącej w sobie szanse osiągnięcia i chybienia celu.

GASTON Matko Boska, co w Ostrej świecisz Bramie...

HERMAN No i gdzież wy chcecie jechać, co?

IZA Harry marzy o wyjeździe do Anglii.

GASTON To jest kolonializm!

JAN I znowu zostawi pani ojca samego. — Jest pani bez litości...

IZA (*patrząc mu w oczy, bezczelnie, z wyraźną aluzją*) Jak pani Maria.

GASTON (*wylatuje spoza lady, ale widząc, że w tej samej chwili Harry, obserwujący wszystko, wstaje i opiera się o stolik — zatrzymuje się w pół drogi*)

HERMAN (*błyskawicznie wytrzeźwiony podskakuje do Izy i daje jej w twarz*) Masz!

HARRY (*bez słowa, teraz przestraszony, prześlizguje się ku drzwiom i znika, czego Iza nie zauważa*)

IZA (*przykłada rękę do policzka walcząc, aby nie wybuchnąć płaczem*) I tego się ojciec nauczył... Wiadomo, od k o g o.

HERMAN (*z pasją, znowu przyskakując. Iza odchyla się*) Chcesz jeszcze? chcesz? Mało ci?

IZA (*odwracając się, dostrzega Marię i przystaje, jak wryta. Maria uśmiecha się do niej dając do poznania, że wszystko w porządku*) Harry — let's go! (*widząc, że Harry już zniknął, podchodzi do stolika, wsuwa stopy w sandałki i wychodzi w ogólnej ciszy. Jan dostrzega Marię i wita ją ruchem ręki*)

HERMAN (*wchodzi za ladę, otwiera szufladę i wyjmuje z niej olbrzymi rewolwer. Odrzuca na bok bębenek i podkładając fachowo paznokieć przy wlocie lufy, bada jej czystość*) Kaliber trzydzieści osiem — wystarczy. (*upycha sześć ładunków*) Jeden — dwa — trzy — cztery — pięć... To dla niego. ...Sześć — to dla mnie. (*Zamyka bębenek i wsadziwszy wskazujący palec w gardę cyngla, robi na palcu cowboyskiego młynka łapiąc za kolbę i upychając rewolwer za pasek u spodni. Robi to szybko, ale z wyraźną ostentacją. Narzuca koszulę tak, żeby nic nie było widać i nakłada oburącz tropikalny hełm zsuwając na brodę pasek*)

GASTON (*obserwujący go z uwagą*) No — zadowolony pan teraz, co? „Nabity — niechaj krzemień na żelazo pada" — jak mówił ten wasz poeta. — Panie Hermanie — i panu się zdaje, że pan jest Żydem, tak?

HERMAN Co mnie się zdaje, to mi się zdaje, a panu nic do tego. (*do Jana, testamentowo*) A pan pilnuj interesu, panie Janku, bo może kiedyś... kiedy Izi przejdzie... (*wymaszerowuje za drzwi*)

MARIA (*podbiegając, zatrzymuje go*) Panie Hermanie — niech mi pan da ten rewolwer.

HERMAN (*zaczyna łkać*) Pani Marysiu — ja nie mogę, ja nie mogę... Ja panią bardzo szanuję... ale niech mi pani da spokój. Ja myślę o tym od dwóch tygodni... ja... ja nic nie rozumiem... Ale tak musi być!

GASTON Herman — stary — słuchaj — czekaj. Patrz — przecedzimy to przez jeszcze jedną szklankę. To dobrze robi. Będzie ci łatwiej wypluć ten ołów, co go chcesz poł-

knąć. (*wchodzi za ladę i szybko rozstawia szklanki*) O — i Jan się z nami napije — i pani Maria nie odmówi...

ERMAN Panie Gaston — nie bądź pan liberałem cudzym kosztem. Jak wszystkie liberały. Tu chodzi o moją córkę... o moją córkę, panie Gaston... nie o pańską.. (*wyswobadza się od trzymającej go za ramiona Marii i szybko wychodzi*)

AN (*po chwili ogólnego osłupienia*) Nie można go tak zostawić. (*idąc ku drzwiom*) Gotów naprawdę zrobić jakieś głupstwo. Ja go znam...

ASTON (*zatrzymując Jana*) Zostaw to mnie. (*wychodząc*) Biedny stary.

ARIA (*po chwili milczenia*) I kto by się spodziewał?

AN Tak. — Niby nic się nie dzieje, czas upływa spokojnie i nagle, pewnego dnia, o pewnej godzinie, wszystko jest gotowe do skoku. Wtedy dopiero widzisz, że cała ta cisza, nawet chwile krótkiego szczęścia — nie były niczym innym, jak tylko nerwowym drganiem ogona przyczajonego losu.

ARIA Bardzo ładnie to powiedziałeś. — Tylko wiesz — coraz częściej zastanawiam się, czy ten drapieżny los nie jest w większości wypadków usprawiedliwianiem naszej własnej drapieżności. — Biedny stary. Cokolwiek teraz zrobi, oskarży los — nie siebie.

AN Za wiele od niego doznał, by dostrzegać co innego.

ARIA Może... może masz rację. Ale przyznam ci się, że czasem łatwość tłumaczenia wielu rzeczy... wielu... trochę mnie przeraża.

AN Aby dalej żyć, móc żyć, trzeba nieraz łatwiejszych wytłumaczeń... (*po chwili milczenia, w czasie którego obydwoje wyczuwają, że musi dojść do zasadniczej i długo odkładanej rozmowy*) Czy słyszałaś... co powiedziała Iza?

ARIA (*z drgnięciem i chęcią ucięcia*) Et — plecie. Jak to ona. Stary nie powinien był tego robić.

AN (*z trudem, po chwili powtórnego, ciężkiego milczenia*) To znaczy... że w dalszym ciągu nie chcesz dostrzec tego, co inni widzą już całkiem wyraźnie...

ARIA (*gwałtownie*) Proszę cię — nie mówmy o tym.

AN Pewne rzeczy muszą być w końcu powiedziane.

ARIA Po co? — (*ciszej*) Po co? Żeby nam było jeszcze trudniej?

AN N A M — tak?

ARIA (*drżąc, ale z opanowaniem*) Pamiętaj, że jednym słowem, nieopatrznym, można przekroczyć granicę, poza którą przestaje się myśleć.

AN Wymówiłaś je. — Przez pomyłkę?...

MARIA (*stanowczo*) Jestem uczciwa wobec siebie i — wobec ciebie.

JAN W takim razie, jeżeli chodzi o mnie, to chcę abyś wiedziała, że...

MARIA Wiem. — Wiem o tym od pierwszego wieczoru, gdy nas przyjąłeś w swoim domu. Proszę cię jeszcze raz: nie mówmy o tym.

JAN Zastanów się, czego ode mnie wymagasz.

MARIA Wiem, czego wymagam od siebie.

JAN Więc Iza miała rację...

MARIA Janie — dajmy spokój, proszę cię. (*robi ruch w stronę koszyka z zamiarem wyjścia*)

JAN (*zatrzymując ją, zdecydowanie*) Nie. Raz wreszcie muszę wiedzieć. Od początku, od samego początku. Przede wszystkim kim ten... człowiek w końcu był?

MARIA Biednym człowiekiem. Jak każdy z nas.

JAN Dosyć! — Skończmy z kazaniami i z tym ewangelicznym tonem. — Wyratował z kacetu ciebie i twoją matkę. To wiem. Bohater, wobec którego zaciągnęłaś dozgonny dług wdzięczności. — Dobrze. Ale w jakim charakterze zrobił to? Kim był? Jako co?

MARIA (*po namyśle, wpatrując się w Jana, spokojnie*) Jako oficer SS, — Karl Dormans.

JAN (*po chwili*) Domyślałem się.

MARIA Więc po co pytałeś?

JAN Żebyś musiała to wymówić.

MARIA (*ze smutnym uśmiechem*) Chcesz mnie uwolnić od — kompleksu.

JAN Chcę nareszcie wiedzieć i widzieć wszystko jasno i wyraźnie — zrozumieć. Zanim zacznę działać...

MARIA (*drżąc, rozumiejąc*) Nie potrafisz.

JAN Dlaczego?

MARIA (*z wysiłkiem*) Bo... mnie kochasz. To zasłania ci wszystko.

JAN Dobrze, że chociaż tobie to nie grozi.

MARIA (*wpatrując się w niego*) Nie... (*cicho*) Nie mów tego. Po co?

JAN I co dalej? Oficer SS, Karl Dormans, ułatwia ucieczkę tobie i twojej matce...

MARIA Ryzykując własne życie.

JAN Wstępując do SS też je ryzykował. I może coś więcej... jeżeli w ogóle wiedział, że to istnieje...

MARIA (*dobitnie*) Jest Łotyszem. Poznawszy wtedy z bliska jedną ostateczność, która najpierw zwaliła się na jego kraj, poszedł ku drugiej. Nienawiść zamieniała wtedy wielu ludzi w wahadła. Jak u nas — tylko że u nas kierunek wahania był odwrotny. Czy lepszy?

JAN Wahadło, które ty wprawiłaś znowu w ruch — (*z ironią*) w trzecim kierunku. Ku dobru.

MARIA (*zapatrzona przed siebie, jakby widząc tamte czasy i czerpiąc z nich siły*) Wierzyłam i modliłam się.

JAN (*tracąc cierpliwość*) Krótko mówiąc wierzyłaś i modliłaś się aby stał się cud. No i stał się cud. — Na oficera SS spłynęła łaska. — To, że się w tobie zakochał, że szukał sposobu wycofania się nie będąc do tego Niemcem — to wszystko nie jest ważne. — No i cóż dalej? Co wynikło z tej katolickiej powieści?

MARIA (*patrząc mu w oczy*) Teraz wierzę i modlę się za ciebie.

JAN (*kipiąc, ale z zimną ironią*) Słuchaj — czy tymczasem nie mogłabyś być równie rozmowna (*pokazując palcem w górę*) ze mną? Co dalej?

MARIA Och, gdybyś... gdybyś ty potrafił być trochę mniej — silny. Tym tonem niczego ze mnie nie wydobędziesz.

JAN (*podchodzi do niej i energicznie ujmuje ją za ramiona. Maria poddaje się z ulgą, jakby czekała na to. Jan cicho*) Co dalej?

MARIA (*spokojnie, z przymkniętymi oczyma*) I on uciekł, zdezerterował. Ukrywaliśmy się w Paryżu. Wzięliśmy ślub potajemnie...

JAN Kochałaś go?

MARIA (*przeczący ruch głową*) Siedział w ukryciu. Bał się, bał się wszystkiego. Tylko do mnie miał zaufanie. (*przechyliła głowę i przytula policzek do wierzchu jego lewej dłoni*) Ja pracowałam. — Utrzymywałam matkę, już chorą, i jego. — Ponad rok. — Matka umarła. Po okupacji przedostaliśmy się do Hiszpanii. A potem dalej — do Argentyny. Potem dalej...

JAN (*puszcza ją, Maria stoi ciągle z przechyloną głową, jakby jeszcze tuliła policzek do jego ręki*) Tak — zaczynam rozumieć. W Hiszpanii... potem w Argentynie... pomogli wam — pomogli mu Niemcy — tak?

MARIA (*kiwa głową potakująco*)

JAN Dlaczego wyjechaliście z Argentyny?

MARIA (*z trudnością*) Oni... mieli... tam swoje organizacje. Z Hiszpanii dali znać, że on był dezerterem... Grozili... znowu zaczął się bać, znowu bał się. (*gwałtownie*) Janie — ten człowiek już nie wie, kim jest, gdzie jest jego miejsce, na jakim świecie żyje... Janie — miej litość.

JAN Czy nie sądzisz, że rachunek został wyrównany? Że spłaciłaś go co do grosza — z procentami?

MARIA Nie ja mogę o tym decydować.

JAN Więc kto? Jeżeli nie ty, to kto? Od pierwszej chwili jestem gotów zdecydować to za ciebie.

MARIA Takich rachunków nie może podsumować nikt. Ani ja, ani ty.

JAN Przestań mówić przypowieściami, nie chowaj się poza bezsensowne przesądy, gdy wszystko jest zupełnie jasne. Zrobiłaś, co było w twojej mocy, aby z kolei uratować, aby postawić na nogi tego człowieka. — Nie udało ci się. Nie twoja wina. Koniec, kropka. A teraz chodzi o życie twoje, Freda — i moje. Tak, tak — także o moje. O resztę naszego życia, Mario... Ja — przecież wiesz o tym — ja kocham was obydwoje — i ciebie, i to dziecko, jak... jak nigdy w życiu nikogo nie kochałem. Wiem, co mówię. — Nie jestem już młody. Mario — życie jest takie krótkie...

MARIA I ja nie jestem już młoda. (*chowa twarz w dłoniach*)

JAN Nie płacz.

MARIA Nie płaczę. Ale chciałabym być silna. — Jak ty.

JAN Chyba dowiodłaś, że potrafisz. Przez tamte straszne lata, teraz...

MARIA Dla ciebie, to tylko słabość. (*po chwili*) Grzech? Może jest tylko jeden: wyrządzić krzywdę. Wyrządzić krzywdę człowiekowi kimkolwiek by nie był. I dlatego, że był tylko człowiekiem.

JAN Nie brnij w ten ton.

MARIA Słyszysz tylko to. Głos zwykłej uczciwości, lojalności do końca wobec człowieka i wobec... (*macha nieznacznie ręką*) nie dociera do ciebie.

JAN Wobec człowieka i wobec Boga. Nie bój się tego imienia...

MARIA Boję się Go w twojej obecności. Bo Go nie rozumiesz.

JAN Zaczynam rozumieć więcej, niż ci się wydaje. Ale w postaci, w jakiej ty mi Go przedstawiasz, nie mogę Go przyjąć. — I nigdy nie przyjmę.

MARIA Ma tylko jedną postać.

JAN Ma tyle postaci, ilu jest ludzi wierzących w Niego. Jeszcze raz cię proszę: nie operuj przypowieściami.

MARIA Każda próba uczciwego życia, każda próba postępowania według jakichś zasad, staje się bezsensowną przypowieścią w takiej sytuacji, jak nasza.

JAN Mario... pomyśl tylko...
(*wpadają Gaston, za nim Iza, obydwoje zadyszani*)

GASTON Nie mogę nigdzie znaleźć ani jednego, ani drugiego. Wyszedłem tuż za nim i zniknął bez śladu. Lataliśmy z Izą po całej wsi i nic. Janie — idź w kierunku mostu, ja pobiegnę jeszcze koło lagun. Musimy ich odnaleźć. (*wychodzą obydwaj*)

IZA (*z bardzo niepewną miną i wystraszona, siada przy jednym ze stolików. Maria podchodzi do niej i obejmuje ją od tyłu, poprzez poręcz krzesła*)

KURTYNA

## AKT II

*Ten sam dzień, noc, godzina 10-ta. Pokój Jana w jego fabryce taniny. Fabryka położona jest na plaży, o kilkadziesiąt metrów od morza i zbudowana jest z drzewa. W pokoju ściany z surowych desek. Na wprost sceny duże okno bez szyb z gęstą siatką przeciwkomarową. Po lewej stronie okna drzwi, prowadzące na wąską galerię-werandę otaczającą cały budynek. Po prawej stronie, za oknem, znajdują się schody prowadzące na werandę wprost z plaży. Przez okno, w chwilach ciszy, wpada miarowy, wolny łomot łamiących się co 10-15 sekund, fal. Po prawej stronie, wysunięty ku widowni, tapczan przykryty indyjską tkaniną, podobną do łowickich pasiaków. Za wezgłowiem tapczana, przysunięte do ściany, staroświeckie biureczko rażące swą elegancją w tym prymitywnym pomieszczeniu. Poza nim drzwi do sypialni Jana. Przed oknem duży stół, zarzucony papierami, szklane retorty i słoiki, otwarta maszyna do pisania, przy niej zwinięta, śpiąca biała kotka. Dalej filiżanka, talerzyk, jakieś puszki, narzędzia, nieporządek. Na całej lewej ścianie półki na książki. Górne półki zatłoczone książkami i czasopismami, kurz i nieład. Dolna część półki została przerobiona na kredens, ponad którym, na zawiasach* (dość wysoko) *można podnosić lub opuszczać deskę tworzącą wąski stół z podpórkami. Oczywiście deska ta jest stale podniesiona i służy za coś w rodzaju kuchenki. Stoi na niej maszynka spirytusowa, flaszka ze spirytusem, maszynka do zaparzania kawy, czajnik, kilka rondelków i patelni — wszystko w nieładzie. Na ścianach przypięte szpilkami i powyginane od wilgoci reprodukcje francuskich impresjonistów. Pokój oświetlony jest jasną lampą benzynową, wiszącą nad stołem pod oknem. Kilka krzeseł z surowego drzewa. JAN siedzi przy stole pod oknem i robiąc rachunki, podnosi od czasu do czasu głowę, nasłuchując. Po chwili dolatuje oddalone pykanie przyczepnego motoru na łódce, które stopniowo przybliża się, staje się głośne* (po prawej stronie sceny, jakby w dole) *i gaśnie. Jan wstaje i przechadza się niespokojnie po pokoju. Spoza sceny dolatują odgłosy rzucanego na dno łodzi bosaka, sapanie i przekleństwa pijanego, mocującego się niezgrabnie z wciąganiem łodzi na brzeg. Potem cisza i zbliżające się kroki, głośne i chwiejne stąpnięcia na drewnianych schodach, prowadzących na werandę za oknem. Jan spręża się, potem nagle siada z powrotem przy stole i udaje spokój zagłębiając się*

*w papierach. W oknie pojawia się sylwetka KAROLA DORMANSA, który przystaje jakby się wahał, czy wejść, czy nie. Kaszle chrapliwie i głośno spluwa za poręcz, wreszcie decyduje się, otwiera drzwi do pokoju Jana i wchodzi chwiejnym krokiem. KAROL DORMANS jest mężczyzną szczupłym, w tym samym wieku co Jan, z wszystkimi cechami nałogowego pijaka i psychopaty. Ubrany w zielone* (trawiaste) *drelichy, jakby z resztkami schludności byłego wojskowego. Koszula wpuszczona w spodnie, szeroki, czarny pas skórzany z klamrą. Nogawki spodni wpuszczone w buty z krótką cholewą typu „Texas boots". Mówi po polsku swobodnie, czasem z lekkim akcentem.*

KAROL Dobry wieczór.

JAN (*po chwili, nie podnosząc wzroku znad papierów*) Dobry wieczór.

KAROL (*rozgląda się po pokoju, jakby czegoś szukał, potem siada ciężko na krześle i zapala papierosa*)

JAN (*dalej nie podnosząc wzroku, z trudnością*) Czego znowu chcesz?

KAROL (*wybucha krótkim, ostrym śmiechem*) Rumu! — Nie masz trochę rumu? Na spokojny sen.

JAN (*teraz wpatrując się w niego spokojnie*) Masz już dosyć. Nie mam.

KAROL (*ten sam śmiech*) Nie masz, co? ...Teraz ciągle nie mam, nie mam, nie mam. — A jak przyjechaliśmy, to wszystko było. (*przedrzeźniając z pijacką błazenadą*) Proszę, Karolu, może potrzebujesz... a tego... a tego...

JAN Nie wiedziałem kim jesteś.

KAROL A teraz już wiesz, tak? ...Nic nie wiesz... Ale plujesz. (*spluwa na podłogę i rozciera butem z pedanterią. Wybucha śmiechem*)

JAN Nawet i to nie. Po prostu dla mnie nie istniejesz. (*wskazuje głową w stronę drzwi*) Idź spać. Jesteś pijany.

KAROL (*krótka seria śmiechu, rozsiada się wygodniej*) Nie istnieję... ale ci zawadzam. (*nagle z pijacką powagą, tajemniczo*) Wiesz — zawsze najbardziej zawadza to, co nie istnieje... Nie można nawet kopnąć.

JAN (*tracąc zimną krew*) Nie interesuje mnie twoja pijacka filozofia. Czego ty właściwie ode mnie chcesz?

KAROL (*błazeńsko węszy w stronę kredensu pod półkami*) Rumu! Tam jest. Pachnie. Nie czujesz?

JAN Jesteś pijany. Idź spać.

KAROL Mnie się nie śpieszy. To ty miałbyś ochotę. — Z nią...

JAN (*zrywa się i idąc w kierunku Karola z zaciśniętymi pięściami*) Za drzwi! Won! (*zatrzymuje się w połowie drogi*)

KAROL (*uchwyciwszy krzesło rękami kurczy się, jakby oczekiwał ciosu, ale widząc wahanie Jana, wybucha śmiechem*) No? Wstałeś i co? — Nic. Bo ty chcesz ją sobie kupić... szlachetnością.

JAN Nie mieszaj jej do twojego bełkotu.

KAROL (*błazeńsko*) Szszsz — święta... Ś w i ę t a .

JAN (*spokojnie, ale kipiąc*) Stul pysk!

KAROL (*śmieje się*) Stul pysk. — Nawet nie umiesz tego porządnie powiedzieć. (*falsetem podoficerskim*) Maul halten! — Tak się krzyczy, nie pamiętasz? — Ś w i ę t a .

JAN Jeszcze raz ci mówię: nie wycieraj nią sobie gęby przede mną.

KAROL (*z nagłym pijackim zmęczeniem*) Twoja żona, czy moja? ...Niczyja — wiesz — niczyja... Za droga i dla mnie i dla ciebie. (*tajemniczo, zabobonnym szeptem*) Bo ją sobie kupił ktoś inny... (*wstaje, podchodzi do stolika przy półkach, myszkuje, ogląda butelkę ze spirytusem stojącą koło maszynki, bierze szklankę, wydmuchuje z niej mrówki*) Mrówki — wszystkich nas zeżrą (*Nalewa i wraca ze szklanką na dawne miejsce, ale nie pije*) Ś w i ę t a . . . a ja co? Grzesznik, psiakrew!... Pamiętasz? Lepszy jeden grzesznik jak dziewięćdziesiąt dziewięć sprawiedliwych... Zarzuciła sobie na ramiona owieczkę i niesie. (*nagły wybuch śmiechu*) Niesie. — I będzie niosła. (*przytyka do warg szklankę. Jan w tej samej chwili robi ruch, aby przeszkodzić, ale powstrzymuje się od interwencji jakby tknięty nagłą myślą. Karol dostrzega to, uśmiecha się, potem pociąga ze szklanki, krzywi się, spluwa i nagle wybucha śmiechem*) Dobre. Oni to wtedy u nas pili, kiedy nas uwalniali... No, napij się ze mną — za zdrowie wolnej ojczyzny i kultury. (*pije do końca i między splunięciami*) Przede wszystkim... kultura. (*wstaje i idzie po drugą porcję*) Tak mówili i potem rzygali.

JAN Zostaw to.

KAROL (*odwraca się parskając śmiechem*) Wiedziałem. — Nie wytrzymałeś. — Żeby sumienie było spokojne. (*zaczyna już być chwilami całkiem pijany, koncentrując się z trudnością w napływach silniejszego zamroczenia*) Sumienie, to wielka rzecz — masz rację. (*prawie szeptem*) Wiesz — sumienie, to jak obóz, z którego nigdy nie możesz uciec. (*ruch głową w stronę ich pokoju za ścianą z półkami*) Ona nie może... i pilnuje mnie. — Ja jej pomogłem uciec, ale ona mi nie pomogła... nie pomogła...

JAN (*spokojnie*) Chciała ci pomóc... co miała robić z takim...

KAROL Szszsz — nie gadaj... Nic nie wiesz. — Chciała pomóc? Chciała być święta... Tak. — Wzięła zabłąkaną

owcę na ramiona i niosła... Wszystko było dla jej Boga. — Nic dla mnie, nic dla niej — wszystko dla Niego, rozumiesz?

JAN (*ruch, jakby chciał mu przerwać*)

KAROL Nie gadaj, nie gadaj... nic nie wiesz. (*gorączkowym szeptem*) Słuchaj, słuchaj — j a ci powiem. — Słuchaj — Boga można zabić Bogiem, wiesz? (*coraz głośniej*) Postawiła mi go przed nosem od pierwszego dnia, jak gromnicę. (*z pijackim łkaniem*) Zamiast na nowo żyć, zacząłem zdychać. Potem Bóg pracował na mnie, Bóg mnie utrzymywał — nie ona, nie ona — jadłem z Bogiem, spałem z Bogiem, Bogu zrobiłem dziecko... (*paroksyzm zduszonego śmiechu*) I zaczęło się, rozumiesz? — Nic dla mnie, nic dla niej — nic, nic, nic! (*z nagłym, nieprzytomnym wybuchem*) Ale ja go w niej zniszczę — ja, ja, ja — nie ty, nie ty... Zniszczę tak samo, jak ona we mnie zniszczyła. — Wszystko. (*zaczyna się trząść i po chwili zabobonnym szeptem*) Ty — czy Tam coś jest? Czy ty też wierzysz, że Tam coś jest?

JAN (*podchodzi do niego, jak do chorego, chcąc go podnieść i wyprowadzić*) Uspokój się. Idź spać.

KAROL (*odtrąca go z pijackim uporem*) Rrrraus! — Jak ja zechcę wstać, to wstanę sam. Ja s a m — rozumiesz? bez niczyjej przeklętej pomocy. — I bez twojej. (*po chwili*) Ja wiem — wy chcecie, żeby mnie nie było. (*łkając*) Ja wiem, ja wszystko wiem, (*wyjmuje z kieszeni pistolet i wyciąga go do Jana*) Masz — podejdź od tyłu, przyłóż tu — wiesz gdzie — tam gdzie oni przykładali — odwróć głowę i pociągnij. Masz, masz, — weź.

JAN Schowaj tę pukawkę. Mam swoją.

KAROL Widzisz — ty też wierzysz. Nie masz odwagi, bo myślisz że Tam coś jest... wy myślicie, że Tam tak samo wszystko zapisują, jak oni wszystko zapisywali i ciągle zapisują, ciągle piszą, piszą, piszą. Wy myślicie, że Tam jest dalszy ciąg. (*wstaje i zataczając się podchodzi do Jana, chwyta go za ramiona i zbliżając usta do jego ucha, wściekłym szeptem*) A ja ci mówię, że Tam nic nie ma. Nic. Tam nareszcie nikt nic nie zapisuje, nie ma dalszego ciągu — i dlatego jest raj — raj, spokój, cisza, nic — rozumiesz? (*wybucha śmiechem i wychodzi. Otwiera drzwi i na progu odwraca się łapiąc się i podpierając to tu, to tam i podnosząc palec do góry*) Raj, nic — Nacht und Nebel.

JAN (*stoi chwilę, potem rozgląda się, wreszcie podchodzi do tapczana i odwrócony tyłem do drzwi, pochyla się i rogiem narzuty ściera wolno pot z czoła, policzków, karku. W czasie tego słychać za ścianą huk przewracanych i ła-*

*manych mebli, szczęk tłuczonego naczynia. Potem nagła cisza. W drzwiach staje FRED niosąc pod pachą pudełko z układanką (puzzle). Stawia pudełko na podłodze i zatyka uszy dłońmi, odtykając je parę razy i nasłuchując. Potem podnosi pudełko, wchodzi cicho i siada na podłodze wysypując układankę. FRED jest 6-letnim chłopcem, poważnym, zawsze jakby zamyślonym, mówi wolno z obcym akcentem dziecka wychowanego na obczyźnie. Ubrany w dziecinny płaszcz kąpielowy narzucony w pośpiechu na długą, nocną koszulę, boso. Jan zauważa Freda dopiero wtedy, gdy ten już siedzi na podłodze i zabiera się do układania*) O — jak się masz, Fred.

FRED (*już pochłonięty układaniem, nie podnosząc głowy*) Hi, John!

JAN (*podchodzi i siada obok niego, przygładza mu włosy i obejmuje z czułością*) Przyszedłeś z wizytą na dobranoc — na kwadrans duszy, jak mówił mój tatuś, kiedy byłem taki mały, jak ty. To bardzo ładnie.

FRED Przyszłem, bo mama mnie wyrzuciła. Tatuś znowu wszystko połamał. Nie słyszałeś?

JAN (*zagryzając wargi*) Wyobraź sobie, że nic nie słyszałem.

FRED (*teraz unosząc głowę, rzeczowo*) To lepiej idź do doktora bo już pewnie głuchniesz.

JAN (*z bólem, ale siląc się na uśmiech*) Co też ty wygadujesz.

FRED (*ruch głową w stronę ich mieszkania*) Jak ty mogłeś nie słyszeć?

JAN (*przesuwa rękami po twarzy, ale opanowuje się i pochyla nad układanką Freda*) Czekaj — ja ci pomogę.

FRED (*przygląda się, po chwili ze śmiechem*) Nie — nie tu. (*poprawia, przesuwając kawałek*) Nie — nie tu. Nie potrafisz. Patrz — to idzie tu.

JAN Nie myśl, że tylko ty potrafisz. Czekaj, czekaj...

FRED (*znowu śmieje się*) Nie — nie tu. Ty nie uło...ułoż..użoł (*prędko*) ułożyłełbyś tego do rana, a ja zaraz skończę.

JAN Przede wszystkim mówi się ,,ułożyłbyś''

FRED Si — no lograrias ponerlo junto.

JAN Musisz przyznać, że to bardziej skomplikowane.

FRED Dla ciebie.

JAN Fred — nie bądź impertynentem.

FRED Nie rozumiem.

JAN To znaczy nie odpowiadaj niegrzecznie.

FRED (*po chwili namysłu*) Dlaczego tylko ja mam być zawsze grzeczny?

JAN (*znowu obejmując go*) Bo widzisz: — jak będziesz dorosłym mężczyzną, jak będziesz już duży, to ci się to wtedy przyda. Wtedy to sobie przypomnisz i ludzie będą cię lubili.

FRED (*znowu po chwili namysłu, przerwawszy układanie*) To dlaczego tatuś ciągle zapomina?

JAN (*zamurowany*) Fred... Fred... słuchaj... tego nie trzeba mówić. Widzisz... twój tatuś... jest... chory. Musisz to zrozumieć. (*krztusi się, jakby walczył z płaczem, chowa twarz w dłoniach*)

FRED (*podnosi głowę ,przygląda mu się przez moment z uwagą, wstaje cicho, idzie ku stolikowi z maszynką spirytusową, przysuwa krzesło, wchodzi na nie, bierze czajnik i potrząsa nim badając czy jest w nim woda, bierze zapałki i zapala maszynkę stawiając na niej czajnik*)

JAN (*obserwujący koniec tych czynności*) Fred — co ty robisz?

FRED (*stojąc dalej na krześle*) Zrobię ci kawy, bo ty też jesteś coś nie ,,okey''.

JAN (*zrywa się, podbiega, bierze go na ręce i chowając twarz na piersiach Freda, wybucha hamowanym, zduszonym szlochem. Fred gładzi go oburącz po głowie*)

FRED Nie płacz. — Tatuś na pewno wyzdrowieje.

JAN Fred... Fred... moje dziecko...

FRED (*rzeczowo*) Musisz się za niego modlić. My z mamusią co dzień modlimy się za niego żeby on wyzdrowiał.

JAN Tak, Fred... tak... tak... (*stawia go na podłodze i nie oglądając się podchodzi do okna patrząc w nocne niebo*)

FRED (*podchodzi do stołu i zaczyna głaskać śpiącą kotkę*) Ty wiesz — ona ma strasznie zimny nosek.

JAN To znaczy, że jest zdrowa.

FRED (*po chwili kombinowania rękami*) Z tysiąca takich nosków można by zrobić lodówkę.

JAN I wtedy tysiąc nosków dostałoby kataru.

FRED (*kombinując wraca do swojej układanki i kładzie się na podłodze, podpierając jedną ręką głowę i układając sennie drugą*) Czy rekiny w nocy śpią?

JAN Nie — chyba nie śpią.

FRED Skąd wiesz?

JAN (*raczej niepewnie*) Wiem to od wujcia Gastona. On jest specjalista.

FRED Rekinolololog.

JAN A to co znowu?

FRED Gaston mnie nauczył.

JAN Wujcio Gaston.

FRED On nie jest żaden mój wujcio. Ty jesteś. (*po chwili, ziewając*) To musi być okropne nie spać przez całe życie.

JAN A skądżeż ci to znowu wpadło do głowy?

FRED (*sennie*) Bo ja chcę spać i znowu nie mam gdzie.

JAN Chodź do mojego pokoju.

FRED (*bez ochoty na to rozrzuca ułożoną układankę i zabiera się na nowo do układania. Ziewa, ruchy coraz wolniejsze, usypia*)

JAN (*bierze go z tkliwością na ręce i wynosi do sypialni. Wraca, bierze śpiącą kotkę i zanosi ją Fredowi. W czasie jego powtórnego wyjścia wchodzi cicho Maria i nie widząc nikogo, przysiada i zaczyna składać do pudełka rozrzuconą układankę. Ma na sobie czarny szlafrok, nocne pantofle. Jan spojrzawszy na nią, podchodzi bez słowa do maszynki spirytusowej, otwiera puszkę i zaparza kawę*)

MARIA (*składając*) Znowu zostawił wszystko rozrzucone. — Ułożyłeś go już spać?

JAN Tak. Ty ojca, a ja syna. Staję się niezbędny w tym gospodarstwie. — Kawy?

MARIA Nie, dziękuję.

JAN Tylko nie bardzo wiem, jak długo może to jeszcze trwać i co dalej.

MARIA (*przymyka oczy, po długiej chwili milczenia, wolno*) Mogę być twoja w każdej chwili. Wiesz o tym.

JAN Co? Coś ty powiedziała?

MARIA (*wyraźnie*) Mogę być twoją w każdej chwili. (*ciszej*) Tak.

JAN (*siada na krześle i po chwili osłupienia zaczyna się cicho śmiać, przeplatając zdania tym prawie histerycznym śmiechem*) Dziękuję... dziękuję ci za ofiarę... Jesteś na nią gotowa, bo wiesz że w tej formie nigdy jej nie przyjmę... O ileż wszystko byłoby prostsze... gdybym był tutejszym Indianinem... Szkoda. — Wiesz, biorą sobie często kobiety nawet w ciąży i nic ich to nie obchodzi... Mówią, że rączki, albo nóżki dziecka będą i tak jego... tego ostatniego. To zawsze coś, prawda?

MARIA Jak możesz...

JAN Może się zdarzyć... może już...

MARIA Jak możesz...

JAN (*nagle spokojny*) Jak ty możesz?

MARIA Nie mogę go opuścić.

JAN Sakrament. Małżeństwo jest powołaniem i może być drogą do świętości. Co Bóg złączył, tylko Bóg może rozłączyć. Znam to, znam to na pamięć... Dosyć, dosyć!

MARIA Jestem za niego odpowiedzialna.

JAN Tak. — Pogrzebana za życia.

MARIA Każde życie jest w pewnym sensie męczeństwem.

JAN (*ujmuje ją za ramiona*) Nieprawda. — Może, ale nie musi. — Mario — pomyśl, dla kogo się poświęcasz, dla kogo się męczysz?

MARIA Nie dla niego, już nie dla niego... wiesz, dla kogo.

JAN I ty nazywasz to uczciwością? (*prawie ją odpycha*) Więc daj mi chłopca, a ty odejdź tam... bliżej tego kogoś.

MARIA (*robiąc ruch głową w stronę, gdzie śpi Fred*) To też byłoby ucieczką, do której jeszcze nie mam prawa.

JAN I spodziewasz się, że ta twoja ofiara zostanie przyjęta? Jakiej zapłaty oczekujesz za to?

MARIA Jasnej śmierci.

JAN Mario — i ja wierzę. — Wiesz o tym. — Ale wierzę, że kto wyrzeka się życia już tu, kto nie walczy o nie, gdy ma do tego prawo, jak ty — jak ja, ten grzeszy. Jak ty. — Mówisz o śmierci. Mario — śmierć to koniec ż y c i a, koniec ś w i a t a, koniec ws z y s t k i e g o. — Tu, na ziemi. Poza nią pozostaje jedynie ufność, wiara w coś, czego nikt z nas nie może zrozumieć i nigdy nie zrozumie... W miłosierdzie boskie. (*po chwili*) Pragniesz jasnej śmierci dla siebie zabijając równocześnie innych.

MARIA Nie zrobisz tego!

JAN Od pierwszej chwili wydałem na siebie wyrok uniewinniający. Ten najważniejszy. Od pierwszego wieczoru, gdy spotkaliśmy się, gdy was przyjąłem u siebie. — Pamiętasz? Oni pili, my wybiegliśmy tu, przed dom, na plażę i przy księżycu łapaliśmy kraby, błyskawicznie wkopujące się w piasek. Śmiałaś się... Dopiero wtedy zauważyłaś i powiedziałaś: czarny piasek. Od tej chwili...

MARIA Nie zrobisz tego, bo nie zechcesz zamienić swej duszy w to coś ciemnego, miałkiego, bez kształtu... Jak on.

JAN A ty jeszcze ciągle chcesz coś z tego zbudować, ulepić.

MARIA Nie wolno mi tracić nadziei. — Do końca.

JAN Że znowu stanie się cud. Że mając w twych świętych rękach pył, coraz to bardziej miałki, czarny... zbudujesz z niego mocny i jasny gmach. Jestem skłonny ten cud przyśpieszyć. — Ale w innym kierunku.

MARIA Jeżeli chcesz abym potem, przez resztę życia, musiała znowu starać się coś ulepić z tego... jeżeli chcesz mnie znowu skazać... Nie, to byłoby ponad moje siły.

JAN Wystarczą mi własne. — Na budowę siebie i przede wszystkim ciebie.

MARIA Przeceniasz je, jak wszyscy przed tobą.

JAN Mario — jeszcze raz zastanów się, kto jest w tym ważniejszy. Życie nas trojga, czy jego... tego... człowieka. Życie twoje, Freda i moje, to jedno jedyne życie nas trojga — tu, Mario — tutaj, tutaj.

MARIA Wszyscy są jednakowo ważni dopóki żyją. — Jak stanąłbyś potem przed Fredem, którego tak kochasz; na czym budowałbyś życie tego chłopca, by zrobić z niego naprawdę człowieka? Nie miałbyś prawa do ani jednego „nie wolno". — I gdy ja mogłabym ci przebaczyć, to on chyba nigdy. — Nam obydwojgu.

JAN Milcz!

MARIA Jak w sobie, tak i we mnie chcesz teraz zagłuszyć ten głos, który zawsze milczy. Innym może się to udać — nam nie.

JAN Więc jak godzisz ten głos z gotowością do... do tej twojej nowej ofiary?

MARIA Nie nazywaj tego ofiarą, nie ułatwiaj mi uniku. Pragnę cię tak samo, jak ty mnie. Ja też jestem tylko człowiekiem.

JAN Ty... człowiekiem?

MARIA Nie jestem z jednej bryły, nie jestem posągiem. Walczę i cierpię tak samo, jak ty. — Może nawet bardziej. Szarpię się od rana do wieczora wśród ciągle tych samych myśli. Szukam wyjścia, którego nie znajduję.

JAN Znajdujesz je w cierpieniu. Bo chcesz cierpieć.

MARIA Nie chcę. Nikt nie chce. Pytam się tylko bezustannie, czy nie powinnam, czy to nie jest moim obowiązkiem.

JAN Więc i m n i e chcesz złamać? Tak samo jak jego?

MARIA Jeżeli myślisz, że ja złamałam jego życie, to tym bardziej obowiązek nakazuje mi pozostać przy nim. Wobec ciebie nie mam żadnych — jeszcze żadnych...

JAN Gdyby nie ty, jego życie mogło potoczyć się zupełnie inaczej.

MARIA Więc... według ciebie... dziś jest... niczym przeze mnie?

JAN Sam mi to powiedział. Tu, pół godziny temu. Tak. I znacznie więcej.

MARIA (*trafiona*) — Tym bardziej muszę płacić.

JAN Ale nie tylko przez ciebie. Nie. Nie tylko dlatego, że tam, kiedyś, za drutami, stanęłaś na jego drodze i zgodziłaś się, żeby cię ratował. Nie — nie tylko. Jeżeli tak myślisz, to mylisz się — straszliwie się mylisz. — Wiesz, czym go złamałaś? Czym go zniszczyłaś? Czym wdeptałaś go w ziemię od samego początku, gdy przygięty chciał się wyprostować? Twoim poczuciem obowiązku *bez uczucia,* wypełnionym tylko Bogiem, twoją lojalnością, w której ciągła myśl o twoim Bogu zabiła ludzkie uczucia, wszelkie uczucia — twoim Bogiem? tak, tak — tak samo jak teraz chcesz mnie zamienić w strzęp, złamać i wdeptać. Tam, gdy on bał się, gdy zaczął pić ze strachu i z bezczynności, ty nawet nie potrafiłaś znienawidzić go, po ludzku, zwyczajnie, — pogardzić nim. Nie — poświęcałaś się. Ale nie dla niego. I on to czuł ciągle, bezustannie. — Cierpiałaś w milczeniu i znosiłaś wszystko tak samo, jak teraz gdy kochając mnie, chcesz z kolei to uczucie ofiarować twojemu Bogu i dalej cierpieć, i dalej nie odsunąć się ani na cal od tej linii, którą ten twój Bóg ci wytyczył. Spokojna i pokorna, z myślą o twoim życiu przyszłym, zamieniasz innym to życie tu, to życie, które także się liczy i stanowi jedną całość z tamtym, z wielką niewiadomą — w piekło.

MARIA Janie, Janie!

JAN (*robi ruch jakby chciał ją uderzyć, ale powoli przyciąga ją ku sobie obejmując i całując. Maria poddaje się bezwolna. Jan bierzę ją na ręce i zanosi na tapczan. Nie ma żadnej wątpliwości co by nastąpiło, gdyby nie głośne uderzenia w siatkę za oknem. Jan nasłuchuje i zrywa się nagle podchodząc cicho do drzwi, gotowy*)

MARIA (*siada i w całej jej postaci jest chęć krzyku, którego nie może — lub nie chce — z siebie wydobyć*)

JAN (*staje na ułamek sekundy przy drzwiach, potem nagle je otwiera i wypada na werandę. Cisza. Widać jego sylwetkę pochylającą się za oknem. Potem wraca niosąc coś w obu złączonych dłoniach. Siada obok Marii z dziwnym uśmiechem*) Nic, nic (*wybucha zduszonym, ironicznym śmiechem*) Cud... masz... olbrzymia ćma... twój anioł stróż... przyniosłem ci ją. — Na pamiątkę... (*daje jej ją do rąk*)

MARIA (*bierze ją w dłonie złożone jakby do modlitwy, unosi głowę. Po zupełnie spokojnej twarzy ściekają jej łzy. Potem wstaje i wolno wychodzi na werandę. Przez okno widać jak wypuszcza ją z rąk. Potem słychać jej wolne, twarde stąpnięcia na każdym drewnianym stopniu schodów. Huk łamiących się fal staje się jakby bliższy i wyraźniejszy*)

JAN (*dopiero po dłuższej chwili nagle „budzi się". Półgłosem w stronę okna*) Mario! (*słychać warkot silnej motorówki zbliżającej się na całej szybkości*) Mario! (*zrywa się i pędzi do drzwi*) Mario — nie, nie... (*wybiega na werandę. Warkot łodzi cichnie. Jan jednym susem przeskakuje przez barierę. Słychać go jak woła za sceną „Mario, Mario". Potem pomieszane głosy jego i Gastona. „Tam biegnie, prędzej, pani Mario, pani Mario". Histeryczne łkania Izy. Kroki na schodach. Sylwetki w oknie. Pierwszy wpada Gaston, za nim Jan o wyglądzie człowieka, który wypłynął na powierzchnię po długim zanurzeniu. Za nimi Maria, sztywna, prowadzi i podtrzymuje Izę. Iza jest w czerwonej bluzce i w czarnych „torero pants", bosa i przemoczona do nitki. Słania się i płacze, szczęka zębami. Maria prowadzi ją do tapczana, układa i siada przy niej, starając się uspokoić. Jan do Gastona*) Co się stało? Chciała się topić?

GASTON (*jeszcze dysząc, zdenerwowany*) Iza?

JAN T...t...tak... oczywiście. Iza.

GASTON Nie bądź głupi — świetnie pływa. Jak wydra.

JAN No więc co? Co się stało u diabła?

GASTON Słuchaj — stary zastrzelił Harry'ego. (*Jan i Maria reagują jak zwykle w takim wypadku*) Zastrzelił. Naprawdę. Całkiem po prostu. Nie rozumiesz? No zabił go. Wpompował w niego cały bębenek. Poważnie!

IZA (*siada i z przerażonym, podświadomym zachwytem*) Przeze mnie, dla mnie... dla mnie zabił człowieka. (*z łkaniem rzuca się na tapczan. Maria wstaje i podchodzi do tamtych. Wtedy Iza siada i bez żenady zaczyna zrzucać z siebie mokrą bluzkę i mocować się z mokrym zapięciem biustnika*)

MARIA Gdzie? Kiedy?

GASTON Nie mogłem dowiedzieć się od niej nic do... (*dostrzegając wyczyny Izy*) Iza — masz na to za krótkie włosy.

IZA Mój najdroższy ojciec, mój jedyny ojciec...

MARIA (*podbiega do Izy i zawinąwszy ją w narzutę pomaga w zdjęciu reszty mokrego ubrania, rozwieszając na krzesłach bluzkę i spodnie*)

JAN To niemożliwe. Jak to się stało?

GASTON Mówię ci, że jeszcze nic dokładnie nie wiem. Gdy w końcu pożegnaliśmy się nie mogąc znaleźć starego, Iza została sama w sklepie i czekała na niego. Ja siedziałem w domu i nagle, od strony brzegu, usłyszałem że mnie ktoś woła. Wyszedłem i przy pomoście, koło motorówki, znalazłem Izę siedzącą w wodzie. Wskoczyła do

rzeki we wsi, wprost od drzwi i przypłynęła aż do mojej wyspy. Nie chciała iść przez wieś, żeby jej nikt nie zobaczył.

JAN To bardzo ważne. Dobrze...

IZA (*rozrykując się*) Dla mojego najukochańszego ojca. — Ponad kilometr, cały czas „crawlem".

GASTON Bała się wyjść z wody z powodu tych moich węży. Wciągnąłem ją do motorówki. Mówi, że stary wrócił późno do domu, z błędnym wzrokiem i cały roztrzęsiony i powiedział jej, co zrobił.

IZA On go rozwalił gdzieś blisko tutaj, koło ujścia rzeki. Tak mi powiedział. I... potem... wrzucił... go... do wody.

GASTON Kazał jej iść, żeby zawiadomiła policję.

IZA (*histerycznie*) Ja go nie oddam żadnej policji, ja go nie dam nikomu. Zamknęłam go na klucz w jego pokoju. Na miły Bóg, pomóżcie mi, schowajcie go, zróbcie coś.

GASTON Iziu — uspokój się. Musimy się wszyscy naradzić, co zrobić, w jaki sposób wyciągnąć go z tej awantury.

IZA Mnie jest wszystko jedno, ale ja go muszę ratować. Ja nawet jestem gotowa zabrać się do najcięższej pracy... do najcięższej pracy biurowej, żeby go utrzymać... żeby on miał na chleb powszedni.

GASTON Bardzo dobrze, wspaniale, ale uspokój się.

IZA (*rozrykuje się*) Jak ja mam być spokojna, kiedy nareszcie coś się dzieje.

GASTON Właśnie dlatego.

IZA Z wami można oszaleć.

JAN Mario — daj jej gorącej kawy z rumem. (*do Gastona*) No dobrze. — Czy masz już jakiś plan, jak to zorganizować? Tu trzeba szybko działać.

IZA Jak to załatwić? jak to zrobić?

GASTON (*wściekły*) Przestań dzwonić! (*do Jana*) Wpakujemy go do mojej łodzi jeszcze dzisiaj i nad ranem wysadzimy go po cichu na brzeg w San Salwadorze. A potem, w razie czego, przerzucimy go do Meksyku.

IZA Ja z nim pojadę. Nie rozłączajcie mnie z ojcem. Błagam was.

JAN Panno Iziu — niech pani będzie rozsądna. To jest tymczasem niemożliwe. Potem, jak już się wszystko jakoś uspokoi, będzie pani mogła do niego pojechać.

IZA On nie ma paszportu, nie ma żadnych papierów.

GASTON (*tracąc cierpliwość*) Nie troszcz się o to. Tu się najpierw wyjeżdża, a dopiero potem wyrabia papiery.

ZA Ja go nie opuszczę, ja go nigdy nie opuszczę. Oni go złapią, oni na pewno go złapią.

ASTON Czy ty się wreszcie uspokoisz? Trochę logiki, dziewczyno. Jeżeli oni tu nigdy nie mogą wykryć, kto zastrzelił prezydenta albo innego dostojnika państwowego, to co ty się martwisz o wykrycie zabójcy jakiegoś biednego Murzyna?

ZA Nie żadnego zabójcy! — Mojego najukochańszego ojca. (*histerycznie*) Oni go złapią, ja ci mówię... oni go złapią... Boże, Boże...

ASTON Iza — słuchaj, chyba wiesz, co to jest statystyka.

ZA (*rozrykując się*) Wiem — science fiction. Nie wygłupiaj się.

ASTON Zależy gdzie. Ale słuchaj: ten mały kraik — przez małe „k" — jest na jednym z pierwszych miejsc w światowej statystyce eksportu kawy i ilości zabójstw na sto tysięcy mieszkańców. Jedno więcej, jedno mniej — nikt się nie będzie o to specjalnie martwił. Tu jest jeszcze wolność, rozumiesz?

ZA (*nagle siada, wpatruje się w Gastona, potem wyciąga do niego ręce nie zważając że narzuta zsunęła się jej do pasa. Z zachwytem*) Jakiś ty cyniczny...

ASTON (*siada przy niej i obejmuje ją, Iza tuli się do jego ramienia*) No widzisz. To najlepszy dowód, że się jeszcze nie postarzałem. A teraz słuchaj: zostaniesz tu tymczasem z panią Marią, będziesz się zachowywać, a my z Janem popłyniemy spakować i wyprawić ojca. Jutro naradzimy się, co dalej, dobrze?

ZA Gaston — ja ci tego nigdy nie zapomnę.

ASTON Już ja ci to przypomnę... (*wstaje*) Janie — w drogę. (*do Marii, z czułością w głosie*) Niech się pani tymczasem nią zaopiekuje. W południe będziemy z powrotem. (*wyjmuje ze spodni Izy klucz*)

IARIA Niech pan będzie spokojny.

ZA (*wstaje z tapczana i podtrzymując narzutę jedną ręką u pasa, podbiega do Jana, zaczynając znowu łkać*) Panie Janku — niech pan powie ojcu, że go tulę do serca, że będę o nim zawsze myślała... że... że ja go już nigdy nie opuszczę i... że... że ja wszystkich przeprosiłam.

ASTON Iziu — tylko bez kłamstw. Jeszcze nie.

ZA (*szlochając*) Ty w nic nie wierzysz... nawet w kłamstwa.

ASTON Szczyt rewizjonizmu, jakby powiedział twój tatuś.

ZA (*podchodzi teraz do Gastona, obejmuje go jedną ręką i całuje. Z emfazą*) Żegnaj!

GASTON (*daje jej pełnego uroku klapsa w narzutę poniżej pasa*) Uściśnij, daj miecz!

JAN (*zbiera drobiazgi do małej torby, podchodzi do Marii i bez słowa ściska ją tylko za ramię. Maria pochyla głowę i nie patrzy mu w oczy. Jan i Gaston wychodzą, słychać ich kroki na schodach, potem ostry warkot motoru, który teraz powoli oddala się i cichnie*)

IZA (*wraca na tapczan, Maria siada przy niej*) Pani Mario...

MARIA Iziu — mów mi „ty". Skończmy z tą „panią". Przecież nie jestem jeszcze taka stara.

IZA Wcale nie. — Pani jest nawet jeszcze zupełnie niczegowata, ale... mnie to tak jakoś nie wychodzi...

MARIA (*wstaje i wchodzi na chwilę na palcach do sypialni Jana. Wraca i siada znowu przy Izie*)

IZA Po co pani tam chodziła?

MARIA Poszłam zobaczyć czy Fred się nie przebudził.

IZA (*nagle siada*) To tam śpi Fred? (*wybuchowo obejmuje Marię*) Przeprowadziłaś się do Jana, tak? Ufff Marysiu — no nareszcie. (*całuje Marię z prawdziwą radością*)

MARIA (*ujmując ją za ręce, skrępowana*) Nie, Iziu... nie... co znowu... co ci strzeliło do głowy... Fred lubi czasem ...bawić się tutaj... u Jana. To on ułożył go spać... Jan... zanim przyszłam.

IZA (*po chwili, zawstydzona*) Pani Mario — pani się na mnie nie gniewa?

MARIA Nie, Iziu — nigdy się na ciebie nie gniewałam.

IZA Pani Mario — ja się tak boję. Pani sobie nie wyobraża.

MARIA Ja też, Iziu. (*po chwili*) Iziu — czy ty wierzysz?

IZA W co?

MARIA (*z pobłażliwym uśmiechem*) Pytam się, czy jesteś wierząca. Myślę o twojej religii — o Bogu.

IZA (*leżąc*) Proszę pani — przepraszam, że ja się tak zapytałam, ale teraz w tyle rzeczy każą wierzyć... Wie pani — jak Niemcy złapali ojca w Borysławiu, to mama oddała mnie do klasztoru, żeby ratować przed następną akcją. Miałam wtedy dwa lata. Wychowały mnie Urszulanki. Chowałam się, jak katoliczka, modliłam się, chodziłam na mszę... Ale mnie nie ochrzciły, bo mówiły że o tym mogę zdecydować tylko ja, kiedy już dorosnę...

MARIA I nie powzięłaś żadnej decyzji?

IZA (*sennie*) Pani Mario — może ja dopiero dzisiaj trochę dorosłam? Dzięki ojcu. — Nie wiem. — Może trzeba było aż tego... aż takiego nieszczęścia. Ojciec popełnił straszną rzecz — ja wiem — ale ja go tak kocham... i on

mnie. — Właśnie teraz, po tym wszystkim, zrozumiałam jak mnie kocha. A co wtedy się liczy? — Ja wiem, że według pani, według was, jego czeka wieczne potępienie. — Powinnabym żałować za ten jego grzech, powinnabym się modlić. Ale ja go nie mogę potępić... A zresztą to moja wina.

ARIA Dobrze, że tak myślisz.

ZA (*usypiając*) Tam, w klasztorze, zawsze mi mówili, że jest tylko jedna, jedyna prawdziwa wiara — Chrystus. I mówili mi o życiu przyszłym, tym prawdziwym i jedynym... Potem, już w liceum, też ciągle mi mówili o życiu przyszłym, przyszłych pokoleń... I mówili także „nie znamy rozszczepień między metodą i celem". — A gdzie byłam w tym ja, razem z moim krótkim życiem tu, teraz, dzisiaj? Gdzie był w tym człowiek z jednym, jedynym i prawdziwym życiem? Jak miałam zdecydować?... Ja chcę żyć, pani Mario.

ARIA Co przez to rozumiesz?

ZA Pani Mario — pani naprawdę się na mnie nie pogniewa?

ARIA Nie, Iziu — na pewno nie.

ZA (*nagle przebudzona siada i nieśmiało obejmuje Marię*) Dokąd pani biegła, gdy wysiedliśmy z Gastonem na brzeg? Co pani chciała zrobić, zanim Gaston i Jan dogonili panią?

ARIA (*zakrywa twarz rękami. Po chwili*) Nie mówmy o tym, Iziu... Nigdy.

ZA Dobrze. — Ale widzi pani, mnie się wydaje że i pani.. nie zna rozszczepień między metodą i celem. I dlatego pani chciała to zrobić. Bo wtedy wszystko jest śmiercią. (*kładzie się*) Dla jednych szybką, dla innych powolną, trwającą całe życie, jak tam u nas. To zawsze śmierć. A przecież trzeba żyć... One mnie nie ochrzciły, bo nawet one wiedziały, że... trzeba pozwolić żyć, że życie wymaga rozszcze... (usypia)

K U R T Y N A

## K T I I I

*ır-sklep Rosenberga, jak w akcie I-ym, bez klatki z papugą. Popołud-e, w parę dni później. Za oknem ta sama pantomina gry w piłkę nożną, same odgłosy dalekiej muzyki. Iza klęczy na krześle za ladą zatopiona studiowaniu rachunków. Ubrana „przyzwoicie". Gaston leży w hamaku ytając gazetę. Strój ten sam. Drzwi wejściowe zamknięte.*

GASTON Iziu kochanie, daj mi flaszkę piwa.

IZA Piwo wyszło. Nie ma. Ma dzisiaj przyjść.

GASTON W takim razie... ,,Cuba-libre'' raz! — Z biegunem północnym lodu w szklance.

IZA ,,Baccardi'' czy rum krajowy?

GASTON Iziu — zapamiętaj to sobie raz na zawsze, że w tym kraju podział społeczny jest tak samo prosty, jak u was: mieszkańcy dzielą się na ludzi bogatych, pijących alkohole importowane i na biednych, to znaczy nałogowych pijaków, którzy trują się krajowym fuzlem i umierają z wątrobą zamienioną w miedziane sito.

IZA (*dokładnie odmierza kieliszkiem ilość rumu, wlewa do wysokiej szklanki, wrzuca dużo lodu, stawia na tacy razem z flaszką ,,Coca-Cola'' i zanosi Gastonowi, stawiając to na przysuniętym nogą krześle obok hamaka*)

GASTON Dobrze, zupełnie dobrze. Ale ku pamięci: najpierw wrzuca się lód i dopiero na lód leje się powoli rum.

IZA Ehe. (*wyciąga rękę*) Sesenta centavos, senor.

GASTON (*grzebiąc w kieszeni*) Obawiam się, że jeszcze parę dni tej nauki, a przejdę na alkohole krajowe... Nie zapominaj o ,,por favor''.

IZA Sesenta centavos, senor, por favor.

GASTON Muy bien, senora, con mucho gusto.

IZA Tylko bez ,,senora''. — Senorita, por favor.

GASTON (*parska śmiechem*) Czyś ty z byka spadła? Ja mam ci mówić ,,senorita''?

IZA Cham!

GASTON Un cham slave, kochanie. (*wymawia po francusku*) To nowe wcielenie waszego szarmu.

IZA Gdzieś ty się tak nauczył mówić po polsku?

GASTON Ha — i wy mnie pytacie...

IZA Tylko nie per ,,wy'', bardzo cię proszę. (*zaczyna niespokojnie przechadzać się tam i z powrotem*)

GASTON A ty gdzie się uczyłaś polskiego, najdroższa? (*Iza nie odpowiada, chodząc dalej. Gaston po chwili*) Co cię znowu ugryzło?

IZA Ciągle myślę o tym samym. — Jeżeli oni go znajdą, to wszystko się wyda.

GASTON Nic się nie bój. Ojciec jest dobrze schowany.

IZA Ja wcalę nie myślę o ojcu.

GASTON No to o kim?

IZA O nim... o... trupie.

GASTON Nie znajdą.

IZA Skąd wiesz?

GASTON Rekiny go zjadły. (*mlaska*)

IZA W rzece nie ma rekinów.

GASTON Skąd wiesz?

IZA Każdy szczeniak wie, że w rzekach nie ma rekinów.

GASTON W czasie przypływu wślizgują się daleko w górę rzeki.

IZA Jak ja do ciebie płynęłam, to był... Gaston — one mogły mnie...

GASTON Mogły, mogły. Ale widocznie były bez apetytu.

IZA Jesteś ohydny

GASTON W takim razie... (*unosi się, jakby chciał wyjść*)

IZA (*podbiega, układa go z powrotem i siada przy nim na podłodze zaglądając w gazetę. Po chwili*) Cooo? — Od pierwszego ma wejść w życie nowa taryfa celna?

GASTON Tak. Czy może oczekujesz paczek od krewnych z zagranicy?

IZA (*pochłonięta inną myślą, wolno*) Czekaj. — To znaczy że wszystko na pewno podrożeje. (*po chwili dalszego namysłu*) W takim razie ja mogłabym już podnieść ceny... Po co czekać, aż wszystko naprawdę podrożeje? W mojej sytuacji, z ciągłą myślą o ojcu, każdy grosz się liczy. Co myślisz o tym?

GASTON Izabello — gratuluję. Robisz szybkie postępy. Obawiam się jednak, że za szybkie.

IZA Co przez to rozumiesz?

GASTON To znaczy, że przyswajasz sobie praktykę bez opanowania teorii, która jest bardziej skomplikowana od humanistycznego patosu prakseologii uspołecznionego okradania obywateli przez państwo i może cię doprowadzić do ruiny.

IZA (*przymilnie, nienagannym akcentem krajowym*) Gaston, mon cher, je ne comprends pas.

GASTON To znaczy, że staczając się na obce pozycje, twój stopień zaangażowania w nową problematykę jest jeszcze zbyt niedoskonały, aby mogło wyniknąć z tego co innego, niż wąski empiryzm i katastrofalny neopozytywizm, nie mówiąc już o wulgarnym praktycyzmie.

IZA Jesteś o h y d n y ! — Ja już od trzech dni nie wymówiłam żadnego takiego słowa. Ja naprawdę staram się panować nad sobą.

GASTON Tak — ale od chwili, gdy w ten pamiętny wieczór posiadłem... twoją duszę, to przeszło na mnie. Razem z duszą.

IZA Tylko bez duszy — ja cała jestem twoja. (*całuje go w policzek, sentymentalnie*) Pieściłeś mnie tak cudownie jakbyś mnie wcale nie kochał. Ale ty już nic nie pamiętasz... (*rzeczowo*) No więc co myślisz o moim planie? Tylko już nie wygłupiaj się.

GASTON Że jeżeli ty już podniesiesz ceny i inni to zobaczą, to oni nie podniosą i razem z całą tą tropikalną Galleries Lafayette dostaniesz w kuper. Rozumiesz?

IZA (*potulnie*) Rozumiem. — Kapitalizm jest jednak okrutny

GASTON Już zaczynasz?

IZA Nie dokuczaj mi. Zobaczysz, że ja to dobrze poprowadzę. Ja się wszystkiego nauczę. (*przymilnie*) Wiesz — nawet tych twoich wstrętnych węży i żmij. (*z obawą*) Gaston — co ty robisz, jak ciebie jakiś wąż ugryzie?

GASTON Daję się ukąsić natychmiast przez żmiję. To się neutralizuje.

IZA Nie bądź wstrętny. Zobaczysz, że ja się wszystkiego nauczę.

GASTON Do obdzierania ze skóry już się wprawiasz. — Z wężem w kieszeni.

IZA (*zatyka palcem butelkę „Coca-Cola", potrząsa nią i puszcza strumień w twarz Gastonowi, potem ucieka ze śmiechem. W drzwiach staje Maria, z koszykiem na ręce i w tej samej sukni, co w I-ym akcie*)

MARIA Nie przeszkadzam?

IZA (*podchodzi do niej i całuje ją*) Pani nigdy, pani Mario. Właściwie jesteśmy zamknięci i Gaston mnie uczy. (*z powagą*) Właśnie mówiliśmy z Gastonem o przyszłości.

GASTON (*wstając z hamaka*) Tak, właśnie Izia tłumaczyła mi, że żmija jest samicą węża i że gotowa jest zgłębić dalsze tajemnice tej specjalnej hodowli.

IZA (*całuje Gastona*) Potwór! (*wszyscy śmieją się*)

MARIA Iziu — chciałam prosić cię... (*wyjmuje z koszyka karteczkę ze spisem*)

IZA (*odbiera jej z ręki karteczkę i ściąga z drugiej koszyk*) Ja pani wszystko przygotuję. Muszę się uczyć. (*z westchnieniem*) W mojej obecnej sytuacji, z ciągłą myślą o ojcu...

GASTON O domu, o pieluchach, o dzieciach...

IZA Tylko bez dzieci! Nie bądź świnia.

GASTON (*do Marii*) Niech pani korzysta, bo Izia ma zamiar podnieść ceny.

MARIA Iziu — to nadzwyczajne.

IZA Niech mu pani nie wierzy. On mi ciągle dokucza. (*słychać ręczny dzwonek i klakson samochodowy*)

GASTON Iziu — przyjechali z piwem. Idź i zamów trzy skrzynki — nie — czekaj — pięć, żeby wystarczyło na niedzielę.

IZA (*wybiegając spoza lady*) Gaston — jak to się mówi? Cinco cajas para mi?

GASTON Senor, cinco cajas para mi, por favor. — Ty ciągle zapominasz, że to jest zacofany kraj i że tu trzeba być jeszcze ciągle uprzejmym. Nawet dla mężczyzn.

IZA (*wybiega do drzwi, wraca do szufladki po pieniądze powtarzając po drodze hiszpańską formułkę i wybiega pochłonięta całkowicie ,,businessem''. Gaston i Maria obserwują ją wymieniając między sobą znaki i porozumiewawcze mrugnięcia*)

MARIA Wie pan — podziwiam starego Hermana.

GASTON Zawsze był doskonałym psychologiem. I aktorem. Szkoda, że go pani nie widziała w ten wieczór. Gdy weszliśmy z Janem i zobaczyliśmy go siedzącego ze zwieszoną głową i błędnym wzrokiem, byliśmy gotowi przysięgać, że to wszystko prawda. Bawił się nami przez dobre dziesięć minut. — Za jednym zamachem załatwił się z nią i z nim. Shock therapy.

MARIA Nie miał z Harrym trudności?

GASTON To Jan nic pani nie opowiadał? Nie — żadnych. Dał mu tysiąc dolarów i nakiwał mu rewolwerem. Biedny chłopak zniknął zachwycony, bo w gruncie rzeczy o to mu chodziło. Miał za co wyjechać do wymarzonej Anglii. — Ja byłbym go naprawdę zastrzelił za takie marzenia.

MARIA A nasz wspaniały staruszek?

GASTON Zainstalowaliśmy go w dobrym pensjonacie razem z papugą i Rosario. Nazajutrz miał wyprawić Rosario na jakiś czas do krewnych w jej ,,pueblo''. Cieszył się, bo postanowił nareszcie kupić jakiś samochód — zresztą z myślą o Izi — na później. Tymczasem chce sobie pojeździć, odpocząć — i pewnie po drodze ubić jakieś interesiki. Ma tu dzisiaj ostrożnie podjechać po Jana. Będzie czekał na niego za mostem... Nie chciał żeby Jan wyjeżdżał stąd sam.

MARIA (*z trudnością, siląc się na normalny głos*) To Jan jednak wyjeżdża...

GASTON Tak. Będzie mi go bardzo brak... Osiedliliśmy się w tej wiosce niemal jednocześnie, prawie w tym samym czasie. Niedługo po wojnie. Wtedy było tu tylko kilka chałup... Wśród palm nad brzegiem rzeki stały jeszcze resztki jednego jedynego pociągu, który tu kiedyś dojechał i został na zawsze. Bo w ten sam dzień przyszła powódź i zmyła z tyłu nasypy. Potem wybuchła doroczna rewolucja, zmienił się rząd i nigdy tej linii nie odbudowano... Nieraz wieczorem, w tym pierwszym, najtrudniejszym okresie, gdy wszystko w około jest takie obce, Jan mówił do mnie : ,,chodźmy do ruin''... Przy świetle księżyca można było odczytać na lokomotywie wielki napis ,,Liège 1884''. To był tutaj najstarszy zabytek. Bo miał datę... Wie pani — gdy dwa lata temu rozebrano ten pociąg-widmo i uprzątnięto resztki, upiliśmy się z rozpaczy, a mnie wydawało się, że zburzono mi Notre-Dame. Naprawdę. — Jan nigdy pani o tym nie opowiadał ?

MARIA (*głucho*) Nie — nigdy.

GASTON Było nam ciężko. Ja przywiozłem trochę pieniędzy, przyjechałem tu dobrowolnie, szukałem spokoju, ale Jan przeszedł bardzo trudne chwile. Musiał dorabiać się wszystkiego własnymi rękami. Wtedy zaczął zjawiać się tutaj stary Herman. Handlował drobiem i parasolami... Skupował parasole w czasie pory suchej, sprzedawał je w porze deszczowej... Nieraz te same parasole tym samym klientom — oczywiście drożej. — Pomógł bardzo Janowi. Namówiliśmy go, żeby tu osiadł... Jak szybko minęły te lata tylko dwóch długich pór roku...

MARIA (*po chwili*) Pan chyba zostanie tu już na zawsze.

GASTON Nie wiem — niczego nie można być pewnym. Ale nieraz mówiliśmy z Janem, że pewnie już tu utkniemy. Jak kiedyś tamten pociąg. A tymczasem on...

MARIA Czy... on tu jeszcze przyjdzie ?

GASTON (*spoglądając na zegarek*) Obiecał mi, że zajdzie przed odjazdem. O właśnie... (*bosy chłopak indyjski wnosi dwie walizki i teczkę skórzaną, stawia je przy drzwiach i wychodzi*)

MARIA (*mimo woli robi gwałtowny ruch w kierunku drzwi, ale nie widząc w nich Jana, wolno podchodzi do walizek, przysiada i zaczyna przesuwać po nich ręką, jak niewidoma. Potem nagle, jakby w transie, zanosi je wolno jedna po drugiej w lewy kąt, chowając poza hamakiem*)

GASTON Co pani robi ?

MARIA On powinien tu zostać... on... To niemożliwe ! (*głośniej, jakby miała krzyczeć*) To niemożliwe... on musi tu zostać... (*wchodzi Jan, Maria cichnie*)

JAN (*spokojnie podchodzi do Marii i tylko na sekundę kładzie rękę na jej ramieniu poruszając wargami, jakby mówił „cicho, cicho, uspokój się” Potem klepiąc Gastona w łopatkę z wymuszonym uśmiechem*) Qué tal? Zastępujesz starego? Właśnie przed chwilą widziałem Izię dyskutującą z szoferami z browaru.

GASTON (*aż do końca będzie się silił na dobry humor i dowcipy*) Izia zastępuje starego, a ja Izię. Mamy liczne zastępstwa w tym handlu. Nie tyle firm, co osób.

JAN Mam nadzieję, że ona teraz szybko się wciągnie.

GASTON Con amore, presto, con fuoco. Już ty się o nią nie bój. (*po chwili, z trudnością*) No, stary, trzeba wobec tego naoliwić cię na drogę... (*idzie za ladę, stawia dwie szklanki i po krótkim wahaniu, dostawia trzecią*)

IZA (*wpada i nie zwracając uwagi na Jana i Marię, całkowicie pochłonięta transakcją handlową*) Gaston — ja się z tą hołotą nie mogę dogadać. Nic, tylko „ay — qué ojos”, „ay — qué boca”... Czego oni chcą?

GASTON Trzeba było poczekać i nie uciekać.

IZA Na co?

GASTON Żeby zeszli niżej. (*wychodzi spoza lady, staje przed Izą w pozie hiszpańskiego tancerza*) Aj — jaka szyja, Aj — jakie ramiona, Aj — jakie piersi...

IZA (*ciągnąc go do drzwi*) Idiota!

GASTON (*dając się ciągnąć*) Aj — jakie biodra, Aj — jakie uda...

IZA (*już w drzwiach*) Gaston, nie bądź świnia!

GASTON (*już za sceną*) Ucz się słówek. Po hiszpańsku, to... (*głosy cichną*)

JAN (*siląc się, żeby coś powiedzieć*) Przyjemnie na nich popatrzeć... Będę miał co opowiadać staremu.

MARIA Wyjeżdżasz...

JAN Tak. — Tam powoli rozglądnę się, jak to wszystko zlikwidować. (*podchodzi do okna*) Stary mi pomoże... Będzie ciężko jeszcze raz zaczynać od nowa... Niemal własnymi rękami postawiłem tę fabryczkę — deska po desce. I przywiązałem się, jakoś przylgnąłem do tego wszystkiego... Do bezustannego szumu morza, do wiatru przesypującego się w liściach palm... do tego małego cmentarza na plaży, za domem, którego ilość mieszkańców rosła w moich oczach razem z zaludnianiem się wioski po drugiej stronie rzeki. Nieraz myślałem, że i mnie kiedyś na nim ułożą... wygodnie, blisko, w słońcu...

MARIA (*płacze*)

JAN (*podchodzi do niej i lekko gładzi ją po włosach*) Cicho, nie płacz, nie myśl. Wszystko zostało już przemyślane i powiedziane.

MARIA Nie byłbyś ze mną nigdy szczęśliwy.

JAN Nie mów tego, to banalny unik. Chęć osłodzenia mi przegranej — coś, w co chyba i ty nie wierzysz. Nie staraj się tłumaczyć tego, czego nigdy nie potrafisz wytłumaczyć. Lepiej od razu dojść do tych dwóch wyrazów, poza którymi jesteś bezsilna, jesteśmy zawsze bezsilni : — ,,tak trzeba''. W tobie wszystko sprowadza się do nich. I ja to rozumiem — chociaż nie mogę tego przyjąć.

MARIA Janie...

JAN Nie mów, lepiej nic nie mów. Ja wiem... i tobie jest ciężko, tym bardziej, że w tobie nie ma spokoju i może nigdy go nie będzie. Wybrałaś trudną drogę, najtrudniejszą... ,,bo takie są twoje obyczaje''. Pamiętasz? Przez te kilka dni, te słowa Przełęckiego z ,,Przepióreczki'' ciągle do mnie wracały, jak echo... Rezygnujesz z życia w sensie, w jakim ja je pojmuję... oni... inni... ale może twoje życie, twoje uczucie życia musi być właśnie takie.

MARIA (*zaczyna nagle chodzić niespokojnie, mocując się ze sobą*) A gdybym ci teraz powiedziała, że rzucam wszystko, że jestem gotowa...

JAN (*spokojnie*) Daj spokój. Wiesz sama że to myśl, która tylko ślizga się po powierzchni, ale nie dociera do głębi. Bo tam tkwi to coś, czego dziś ani ty, ani tym bardziej ja, nie moglibyśmy pokonać.

MARIA Och, gdybyś wiedział... gdybyś ty wiedział...

JAN Wiem, ale widzisz, Mario, nie pamiętam już kto to powiedział, że miłość jest tym doskonalsza, im bardziej jest wolna. — I to nie w stosunku do ludzi... Dziś żadne z nas nie byłoby wolne.

MARIA Nie powinieneś stąd odchodzić. Tu było twoje życie, wszystko... nie, nie...

JAN Nie mogę zostać. — A zresztą — wiesz — nieraz myślałem o tym, że w życiu każdego z nas istnieje jakaś granica. Dochodzimy do niej i nagle słyszysz jakby cichy ,,klik'' — jakby coś zaskoczyło i przestało się od tej chwili poruszać. I wtedy instynktownie wyczuwa się, że to koniec, koniec podróży. Przeszłość zniknęła we mgle, przyszłość zaczyna nagle jakby tracić na wadze i zamiast pędzić ku niej, pozwalamy jej już tylko zbliżać się wolno ku nam... Myślałem, że dojdę do tego tutaj. Ale teraz jest mi wszystko jedno, gdzie zacznie się do mnie zbliżać.

MARIA Nie wierzę, nie wierzę... jesteś na to za silny.

JAN Nie przeceniaj moich sił. Człowiek przyzwyczaja się do wszystkiego, nawet do uczucia. Jak do długo niegojącej się rany. Bądź ostrożna z każdym słowem, nie rozrywaj jej na nowo, nie utrudniaj mi. Muszę zacząć nowe życie, jeszcze ciągle tu, na ziemi. I iść dalej, i zawsze wiedzieć, że to ma sens. Bo j e s t , Mario, bo j e s t .

MARIA (*cicho, idąc ku drzwiom*) Pójdę po Freda...

JAN Nie chodź, proszę cię... Na to pożegnanie... brakłoby mi sił. (*opanowuje się*) Gdyby kiedyś potrzebował opieki, pomocy — to wiesz...

MARIA Co... mu... powiedzieć od ciebie?

JAN (*zaczyna się nagle śmiać po przez łkanie, hamowane całą siłą*) Powiedz mu, żeby... dbał o moją kotkę. I... że ona pije tylko mleko w proszku „Rosemary". To musisz mu powiedzieć... Mój Boże...

MARIA (*podbiega i obejmuje Jana. Jan tylko bardzo lekko oddaje jej uścisk*)

JAN Po co, Mario, po co? (*stara się delikatnie wyswobodzić*) To nie ma sensu. Widzisz — we mnie coś przepaliło się. I teraz cicho opada... Jak kiedyś tu, ten czarny piasek, po wybuchach wulkanów... Daj temu osiąść spokojnie.

MARIA Nie, Janie, n i e . . .

JAN Chyba dość ci powiedziałem...

MARIA (*długo wpatruje się w Jana, on wytrzymuje jej wzrok i wtedy Maria nagle załamuje się zupełnie. Siada ciężko na krześle. Za sceną słychać głosy Gastona i Izy*)

IZA Co?

GASTON Musisz zawsze otwierać ostrożnie.

IZA Od tego jest otwieracz...

GASTON (*idąc od drzwi za ladę*) Dobrze, dobrze, ale jeżeli nadkruszysz nim szkło na szyjce butelki, to oni ci już tej butelki nie przyjmą. (*Iza wchodzi za nim za ladę. Gaston dostawia czwartą szklankę. Pomimo całej wesołości i dowcipów nastrój jest ciężki i tylko Iza jest całkiem naturalna, tylko ona nie „trzyma fasonu"*)

IZA Ty stawiasz? Dwa czterdzieści.

GASTON Czy może mam płacić i za ciebie?

IZA W takim razie nie nalewaj dla mnie.

JAN Ja stawiam. Gaston — „dabla" dla Izi. (*płaci, Iza inkasuje z wyraźnym zadowoleniem*)

IZA (*do Gastona*) Widzisz — ucz się, ty skąpcu.

GASTON Tak — Jessica.

JAN (*biorąc szklankę*) Wobec tego chodź tutaj, Iziu, i pijemy na „ty”. Strzemiennego.

IZA (*wybiega, obejmuje Jana, całuje go i tuli się do niego zaczynając szlochać*) Dobrze Janku... Ja... ciebie zawsze bardzo kochałam. Jak... ja ciebie... pierwszy raz zobaczyłam, to od razu sobie... pomyślałam, że tak... musiał wyglądać (*rozrykuje się całkiem*) Ordynat Michorowski.

JAN (*głaszcząc ją po głowie z uśmiechem*) I ja ciebie bardzo pokochałem, Iziu. Gdy zobaczyłem cię wtedy na lotnisku, pamiętasz? — to pomyślałem sobie, że jesteś dziewczyna — czekaj — jak to się teraz mówi?...

IZA W d..e..e..chę.

JAN Tak. Dziewczyna w dechę. — Taką trzy calową.

GASTON Słuchajcie, moi drodzy — może już dosyć tej „fraternité”, bo patrząc na was dłużej jestem gotowy uwierzyć w społeczeństwo bezklasowe czyli w największy cud nad Wisłą.

IZA (*bierze szklankę z lady i trąca się z Janem, potem z Gastonem*) Zdrowie, Janku! — Cyk, twoje, Lorenzo!

GASTON Iziu!... carrrramba!...

IZA (*zjadliwie*) W przyszłości uważaj z porównaniami, bo ja mojego ojca nie okradłam, jak Jessyka Szajloka i wcale nie mam zamiaru od niego uciekać. (*jeszcze zjadliwiej*) Do tego z t o b ą .

GASTON (*wyskakuje spoza lady żeby ją objąć*) Iziu, Iziu — nigdy nie podejrzewałem.

IZA (*wymykając mu się*) Widziało się w teatrze. — A w przyszłości nie mam nic przeciwko temu żebyś mnie nie podejrzewał i o inne rzeczy...

JAN Brawo, Iziu — zdałaś na piątkę pod każdym względem.

GASTON Wobec tego... (*trąca się z Janem i ściskają się bez słowa*)

IZA (*teraz dopiero podchodzi do Marii siedzącej ciągle z daleka jakby w półśnie, staje za jej plecami i obejmuje ją od tyłu delikatnie. Maria reaguje lekkim drgnięciem, jak zbudzona ze snu i dalej milczy, gładząc Izę po ręce. Wchodzi chłopak indyjski i rozgląda się*)

GASTON (*pokazując za hamak*) *Aya, aya!* (*chłopak bierze do rąk walizki i wychodzi nie zauważywszy teczki. Maria wstaje, podnosi teczkę i bez słowa wychodzi z nią za chłopakiem. Jan stoi chwilę ze spuszczoną głową, potem nagle unosi ją, uśmiecha się do Izy i Gastona, robi nieznaczny ruch ręką na pożegnanie i wychodzi*)

IZA (*po chwili siada w hamaku*)

GASTON (*ze szklanką w ręce siada przy niej na podłodze i ujmując w kostce jej nogę, zaczyna ją lekko huśtać.* Everything in life boils down to a cliché. — Jakże to prawdziwe. (*dopija resztę whisky*)

IZA Co to znaczy?

GASTON (*wstaje i podchodzi do lady, bierze pełną szklankę, nalaną dla Marii*)

IZA Zostaw to!

GASTON Co tobie? Coś ty...

IZA Nie ruszaj tej szklanki. (*wstaje z hamaka, podchodzi do lady, bierze szklankę i rzuca nią o ziemię*) Jestem przesądna.

GASTON Ja ją podziwiam.

IZA Ja nie. — To taka, co chciałaby mieć dzieci, ale żeby nie musiała żyć z mężem. (*wraca na hamak*)

GASTON (*śmieje się i nalewa sobie nową szklankę. Potem idzie z nią pod hamak, znowu siada na ziemi i znowu zaczyna huśtać Izę, jak przedtem*) Ależ ty jesteś zacięta.

IZA No więc co to znaczy, to co powiedziałeś po angielsku?

GASTON Trudno to przetłumaczyć i nie pamiętam już, kto to powiedział czy napisał. Bodaj że jakiś angielski pisarz. — Jakby ci tu oddać sens tej sentencji? Hm — może po prostu, że w życiu wszystko kipi, a gdy wykipi, to na dnie zostaje zwyczajny banał, powieść dla kucharek. Tak jest ze wszystkim: ze szczęściem, z nieszczęściem. Wszystko zamienia się w to — nawet życie, — nawet śmierć.

IZA Nie bądź cyniczny.

GASTON (*głośno myśląc*) Nie, nie. Zaczynam w tym odkrywać pewną tajemnicę. Tak — nie lęk śmierci, nie ,,angoisse'', nie problem przemijania, nie strach atomowy — nie — lęk, paniczny lęk przed banałem życia, przed płaskością wszystkiego, płaskością nawet śmierci. — Kiedyś ten lęk ogarniał tylko umysły wybrane, dziś schodzi coraz niżej, coraz niżej i rozpełza się, podgryza coraz więcej istnień. Podgryza was, młodych, u korzeni...

IZA Gaston — ja już zdrętwiałam do pasa. Powiedz mi, kiedy mam zacząc powyżej.

GASTON Czekaj, czekaj... Czyś ty kiedy czytała coś Dickensa? Znasz może ,,Dawida Copperfielda''?

IZA Wiesz — powiem ci bez lipy. Zaczęłam raz, ale nie skończyłam. Cholernie rozwlekłe.

GASTON Szkoda... ale masz jeszcze czas.

IZA O co ci chodzi?

GASTON Wiesz — w Dickensie są takie różne opisy. Jakieś ciasne mieszkania, ogień na kominku, popijanie grogu, ponczu czy też jakichś innych świństw, które mogły być wynalezione jedynie w aspirynowym klimacie angielskim, — ktoś komuś coś spokojnie opowiada — krótko mówiąc opisy najbardziej płaskiego, najbardziej banalnego, najbardziej mieszczańskiego i kuchennego szczęścia. Z kochającymi żonami, z wściekłymi bachorami — aż mdli.

IZA No i?

GASTON No i dochodzę do wniosku, że uciec od banału życia, od płaskości wszystkiego, możesz tylko wtedy, gdy zaakceptujesz go, gdy przyjmiesz, że na przykład w dziedzinie szczęścia niczego innego nie wymyślono i nigdy się nie wymyśli. — Rozkosze codzienności. — Cichy wieczór, pogodny albo deszczowy, szum wiatru albo bełkot rynien płuczących gardło i plujących wodą (*podnosi szklankę*) coś do picia, coś do jedzenia, coś do czytania... i spojrzenie oczu kochanej kobiety, w których pali się spokojny ogień jak na kominku. — Takie proste, banalne, ograne, ckliwe i — takie trudne.

IZA (*kładzie mu nogi na ramionach i odpychając się, delikatnie się huśta*) Masz rację... I trochę forsy na zupełnie, absolutnie niepotrzebne wydatki... (*huśta się zamyślona, Gaston całuje ją w łydkę*)

K U R T Y N A

# List do polskich komunistów

Piszę do was ten list bynajmniej nie w celach retorycznych. Jeżeli dostrzeżecie w nim naiwność, nie będzie to naiwność podstępna, ale dobrowolnie przyjęta, dlatego po prostu, że ironia jest czasami za łatwa. Obieram więc ton zupełnie rzeczowy i żadnych zatrutych strzał nie chowam w zanadrzu.

Od pewnego czasu widać w waszej prasie skłonność do wskrzeszania metod zdawałoby się zużytych, zwłaszcza powrót do mitologii wroga. Jeżeli wasi dziennikarze robią to na chłodno, w imię propagandy, to warto chyba pamiętać, że propaganda nie działa jednostronnie. Ci co ją uprawiają, sami zaczynają wreszcie jej ulegać, a każda fałszywa informacja wprowadza w błąd nie tylko odbiorców ale i was samych. Dzieje się to zawsze stopniowo, na zasadzie dobrze wam znanego mechanizmu licytacji w gorliwości.

Pozwólcie, że zatrzymam się na chwilę przy sprawach osobistych. Podczas wyborów na wiosnę 1957 roku B.B.C. nadało mój tekst wzywający do głosowania na Gomułkę. Prasa wasza, nawet dzienniki prowincjonalne, jak najchętniej posłużyła się tym wezwaniem. Drukując je jednak i podając jako całość mego przemówienia, wycięliście fragmenty i zdania dla was niewygodne. Toteż opowiadano mi później o wiecach wyborczych, na których rozlegały się krzyki: ,,Miłosza też kupili''.

Latem 1957 roku podpisałem kontrakt z Wydawnictwem Literackim w Krakowie na dwie moje książki: ,,Wiersze zebrane'' i powieść ,,Dolina Issy''. Książki nie mogły się jednak ukazać, gdyż zostały wkrótce zabronione przez cenzurę i to nie na szczeblu lokalnym, ale na szczeblu Komitetu Centralnego. Zarazem cenzura zaczęła tępić artykuły o mojej poezji, wyrzucać z książek krytyków literackich ustępy moim pracom poświęcone, a nawet patrzeć krzywo jeżeli ktoś cytuje moje nazwisko, co zmusiło moich kolegów-pisarzy do używania

omówień albo kryptonimów. W wydanej niedawno podręcznej encyklopedii jestem jednym z nielicznych autorów mieszkających za granicą, przy których nazwisku umieszczono określenie : ,,Przeciwnik Polski Ludowej''. Co ten termin oznacza, nie mam pojęcia.

Walka z poetą jest śmieszna i dla was poniżająca. Gdybyście uważali swoją dyktaturę za dyktaturę faszystowską, moglibyście ulegać złudzeniu, że taka walka przyniesie pożądane skutki. Wy jednak, pomimo wszelkich, jak to się zbyt delikatnie nazywa, ,,błędów i wypaczeń'', czerpiecie natchnienie z pism ludzi, którzy byli intelektualistami i mocno wierzyli, że dzieła myśli ludzkiej są silniejsze niż jakakolwiek policja. Terror w latach 1949-1955 nie przeszkodził moim wierszom krążyć w licznych odpisach wśród młodzieży. Nie jest moją winą, jeżeli staracie się być podobni do urzędników carskich wyłapujących w XIX wieku druki polskie przesyłane z Paryża. Próbując wydać moje książki w Polsce, złożyłem dowód, że wolałbym uniknąć analogii historycznych, równie dla mnie jak dla was przykrych.

Nie sądzę żebyśmy, skrzętnie podtrzymując wrogość, kierowali się uczuciami. Bądź co bądź, jeżeli używałem swego pióra przeciwko systemowi, to przeciwko systemowi, który i was zabijał. Niewątpliwie staliniści pośród was mnie nienawidzą, mam też osobistych nieprzyjaciół. Sedno rzeczy jest jednak gdzie indziej : chodzi o to, że jestem współpracownikiem ,,Kultury''. Pismo to uznaliście za niebezpieczne i toczycie przeciwko niemu wojnę w ramach ,,walki z rewizjonizmem''. Nie przesądzam, ile w tym waszej inicjatywy, a ile uległości wobec nacisków czujnej ambasady potężnego sojusznika i protektora. W każdym razie kiedy kilku pisarzy z Polski ogłosiło swoje utwory w ,,Kulturze'', zastosowaliście pogróżki, żeby podobnym wypadkom na przyszłość zapobiec, a celnicy wasi zajmują się polowaniem na egzemplarze pisma i egzemplarze jego nakładem wydanych książek.

Nie należę do redakcji ,,Kultury'' i otrzymując w początku miesiąca numer znajduję w nim albo materiały z których treścią się zgadzam, albo takie, które wywołują mój sprzeciw. Dla redaktora mam jednak podziw i szacunek, za to, że dokonał nieprawdopobieństwa : w niesłychanie złych warunkach stworzył pismo od nikogo, poza nim samym, niezależne i niezależny dom wydawniczy. ,,Kultura'' daje mi swobodę wypowiedzi, jakiej nigdy nie uzyskałbym w Polsce — a ograniczenia wolności słowa, nawet jeżeli akceptuje się je niekiedy powołując się na jakieś racje wyższe, są jednak zawsze ograniczeniami. Zważcie, że nie odwracając się z pogardą od problemów polityki, co w dwudziestym wieku jest mało zalecone, można niekiedy nie mieć żadnych ambicji politycznych i że przede wszystkim swoboda formułowania myśli może być dla kogoś ważna.

Wasz tygodnik ,,Polityka'' ogłosił ostatnio duże studium o ,,Free Europe'', czyli, jak głosi podtytuł, ,,o metodzie zimnej wojny''. Nie jest dla nikogo sekretem, że brak mi przyjaźni do tej instytucji, tak jak jej brak przyjaźni do mnie. Ponieważ studenci Collège de l'Europe Libre w Strasburgu chcieli mnie jako prelegenta, wygłosiłem tam odczyt w 1957 r. i ten jedyny wypadek mojej współpracy raczcie odnotować. Jeżeli mocujecie się z ,,Free Europe'', to rzecz wasza i owego przedsiębiorstwa. Wy jednak nie jesteście zdolni pozbyć się starych nałogów i korzystając z artykułu w ,,Polityce'' stosujecie jak najbardziej klasyczną metodę zimnej wojny: metodę ,,amalgamu'', zbyt wsławioną, żeby wymagała opisu. ,,Polityka'' na liście filii ,,Free Europe'' umieszcza mianowicie Kongres Wolności Kultury, na liście emigracyjnych organizmów przez nią kierowanych i finansowanych umieszcza ,,Kulturę'', po czym, żeby zaokrąglić, łączy jeszcze ze sobą te dwie rzekome agencje i oto nareszcie wszystko jest jasne.

Kongres Wolności Kultury nie jest filią ,,Free Europe''. Obraz rzeczywistości z gatunku ,,jak mały Kazio wyobraża sobie Paryż'' nawet propagandowo nie zawsze jest skuteczny. Spośród, jak powiadacie, ,,ideologów i intelektualistów antykomunistycznych'' zgrupowanych dokoła Kongresu, ,,Polityka'' wymienia nazwiska: A. Koestler, J. Silone, F. Bondy, Cz. Miłosz, J. Mieroszewski, R. Aron. To coś jak groźna loża, w skład której weszliby Werblan, Gołubiew, Witaszewski, biskup Karczmarek i Przyboś. Niczego tutaj prostować nie warto, jeżeli wasz dziennikarz nie słyszał o Ignazio (nie J.) Silone i Juliusza Mieroszewskiego wsadza tutaj tylko po to, żeby zbudować pomost pomiędzy Kongresem i ,,Kulturą''. Obiecałem powstrzymać się od ironii, ale jeżeli filii ,,Free Europe'' patronują Karl Jaspers, Jacques Maritain i Jayaprakash Narayan, to zaiste, ,,Free Europe'' jest taką potęgą, na jaką wygląda ze Skierniewic.

,,Kultura'' nie jest przybudówką ,,Free Europe'', nie jest też przybudówką Kongresu Wolności Kultury. Wychodziła pod tym samym tytułem kiedy Kongres jeszcze nie istniał. Jeżeli jest dla was nieprzyjemna, to zechciejcie jednak zrozumieć, że można na nią patrzeć dwojako. Albo obliczając doraźne zyski i straty, co jest waszym wypadkiem, ponieważ pocicie się od posunięcia do posunięcia, albo troszcząc się o interesy polskiego piśmiennictwa, które nie dzisiaj się urodziło i nie na dzisiaj się kończy. Wolno mi to mówić, bo wasze kłopoty, kłopoty władzy, nie są moimi kłopotami i nigdy nie będę rządzić żadnym powiatem, poza powiatem mojej fantazji. Podobno tacy też są niekiedy użyteczni dla społeczeństwa. Historyczna tkanina, tkanina czasu, splata się z wielu nitek i czego jak czego, ale różnorodności nitek wy nie jesteście w stanie dostarczyć.

Jak łatwo odgadnąć, ciągle intrygują was finanse ,,Kultu-

ry''. To nie moja parafia, byłem jednak nieraz świadkiem zmagań redaktora z nadludzkimi niemal trudnościami i te zmagania różnią ,,Kulturę'' od wielkich machin oliwionych oraz psutych przez pieniądz. Cokolwiek żywotnego powstało w myśli i w literaturze dwudziestego wieku, zawdzięcza swój byt przede wszystkim ,,małym magazynom'', utrzymującym się na powierzchni dzięki energii paru zapaleńców oraz prywatnej pomocy czytelników i sympatyków. Tego elementu, niezliczonych prywatnych więzi i inicjatyw, przyzwyczailiście się już nie brać w rachubę.

Skoro rzekomo źródłowy i podstawowy artykuł w ,,Polityce'' tak cynicznie ucieka się do ,,amalgamów'', wolno powątpiewać o prawdziwości innych zawartych w nim szczegółów. Tam w każdym razie, gdzie przekręcone są nazwiska albo doczepione do różnych osób funkcje wykazują humorystyczny brak orientacji, nasuwa się przypuszczenie, że ,,Polityka'', załatwiając swoje propagandowe porachunki, nie zadała sobie nawet fatygi żeby poszukać rozgarniętych informatorów.

Najnaiwniej w świecie zadaję wam pytanie: dlaczego to robicie? Dlaczego sami sobie zaciskacie na szyi pętlę, teraz, kiedy nie musicie wracać do dawnych obrzydliwości? Każdy w Polsce, po przeczytaniu artykułu w ,,Polityce'' szepnie, że jest to mowa podwójna, według znanych policyjnych tradycji, i że nie ma na to rady. Czyżby naprawdę ciążyła na was zawsze fatalność, fatalność kłamstwa? Lud podejrzewa, że jesteście sługami diabła i na waszym miejscu nie zbywałbym tego posądzenia lekko. Jeżeli wasz gniew budzi akcja radia ,,Free Europe'' przeciwko Kółkom Rolniczym, to nic nie zrealizujecie jednak na wsi wyobcowując się z ludzkiej wspólnoty, tak jak już raz byliście wyobcowani. Brnąc w mitologię wroga, nie będziecie umieli spostrzec ilu milczących wrogów ta mitologia przysparza wam pod bokiem.

*Czesław MIŁOSZ*

## *Archiwum polityczne*

# Kronika angielska

### „ZNAWCY"

— „Drogi panie — co mi pan będziesz opowiadał ! Pan wyjechał z Polski dwadzieścia lat temu a ja właśnie wczoraj wróciłem z urlopu nad polskim morzem".

Kwestia upada. Mój rozmówca był, widział, słyszał a ja tyle wiem, co wyczytam w londyńskim „Dzienniku Polskim".

Jest rzeczą niezmiernie ważną być i zobaczyć na własne oczy. Ale to nie wszystko. Znam ludzi w Londynie — do których i siebie zaliczam — którzy poznali dokładnie Polskę dopiero na obczyźnie.

Mieszkając w Krakowie i pracując w IKC'u interesowałem się polityką zagraniczną, a w szczególności problemem Niemiec. Każdy urlop spędzałem zagranicą czego dziś bardzo żałuję. Nie mogłem jednak wówczas przewidzieć, że król angielski zafunduje mi wspaniałe podróże i że przez osiem lat przerzucać mnie będzie z Cypru do Jerozolimy — z Tel-Avivu do Aleksandrii, z Bagdadu do Kairu — z El-Adem do Neapolu i Bóg wie gdzie jeszcze. W rezultacie wiele krajów znam dokładniej niż Polskę — jeżeli przez znajomość rozumieć „widzenie na własne oczy". Rumunię — powiedzmy dla przykładu — zjeździłem wzdłuż i wszerz i byłem dosłownie w każdym rumuńskim mieście. Niestety z polskich miast, których nigdy na oczy nie widziałem — mógłbym ułożyć długą litanię. Nie oznacza to jednak bynajmniej abym był znawcą Rumunii a ignorantem w sprawach polskich. W rzeczywistości jest wręcz odwrotnie.

Melduje się u mnie mój kuzyn z Kraju, którego nie widziałem od 1939 roku. Po wylewie czułości i potopie wspominków — kuzynek rozparłszy się w fotelu wyciąga przed siebie nogi i mówi : „no, a teraz czas na politykę. Zadawaj mi jakie tylko chcesz pytania, a ja będę na nie odpowiadał".

Po kwadransie zorientowałem się, że na moje pytania ja sam odpowiadam, a mój kuzynek dorzuca tylko od czasu do czasu zdumione : „Co ty mówisz — co ty mówisz — myśmy w Kraju zupełnie o tym nie wiedzieli".

Gdyby nie prawa gościnności byłbym mu niechybnie powiedział: „gdybyś żłobie ciemny czytywał dokładnie prasę krajową — jak niżej podpisany — i ty byłbyś poinformowany o tym co się w Polsce dzieje".

Kuzynek przekonawszy się, że o Polsce współczesnej wie niepomiernie mniej niż Londyńczyk — przyjął klasyczną linię obrony: „Cała Twoja wiedza o Polsce jest teoretyczna. Trzeba siedzieć na miejscu i wyczuwać sytuację".

Odpowiedziałem, że już widywałem takich co siedzieli na miejscu i wyczuwali sytuację. Gestapo wybierało ich z domów według książki telefonicznej, bo żadnemu z nich nie przyszło do głowy zmienić adresu. Tak daleko ich wyczucie sytuacji już nie sięgało.

A co do wiedzy — każda wiedza jest teoretyczna. I lepiej jest wiedzieć „teoretycznie" niż nie wiedzieć w ogóle.

Faktem jest, że ludzi znających Polskę współczesną jest równie mało w Kraju jak i na emigracji. Można mieszkać w Warszawie dwadzieścia lat i o Polsce nie wiedzieć nic i podobnie, można stale mieszkać w Londynie i o Anglii nie wiedzieć nic.

Na emigracji jest garść ludzi, którzy poprzez wieloletnie systematyczne studia zdobyli znaczną wiedzę o Polsce współczesnej. Na ogół jednak rzeczoznawcy ci nie trzymają swojej wiedzy pod korcem i dzięki temu nie są mile widziani przez koła oficjalne Polski Ludowej.

Pożądanym turystą jest zamożny a-polityczny rodak, który przyjeżdża do Kraju nadychać się polskością i podumać nieco na pomnikach sławy. Natomiast ci nieszczęśni, którzy Polskę nie tylko kochają, ale Jej się uczą — muszą siedzieć w Londynie i zadowolić się „teorią".

## GOMBROWICZ — SŁAWOJ SKŁADKOWSKI

Nie wiem czy na świecie, ale na emigracji z całą pewnością dzieją się rzeczy, które nie śniły się filozofom. Gdyby przed wojną w Polsce Ossowiecki czy inny wróż przepowiedział, że nadejdą czasy kiedy premier gen. Składkowski w wyborach do Akademii Literatury otrzyma identyczną ilość głosów co autor „Ferdydurke" — nie tylko nikt by w to nie uwierzył, ale nikt nie śmiałby uwierzyć. Samo zestawienie nazwisk pachniałoby Berezą. Gdzie Rzym — gdzie Krym. Gdzie „Ferdydurke", a gdzie fotel gromowładnego generała-premiera. Gdzie ziemiańskie pacholę parające się zwariowaną literaturą, a gdzie generał, który polskie płoty zastał obdrapane a pozostawił wybielone.

A jednak po latach dwudziestu ci dwaj panowie otrzymali z rąk czytelników „Wiadomości" bierzmowanie na równych rangą pisarzy — równie godnych akademickiego lauru.

Sławoj Składkowski jest utalentowanym gawędziarzem. O ile miałem wiele zastrzeżeń co do jego polityki, o tyle z wielką przyjemnością czytuję jego opowiadania. Medycyna prowadzi do wszystkiego pod warunkiem, że się ją porzuci. Ale zdradzić ją można rozmaicie. Dla biurka pisarza — jak Boy Żeleński — lub dla biurka premiera jak Sławoj Składkowski.

Sławoj-pisarz rozbroił opozycję przeciw Sławojowi b. premierowi. Powoli, ale konsekwentnie dokonała się przed naszymi oczyma jedna z dziwniejszych metamorfoz na emigracji. Generał-premier dźwięczący

ostrogami — postrach starostów grzmiący rozkazy i polecenia — głowa sanacyjnego rządu skupiająca na sobie odium za klęskę wrześniową — wszystko to rozpłynęło się we mgle blednących wspomnień. Miejsce premiera zajął wśród nas starszy pan o siwych wąsach i bardzo sarmackich rysach — sentymentalny choć nie ckliwy — gawędziarz i pokrzepiciel serc. W innych spoieczeństwach takie metaformozy nie są możliwe, ale u nas granice między polityką a literaturą są niezmiernie płynne. I wskutek tego interpretatorem naszych dziejów nie jest historyk polityczny, lecz zawsze pisarz i pokrzepiciel. Do niego należy zawsze ostatnie słowo.

Osobiście wyniki ,,akademickich'' wyborów ,,Wiadomości'' zdumiały mnie i zmartwiły. Mimo, że od dziesięciu lat nie wydrukowałem niczego w ,,Wiadomościach'' otrzymałem 270 punktów. Więcej niż Andrzej Bobkowski, Jerzy Pietrkiewicz, Maria Kuncewiczowa i cały legion pomniejszych wielkości. Co to oznacza ? Oznacza to, że w arcy-konserwatywnych, arcy-prawicowych, arcy-konformistycznych kołach czytelników ,,Wiadomości'' znalazło się 270 osób, które na mnie oddały swą kreskę. Wniosek stąd prosty, że w owych super-zachowawczych sferach istnieje przecież mała garść ludzi myślących trzeźwo, no i to mnie zdumiało.

A co mnie zmartwiło ? Zmartwił i przeraził mnie fakt, że ponad ćwierć tysiąca osób z konserwatywnej partii dra Grydzewskiego uznało mnie godnym akademickiego lauru. Czytając ów wyrok poczułem się pierwszy raz w życiu staro i emerytalnie. Ładny ze mnie farmazon, wolnomyśliciel i antykonformista — skoro gmina najbardziej zatwardziałych kontrrewolucjonistów świata tak mnie wyróżniła.

Bo w końcu co to jest starość ? Starzec to jest obłaskawiony buntownik. Może nie zawsze zrezygnowany, ale już obłaskawiony, na sznureczku, potrzebujący ciepła uznania i woni lauru. A laur pachnie zawsze cmentarzem. Gdyby padł na mnie w wyborach ,,Wiadomości'' tylko jeden głos — byłbym pewniejszy mojej pięćdziesięcioletniej młodości i wiedziałbym, że do obłaskawienia i emerytury jeszcze daleko.

## OBROŃCY ,,GRENADY''

W ,,Polityce'' z 3.10.59. ukazał się olbrzymi artykuł pt. ,,Wolna Europa''.Autor na kilku szpaltach pomieszał z beztroską fakty, cyfry, nazwiska i zaprezentował czytelnikom sałatkę bez sensu składu i ładu. I tak oto z artykułu w ,,Polityce'' dowiedzieliśmy się, że ,,Kultura'' finansowana jest przez dwie instytucje : Free Europe Exiled Relations oraz Congress for Cultural Freedom. Mało tego, autor zapewnia jeszcze, że cytowane Exiled Relations ,,finansuje i zakulisowo kieruje'' działalnością ,,Kultury''. Mimo, że jestem członkiem redakcji ,,Kultury'' od jedenastu lat — dopiero z artykułu w ,,Polityce'', dowiedziałem się, że mam nad sobą dwóch naczelnych redaktorów, a mianowicie Jerzego Giedroycia i Józefa Czapskiego.

Dyskusja jest trudna bo nasi oponenci nie są w stanie uwierzyć w pewne rzeczy. W zeszłym roku odwiedził mnie skąd inąd miły, parający się piórem członek partii. Rozejrzał się po moim pokoju i zauważył, że mieszka w Warszawie daleko bardziej komfortowo niż ja w Londynie. A po chwili uśmiechnął się bardzo po warszawsku i zapytał : ,,Tyle jest

tych instytucji, kongresów, fundacji — dlaczego żadna panu nic nie płaci ?" Odpowiedziałem — że może by i płacili gdybym kołatał, wyciągał rękę i prosił. W tym miejscu mój gość rozkrzyżował ręce i niemal krzyknął: „trzeba być frajerem jeżeli można ciągnąć, a nie ciągnie się. Przydałby się panu rok przeszkolenia w Warszawie".

Takich rozmów mógłbym zanotować dziesiątki — choć żaden inny krajowy rozmówca nie ujął „problemu" równie lapidarnie. Dlatego ilekroć spotykam się w prasie krajowej z insynuacjami typu „Polityki" — że nas finansują, zakulisowo nami rządzą, inspirują itp. — obronę uważam za beznadziejną. Ci ludzie w oparciu o swoje własne doświadczenie i własną gospodarkę — nigdy nie uwierzą, że może istnieć polskie pismo niezależne, o samodzielnej gospodarce, które niczego nie ma do ukrywania. Tym panom to po prostu nie mieści się w głowie. Bo w ich przekonaniu jeżeli istotnie znikąd nie bierzemy pieniędzy jesteśmy „frajerzy" i idioci. Jeżeli nie jesteśmy „frajerami" i idiotami to z całą pewnością ciągniemy forsę z wszystkich możliwych źródeł z wywiadem włącznie. *Tertium non datur*. Ponieważ mimo wszystko nie wyglądamy na typowych „frajerów" i idiotów jest oczywiste według partyjno-warszawskiej „dialektyki" — że grabimy dolary gdzie się tylko da.

Fakty tych panów nie interesują. Wyliczając różne wydziały (*divisions*) Komitetu Wolnej Europy, jako piąty wymieniają oni „Kongres Wolności Kultury" w Paryżu. Otóż Kongres Wolności Kultury jest niezależną instytucją międzynarodową, która nic nigdy nie miała wspólnego z „Wolną Europą". Wszystkie periodyki i wydawnictwa Kongresu Wolności Kultury są wyraźnie na każdym egzemplarzu firmowane przez tę instytucję. I nie ma czego ukrywać. „Encounter" wydawany przez Kongres w Anglii, a „Preuves" w Paryżu są świetnymi miesięcznikami. W całej Polsce nie ma ani jednego periodyku na takim poziomie. „Kultura" nie jest wydawana przez Kongres i dla tego przez Kongres nie jest firmowana. W nielicznych wypadkach kiedy Kongres pomógł nam wydać jakąś książkę nigdyśmy tego nie ukrywali.

Dość niefortunnie wmieszał również anonimowy dziennikarz z „Polityki" w swój artykuł Fundację Forda. Fundacja Forda — stwierdza on — finansuje Kongres Wolności Kultury. Kongres Wolności Kultury zaś — zdaniem „Polityki" — jest zwykłym wydziałem Komitetu Wolnej Europy. Ergo: Fundacja Forda finansuje Komitet Wolnej Europy. Otóż prawdą jest, że Fundacja Forda udzieliła przed dwoma laty subwencji pół miliona dolarów Kongresowi. Dar ten był przedmiotem komunikatów w całej prasie światowej, podobnie jak dary Fundacji Forda dla polskich uniwersytetów i jej stypendia dla polskich uczonych.

Albo też gaffa innego rodzaju. „Polityka" stwierdza, że „uniwersytetem Wolnej Europy „kieruje" wpływowy funkcjonariusz wywiadu USA, A. Berle". Trudno wprost wierzyć, że poważne pismo, interesujące się sprawami społeczno-gospodarczymi i polityką międzynarodową nie wie, że profesor Adolf Berle był inspiratorem „New Deal'u", bliskim przyjacielem zmarłego prezydenta Roosevelta, że jest autorem klasycznych dziś książek o wewnętrznych przemianach kapitalizmu — że jego „The 20-th Century Capitalist Revolution" i „The Modern Corporation and Private Property" są kluczowymi źródłami dla zrozumienia naszych czasów. Podobnie można by napisać: „agent Intelligence Service — Arnold

Toynbee", „zasłużony oficer Deuxième Bureau — Georges Friedmann" lub „wpływowi dygnitarze polskiego UB — A. Schaff i O. Lange".

Ani z Free Europe ani z Kongresem Wolności Kultury ani z żadną amerykańską, europejską czy międzynarodową instytucją nie jesteśmy związani czy to finansowo czy organizacyjnie. Niemniej należy obiektywnie stwierdzić, że wiele z tych instytucji, a przede wszystkim Fundacja Forda — położyło ogromne zasługi tak dla literatury jak i dla nauki polskiej krajowej. Stypendia, pomoce naukowe, książki, wyjazdy na studia zagranicę, wystawy, kongresy — cała ta akcja prowadzona jest niezmiernie liberalnie w stosunku do członków partii. Wielu partyjnych a ortodoksyjnych komunistów korzystało i korzysta z tych pomocy — byłoby więc logiczne gdyby „Polityka" i ich nazwiska dołączyła do „czarnej" listy instytucji emigracyjnych, które otrzymały pomoc z Fundacji Forda czy Kongresu Wolności Kultury.

Omawiany artykuł w „Polityce" ma jeszcze inny aspekt. Widmo odprężenia międzynarodowego, koegzystencja — to wszystko budzi panikę wśród tłumu aparatczyków, którzy żyli — często dość komfortowo — z zimnej wojny. W grę wchodzą setki posad. Ponieważ nasi aparatczycy to nie są „frajerzy" — walczyć będą do upadłego o „zimno-wojenną" krowę, którą doili do tej pory. Przewiduję, że zawrą sojusz z krypto-stalinowskimi elementami partii, by ratować zagrożoną Grenadę. Kto wie zresztą czy omawiany artykuł nie powstał z tego typu inspiracji, zmierzającej do sabotowania odprężenia.

*LONDYŃCZYK*

# Przegląd niemiecki

## WYSIEDLEŃCY I ICH PRASA

Wzmagające się od pewnego czasu kontrowersje między niemiecką tzw. wielką prasą a związkami wysiedleńców, ton polemiczny przejawiający coraz częściej nerwowe podniecenie — muszą mieć głębsze przyczyny, których określenie jest na razie dość trudne. Wydaje się, że główną rolę odgrywa tu dorastanie nowej generacji wysiedleńców, oraz stały dopływ uciekinierów z sowieckiej zony Niemiec, wśród których przeważa młodzież poniżej trzydziestki i ekonomiczny, a nie polityczny, powód ucieczki do Niemiec Zachodnich. Poza tym osłabnięcie emocjonalnego stosunku do dramatu wysiedleń, spowodowane upływem czasu, i specyficzna mentalność Niemiec Zachodnich, nie mogą pozostawać bez wpływu. Inaczej, nie byłoby zrozumiałe zdanie członka prezydium związków wysiedleńców, barona Manteuffel-Szoege, że „zadaniem tych Niemców (tzn. wysiedleńców i uchodźców) musi być wyjaśnianie ludziom

sytym i wierzącym w wieczystość trwania "cudu gospodarczego" o co tu chodzi". Według słów drugiego członka prezydium, Wenzel Jaksch'a, chodzi o „zdecydowane przeciwstawienie się polityce odpisywania na straty terenów wysiedleń, gdyż w takiej decyzji chodzi nie tylko o niemieckie wschodnie tereny, lecz o przyszłość niemieckiego narodu".

Czy szczęśliwa przyszłość narodu niemieckiego może rozwijać się wyłącznie w warunkach przynależności Kłajpedy i Sudetów do państwa niemieckiego, czy inne rozwiązania nie zapewniają Niemcom jeszcze szczęśliwszej przyszłości — to kwestia co najmniej sporna. Natomiast w niemieckiej buchalterii odpisanie na straty ziem wschodnich byłego państwa Hohenzollernów, czy Habsburgów — jeśli o Sudetach mowa — bezspornie uczyniłoby związki wysiedleńców instytucjami zbędnymi. Trudno przeto spodziewać się, aby działacze zawdzięczający swe pozycje polityczne właśnie tym związkom, przestali głosić swe proroctwa w formie prawd bezspornych. Tym należy tłumaczyć podniecony ton dyskusji wysiedleńców z niemieckimi politykami szukającymi nowych dróg wyjścia z sytuacji, ton nie sprzyjający ani wewnętrznemu porozumieniu Niemców, ani tym bardziej Niemców z Polakami.



Wydawany we Frankfurcie przez Heimat Verlag tygodnik „Ost-West-Kurier" (nr 39), opublikował jako dyskusyjny artykuł pod tytułem „Niemcy i Polska". Autorem jest znany publicysta i wieloletni prezes Niemieckiej Rady Ruchu Europejskiego, Ernst Friedlaender. Stwierdza on, że sprawa nawiązania stosunków Niemiec Zachodnich z Polską nie da się usunąć z politycznego porządku dziennego, że polityczna próżnia między Niemcami a Polską zniekształca ogólną wschodnią politykę Niemiec, że zagadnienie Berlina i zjednoczenia Niemiec ma pierwszeństwo przed zagadnieniem granicznym na Odrze, że choć to może brzmi paradoksalnie, lecz droga do wolnego przejścia pod Bramą Brandenburską w Berlinie przechodzi teraz przez Warszawę co najmniej równie dobrze jak przez Moskwę, i że wysiedleńcy osiągną dopiero wówczas pełny oddźwięk w ogólnej polityce Niemiec, gdy zrozumieją że ich związki winny być czymś innym, niżeli pospolitymi „wspólnotami interesów" (Interessenverbaende).

W następnym numerze „Ost-West-Kuriera" ukazały się dwie odpowiedzi. Baron Manteuffel-Szoege, stara się dowieść, że centralnym problemem dla Niemiec jest ich stosunek do Moskwy. Można tak myśleć, można też być odwrotnego zdania, to znaczy że głównym zagadnieniem dla Niemiec jest raczej stosunek Moskwy do nich.

Wenzel Jaksch natomiast, pisze o sprawach mających czasem dość luźny związek z tematem. Usiłuje udowodnić jak to Polska i Polacy byli i są wszystkiemu winni. Niektóre zarzuty Jakscha są nawet dość oryginalne. Na przykład: pokazują Polacy zagranicznikom w Warszawie pomnik-ostrzeżenie na miejscu kaźni Mieczysława Niedziałkowskiego, a nigdzie nie wznieśli pomnika dwóch przywódców socjalizmu żydowskiego w Polsce, Henryka Ehrlicha i Wiktora Altera, zamordowanych w 1942 roku w Kujbyszewie.

Poza tym wypomina nam Jaksch, że „na długo przed uchwyceniem władzy przez 'Nationalsozialism' w polskich miastach pogromy Żydów były na porządku dziennym". A dalej, że „Niemcy właśnie cierpieli w obozach koncentracyjnych Hitlera, gdy polski minister spraw zagranicznych, pułkownik Beck, zawarł z Berlinem swój pakt przyjaźni, a w 1938 roku wziął udział w rozbiorze Czechosłowacji".

Następnie autor wylicza ile setek tysięcy Polaków uprowadzili i wymordowali władcy Kremla, jak współdziałali w zgnieceniu Powstania Warszawskiego i w zniszczeniu stolicy, a że obecnie reżym Gomułki całkowitą winę za nieszczęścia Polski i Europy kłamliwie spycha wyłącznie na Niemców.

Głównym celem artykułu Jakscha wydaje się próba wbicia w głowę że Niemcy ponoszą mniejszą część odpowiedzialności za wywołanie wojny i wszystkich nieszczęść z tej wojny wynikłych, gdyż co najmniej drugie tyle co Niemcy zawinił Kreml, a jeszcze jakąś częścią odpowiedzialności trzeba obciążyć Polaków.

Zauważymy tu tylko, że odpowiedzialność jest niepodzielna, a współodpowiedzialność nie zmniejsza winy indywidualnej współdziałających.



W tym samym artykule poseł Jaksch przyjmuje za zrozumiałe przemilczanie przez reżym Gomułki tak kłopotliwych dla niego spraw jak deportacje, Katyń, Powstanie Warszawskie i inne. Określa jako smutny objaw, że większość emigrantów polskich przyłącza się do reżymowej „walki o zachodnie tereny". Cytuje wypowiedź Wacława Bnińskiego z broszury wydanej przez monachijski Arbeitskreis fuer Ostfragen : „Obecna sytuacja wschodnio-europejskich narodów jest w pierwszej linii rezultatem niemieckiego postępowania". Tu Jaksch stwierdza : „każdy pokojowy i miłujący wolność Niemiec musi wyraźnie powiedzieć, że na gruncie takiego pojmowania historii porozumienie niemiecko-polskie jest niemożliwe".



Ustąpiwszy po dwóch kadencjach prezydentury Niemiec Zachodnich, profesor Teodor Heuss przyjął godność prezesa rady nadzorczej instytucji wydającej jeden z najpoważniejszych dzienników niemieckich, *Frankfurter Allgemeine Zeitung*. Z dziennikiem tym oficjalna informacja związków wysiedleńców (*Deutscher Ostdienst* nr. 7 — wstępny artykuł podpisany inicjałem Ne.) polemizuje następująco :

„...krytycy, o których tu jest mowa, wolą swoją wiedzę czerpać z papierowych źródeł i z papierowych serc, zamiast naocznie się przekonać. Profesor Michael Freund z *Frankfurter Allgemeine Zeitung* na przykład z pewnością nie przeżywał żadnej manifestacji uchodźców, gdyż inaczej nie określałby serdecznego oburzenia zbrodnią wysiedleń i apelu do ducha sprawiedliwości (nie zemsty !) jako „metodycznego bycia obrażowym" i jako swojego rodzaju niewieścich dąsów. Tak daleko zaszedł naród profesorów i poetów".

*S. W. KOZŁOWSKI*

# Sojusz polsko-francuski z 1921 r.

Geneza przymierza polsko-francuskiego z lutego 1921 roku, przebieg rokowań paryskich, oraz charakter podpisanych umów, są już dziś dobrze znane w swym ogólnym zarysie. Niemniej pozostaje wciąż jeszcze wiele luk do wypełnienia i historyk doby najnowszej będzie mógł przedstawić pełny obraz wydarzeń dopiero wówczas, gdy archiwa francuskich ministerstw spraw zagranicznych i wojny, oraz akta sztabowe, będą w całości dostępne. Trudno jest dziś przewidzieć kiedy to nastąpi i próby nowych interpretacji i syntez muszą, z natury rzeczy, opierać się na istniejących źródłach archiwalno-pamiętnikarskich. Liczba tego typu źródeł wzrosła poważnie w ostatnich dziesięciu latach. Jeżeli chodzi o stronę francuską, to dysponujemy obecnie bogatą literaturą pamiętnikarską, że wspomnę tu jedynie książki obu byłych ambasadorów francuskich w Polsce, Jules Laroche'a i Leona Noëla, drugi tom pamiętników generała Weyganda, prace generała Gamelina, oraz niektóre ustępy sensacyjnej książki byłego dyplomaty francuskiego, J.B. Barbiera. Z wyjątkiem tej ostatniej pracy, pt. *Un frac de Nessus*, zakazanej zresztą we Francji, pozostałe wspomnienia i pamiętniki odzwierciadlają oficjalną francuską wersję układów i rokowań. Pełne są oczywiście niedomówień.

Historyk polski, pracujący na zachodzie, może korzystać z szeregu materiałów archiwalnych, które znacznie pogłębiają jego znajomość wydarzeń z okresu zimy 1920-1921. Wśród nich znajdują się: akta amerykańskiego Departamentu Stanu, otwarte dla badacza do roku 1929 włącznie i zawierające wszystkie raporty ambasadora amerykańskiego z Paryża i posła Stanów Zjednoczonych z Warszawy; archiwa niemieckiego ministerstwa spraw zagranicznych które pod koniec wojny zna-

*Materiały zamieszczane w tym dziale drukowane są na odpowiedzialność autorów i nie są wyrazem poglądów Redakcji.*

lazły się w rękach Aliantów, w dużej mierze dostępne w mikrofilmach; oraz część różnych archiwów polskich. Pomiędzy tymi ostatnimi na szczególną uwagę zasługują Akta Adiutantury Generalnej Naczelnego Dowództwa, Akta generała Rozwadowskiego, oraz część korespondencji dyplomatycznej placówek zagranicznych. W tej grupie akt odnaleźć można niektóre raporty posła polskiego w Paryżu w 1921 roku, Maurycego Zamoyskiego. Wreszcie, sam tekst tajnej konwencji wojskowej polsko-francuskiej da się łatwo zrekonstruować na podstawie dokumentu znajdującego się w Instytucie generała Sikorskiego w Londynie.

W tych warunkach, jakkolwiek należy sobie zdawać sprawę z braków wynikających z niemożności wykorzystania dokumentacji francuskiej, istniejący materiał źródłowy jest dostatecznie poważny, aby można podjąć próbę nowej analizy sojuszu z 1921 roku.

Ramy tego artykułu są zbyt wąskie, aby mogły zawierać wszechstronną i szczegółową analizę całego zagadnienia. Wiele problemów można tu jedynie potraktować nawiasowo, a tak istotne sprawy jak związek pomiędzy sojuszem a problemem Górnego Śląska, oraz znaczenie sojuszu dla stosunków pomiędzy Paryżem, Warszawą i Pragą, nie będą mogły być w ogóle poruszone. Nie mogąc wyczerpać całości zagadnień, artykuł ten ma jedynie na celu przedstawienie ogólnej analizy przymierza i jego problematyki w świetle nowych opracowań i źródeł.

Pierwszym zagadnieniem, niewątpliwie spornym i niedającym się rozstrzygnąć w sposób całkowicie zadawalający, jest sprawa genezy aliansu — skąd wyszła inicjatywa układów paryskich, z Warszawy czy z Paryża — kto był właściwym *spiritus movens* przymierza politycznego i wojskowego między obu krajami? W obecnym stadium badań wydaje się, że inicjatywa wyszła zasadniczo ze strony polskiej. Nie oznacza to rzecz jasna, że długofalowa polityka francuska nie przewidywała zawarcia układu sojuszniczego z Polską. Alians tego typu leżał na pewno w interesie Francji w latach powojennych, tak samo jak Paryż był w zasadzie zainteresowany w ugruntowaniu swej sfery wpływów w całej Europie środkowo-wschodniej. Istniało jednak wiele powodów po temu, aby Francja i Polska podchodziły w odmienny sposób do zagadnienia bliskiej współpracy politycznej, wojskowej i gospodarczej. Niektóre czynniki francuskie uważały wprost, że nie nadszedł jeszcze właściwy moment na podpisanie przymierza z Polską i w odróżnieniu od Warszawy wolały odłożyć sprawę aliansu na później. Strona polska nagliła Paryż, jakkolwiek i ze strony polskiej istniały rozbieżności w zależności od kierunków politycznych i od szczebla na którym problem sojuszu był dyskutowany.

W grudniu 1920 roku prasa prawicowa agitowała gwałtownie za natychmiastowym przymierzem z Francją. *Kurier Poznański* zamieścił dnia 10 grudnia ostry atak na rząd, krytykując jego politykę wobec Francji, oraz domagając się zbli-

żenia. Siedem dni później *Rzeczpospolita* wystąpiła z gorącym apelem o podpisanie przymierza z Francją. Stanowisko Piłsudskiego i kół do niego zbliżonych odzwierciadliło się w artykułach, które ukazały się w *Narodzie,* 1-go i 7-go grudnia. *Naród,* wypowiadając się za sojuszem z Francją, podkreślił jednocześnie, że Polska nie może zapłacić zbyt wygórowanej ceny za ten alians. Zdaniem pisma, nie mógł on w żadnym wypadku oznaczać zupełnego podporządkowania polityki polskiej interesom Francji.

W czasie gdy prasa dyskutowała problematykę stosunków polsko-francuskich rozpoczynały się pierwsze rozmowy o charakterze oficjalnym. Rezultat ich, z polskiego punktu widzenia, nie był zbyt zadawalający. Sondaże przeprowadzone przez ministra spraw zagranicznych, Eustachego Sapiehę, ujawniały dużą ostrożność z jaką Quai d'Orsay podchodził do sprawy sojuszu (1). Szef francuskiej misji wojskowej w Warszawie, generał Henri Niessel, wykazał również daleko idącą rezerwę, gdy polskie czynniki wojskowe wysunęły konkretny projekt konwencji militarnej. Zarówno raporty Zamoyskiego jak i meldunki kapitana Morstina (oficera łącznikowego przy sztabie marszałka Focha), wskazywały na istnienie poważnych wątpliwości co do celowości natychmiastowego sojuszu tak na Quai d'Orsay jak i w naczelnym dowództwie francuskim.

Paryż nie chciał jednak i nie mógł zająć stanowiska wręcz negatywnego. Problem Górnego Śląska wymagał skoordynowanej akcji polsko-francuskiej; ogólna sytuacja międzynarodowa dyktowała konieczność wzmocnienia Francji przez zbliżenie z krajami leżącymi na wschód od Niemiec; względy gospodarcze wreszcie grały również na korzyść zbliżenia z Polską i całą Europą środkowo-wschodnią. W tych warunkach rząd francuski zaprosił oficjalnie Piłsudskiego jako naczelnika państwa do Paryża, w nocie złożonej 28 grudnia przez francuskiego chargé d'affaires barona de Barante. Zaproszenie to nie precyzowało celu wizyty poza ogólnikowymi stwierdzeniami o potrzebie wymiany poglądów pomiędzy głowami obu państw. Poseł Zamoyski w swym raporcie z 1-go stycznia 1921 podkreślił również, że Francja traktuje wizytę Piłsudskiego jako oznakę zbliżenia między obu krajami, nie wysuwa jednak na razie żadnych konkretnych propozycji o charakterze sojuszniczym (2).

Jakie względy dyktowały to niezwykle ostrożne stanowisko Paryża? Raporty kpt. Morstina stwierdzały, że naczelne dowództwo francuskie było w zasadzie zainteresowane aliansem z Polską, ale odnosiło się z dużą dozą nieufności do polskich sfer kierowniczych. Podczas gdy sztabowcy francuscy oświadczali Morstinowi, że zadaniem Polski jest trzymanie w szachu Niemiec i powstrzymywanie bolszewizmu, domagali się oni

---

(1) Porównaj Laroche, *La Pologne de Pilsudski,* str. 13.

(2) Akta Adiutantury Generalnej Naczelnego Dowództwa, 61/6505T4. Cytowane następnie w skrócie AGND.

równocześnie deklaracji ze strony polskiej na temat przyszłej polityki wschodniej. Morstin donosił, że ich zdaniem granica ryska oraz ewentualna unia z Litwą powinny stanowić ostateczną granicę rewindykacji polskich na wschodzie. Weygand i Foch nie precyzowali swego stanowiska zbyt szczegółowo, podkreślając jedynie w swych rozmowach z Morstinem obawy przed ,,awanturniczą'' polityką Piłsudskiego na wschodzie. Przestrzegając przed nowymi próbami faktów dokonanych, dawali oni wyraźnie do zrozumienia, że nie żywią zaufania do dotychczasowych metod politycznych Naczelnika Państwa (3).

Wydaje się, że wynurzenia francuskie wobec Morstina nie zawierały wszystkich istotnych zastrzeżeń francuskiego sztabu. W rzeczywistości opozycja Focha i Weyganda wypływała z innych jeszcze przyczyn. Wynika to wyraźnie z memoriałów, które Foch przedstawiał rządowi w styczniu 1921 roku, już po rozpoczęciu rokowań. Marszałek miał stwierdzić wówczas — oryginalny tekst memoriałów nie jest dotąd dostępny — że sojusz z Polską miałby sens jedynie z chwilą gdyby Polska stanowiła poważną siłę. Według relacji Weyganda oznaczało to, że Foch uważał sojusz za możliwy dopiero wówczas gdyby Polska posiadała ustalone granice, zorganizowaną armię, uporządkowane finanse, oraz stałą i konsekwentną linię w swej polityce wewnętrznej i zagranicznej (4). Noël przedstawił stanowisko Focha jako bardziej skrajne. Według tej drugiej wersji Foch miał się wyrazić, że nie można podpisywać przymierza z krajem, który nie ma ani granic, ani rządu, ani wojska (5). Jeżeli Foch rzeczywiście użył tych określeń, to były one oczywiście niesłychanie drażniące z polskiego punktu widzenia i trudno się dziwić, że spotkały się z ostrą odprawą późniejszych polskich pisarzy i historyków. Pomijając w tej chwili emocjonalną stronę zagadnienia, zastanówmy się przez chwilę co Foch miał na myśli, jeżeli rzeczywiście określił w tak lapidarny sposób ówczesną polską rzeczywistość.

Nie ulega kwestii, że w zimie 1920-1921 duża część granic Rzeczpospolitej nie była jeszcze uznana przez wielkie mocarstwa, a niektóre granice nie były nawet oficjalnie ustalone. Jakkolwiek preliminaria ryskie wykreślały linię graniczną na wschodzie, pokój nie był jeszcze podpisany i pogłoski o nowych działaniach wojennych na wiosnę obiegały stolice europejskie. Zagadnienie wileńskie nie było rozstrzygnięte. Z punktu widzenia międzynarodowego, położenie prawne Wschodniej Galicji było niejasne, gdyż wielkie mocarstwa zawiesiły jedynie swą decyzję wprowadzenia na te ziemie specjalnego statutu i nie powiedziały jeszcze ostatniego słowa w tej sprawie. Górny Śląsk wreszcie stanowił, w przeddzień plebiscytu, jeden z punktów zapalnych w Europie, gdzie krzyżowały się interesy francuskie

---

(3) Raport z 2. XII 1920, AGND, 61/6169T4 i 61.6341T4.
(4) Patrz Weygand, *Mirages et réalité*, str. 179.
(5) Patrz Noel, *L'agression allemande*, str. 100-101.

i angielskie. Nowe powstanie śląskie mogło łatwo sprowokować nowy konflikt o międzynarodowym znaczeniu. Obawy Focha, że sojusz z Polską może wciągnąć Francję do akcji zbrojnej na szeregu odcinków, nie były więc zupełnie płonne. Dochodziła tu jeszcze troska o przyszłość stosunków polsko-rosyjskich, z tym, że nadzieje na odrodzenie się dawnej Rosji nie wygasły jeszcze zupełnie w Paryżu. Francja, pod żadnym warunkiem, nie chciała znaleźć się w sytuacji, w której musiałaby bronić interesów polskich przeciw rosyjskim (niebolszewickim).

Uwagę Focha o braku rządu w Polsce można rozumieć w podwójny sposób. Jeśli miał on na myśli istniejący gabinet Witosa to chodziło mu zapewne o jego słabość i upadek prestiżu. Paryż miał zwłaszcza wiele zastrzeżeń co do osoby ministra spraw zagranicznych, Sapiehy. Zaledwie parę miesięcy później Quai d'Orsay i wojsko będzie wywierać presję na Warszawę, aby zastąpiono go przez Adama Tarnowskiego (6). Jest jednak możliwe, że Foch mówiąc, że Polska nie ma rządu chciał przez to stwierdzić, że konstytucja nie została dotąd w Polsce uchwalona i że od jej charakteru zależeć będzie dopiero ustrój państwa. Marszałek wolał, być może, odczekać do chwili kiedy skrystalizują się formy ustrojowe państwa polskiego i okaże się wyraźnie jego siła bądź też słabość.

Rzekome stwierdzenie, że Polska nie posiada armii, miało — po wygranej wojnie — szczególnie drażniący wydźwięk. Staje się ono bardziej zrozumiałe, gdy uprzytomnimy sobie typową niechęć zawodowych wojskowych do improwizowanej naprędce młodej armii polskiej. Piłsudski był dla wszystkich sztabowców francuskich jedynie i wyłącznie amatorem, a przebieg kampanii 1920 roku „cudem", do którego przyczyniła się (ich zdaniem) walnie pomoc francuska. Poza tym dochodziły jeszcze, rzecz jasna, elementy natury personalnej. Weygand wywiózł ze swego pobytu w Polsce niechęć do Piłsudskiego. Odwołanie szefa francuskiej misji wojskowej w Warszawie, generała Henrysa, któremu Piłsudski ufał i z którym sztab polski współpracował harmonijnie, odbyło się przy akompaniamencie protestów ze strony Polski. Nowy szef misji, generał Niessel nieprzyjazny Piłsudskiemu i pozostający w raczej złych stosunkach z posłem francuskim w Warszawie, Hectorem de Panafieu, informował zapewne Paryż w sposób bardzo krytyczny o wojsku polskim i jego naczelnym wodzu.

Podczas gdy najwyższe sfery wojskowe Francji odnosiły się z rezerwą do projektów związku militarnego z Polską, dyplomacja francuska wysuwała ze swej strony równie poważne obiekcje. Premier i minister spraw zagranicznych, Georges Leygues, bezbarwny i słaby, ulegał przemożnym wpływom sekretarza generalnego Quai d'Orsay, Philippe'a Berthelot. Ten ostatni był jedną z ciekawszych postaci ówczesnej dyplomacji francuskiej. Obdarzony błyskotliwą inteligencją, wytrawny ne-

(6) Raport 2-go oddziału, 17. V. 1921, AGND, 52/7295.

gocjator, Berthelot był znany zarówno ze swej wielkiej znajomości spraw międzynarodowych jak i fenomenalnej pamięci do szczegółów. Realista i cynik, odnoszący się z lekceważeniem do małych i średnich państw — jedyny wyjątek stanowiła Czechosłowacja — sekretarz generalny Quai d'Orsay był nieżyczliwie usposobiony do Polski i żywił zdecydowaną niechęć do Piłsudskiego. Berthelot był antypolski nie tylko ze względu na „awanturniczy" charakter naczelnika państwa i „romantyzm" przebijający rzekomo z polskiej polityki, ale grały tu również rolę inne względy. Berthelot miał za złe Polsce jej prononsowany katolicyzm, który utrudniał, jego zdaniem, współpracę z sąsiadami. Przymierze z Polską w roku 1921 traktował on jako obciążenie dla Francji, zarówno ze względu na przyszłe stosunki z Rosją, jak i dlatego, że mogło ono utrudniać zbliżenie francusko-angielskie, do którego Berthelot stale dążył. Jakkolwiek Berthelot nie miał oczywiście decydującego głosu w skali państwowej, wpływ jego był w tym momencie bardzo duży (7).

Nie wszystkie jednak czynniki francuskie podzielały poglądy Focha, Weyganda i wysokich urzędników Quai d'Orsay. Wśród zdecydowanych zwolenników aliansu z Polską byli ludzie tej miary co prezydent republiki, Millerand, minister wojny, Louis Barthou, oraz szef sztabu, generał Buat. Zdaniem tych osób i kół do nich zbliżonych, sytuacja międzynarodowa Francji wymagała natychmiastowego wzmocnienia tzw. *barrière de l'est* przez szeroko zakrojony system aliansów w Europie środkowo-wschodniej.

Pozycja francuska była podówczas z pewnością trudna. Gwarancje amerykańsko-brytyjskie ofiarowane w zamian za zrzeczenie się roszczeń francuskich do granicy na Renie, nie doszły do skutku; przelotne próby wciągnięcia Węgier w orbitę interesów Francji (podejmowane w 1920 roku przez Paléologue'a) zakończyły się fiaskiem a co gorsza przyczyniły się do powstania Małej Ententy, która początkowo nie była wcale na rękę Paryżowi; w Rosji, na Bliskim Wschodzie, w sprawach rozbrojenia i reparacji wojennych, francuska dyplomacja ponosiła klęski. W tych warunkach zbliżenie z Polską mogło choć w części powetować niepowodzenia Francji na innych odcinkach. Poza kołami politycznymi, sfery gospodarcze i finansowe Francji, których wpływ na rządowy *Bloc National* był nader poważny, wykazywały duże zainteresowanie zbliżeniem, które mogło przyczynić się do wzmożenia ekspansji gospodarczej na wschód. Jakkolwiek nie łatwo jest określić bliżej zasięgu wpływów kapitalistów francuskich na politykę zagraniczną, wpływ ten musiał być poważny. Sfery gospodarcze głosiły tezę, że

(7) Nie ma dotąd wyczerpującej biografii Berthelota i jedyna istniejąca praca jest wyraźnie apologetyczna. Sporo ciekawych uwag o nim zawiera praca Laroche'a : *Au Quai d'Orsay* i rozdział w *The Diplomats* (pod redakcją Craiga i Gilberta).

koncesje gospodarcze ze strony polskiej będą musiały zrównoważyć ryzyko polityczne i wojskowe, które Francja przyjmowała na siebie łącząc się więzami sojuszniczymi z Warszawą. Teza ta znalazła swój wyraz w ostatecznych umowach.

Wysłannicy Piłsudskiego w Paryżu, przygotowujący jego wizytę, zdawali sobie jasno sprawę z sytuacji. Gotowski podkreślał w swych raportach, że czynniki francuskie przywiązywały dużą wagę do rozmów na tematy gospodarcze, oraz, że Paryż pragnąłby widzieć polskiego ministra skarbu w składzie delegacji, która miała towarzyszyć Piłsudskiemu do Paryża. Podobnie naświetlał zagadnienie Baranowski (8). Należy również pamiętać, że w tym momencie — grudzień 1920 — rozpoczęły się już rozmowy dotyczące koncesji dla kapitału francuskiego na Górnym Śląsku, które z ramienia Warszawy prowadził dr Artur Benis (9).

Jakkolwiek element gospodarczy we Francji przemawiał za sojuszem z Polską, utrudniał on równocześnie zbliżenie, stwarzając atmosferę podejrzliwości i nieufności ze strony polskiej. Lewica zwłaszcza zapatrywała się krytycznie na dotychczasową politykę gospodarczą francuską i przestrzegała rząd przed podporządkowaniem się interesom Francji. *Robotnik,* w serii artykułów, które ukazywały się w pierwszej połowie stycznia, wyliczał błędy, które Paryż popełnił w stosunku do Polski i stwierdzał, że Polska musi uważać, aby alians z Francją nie zrobi z niej kolonii alianckiego imperializmu. *Nowa Reforma* i *Naród* domagały się aby Paryż wykazał dobrą wolę, zrywając z prorosyjską linią swej polityki.

Zastrzeżenia i wątpliwości pewnych kół polskich, opory we Francji i obopólna nieufność opóźniały rozpoczęcie konkretnych rozmów. Doszły do tego jeszcze choroba Piłsudskiego oraz upadek gabinetu Leygues'a we Francji. Szef nowego gabinetu, Aristide Briand, choć mniej entuzjastyczny od Millleranda i Barthou, wypowiedział się za szybkim podpisaniem aliansu z Polską, a Quai d'Orsay poczęło dokładać starań aby rozwiać podejrzliwość Piłsudskiego i przekonać go o życzliwym stosunku kół kierowniczych Francji do osoby Naczelnika Państwa (10).

Piłsudski przybył do Paryża 3-go lutego 1921, a więc w blisko pięć tygodni od chwili otrzymania zaproszenia. Towarzyszyli mu minister spraw zagranicznych, Sapieha, oraz minister spraw wojskowych, generał Sosnkowski. Oficjalna część wizyty, wielokrotnie opisywana, nie zasługuje na ponowne omówienie, chociaż jeden epizod nie został dotychczas wyjaśniony. Millerand mianowicie nie oczekiwał Naczelnika Państwa

(8) AGND, 61/6646 i 61/6645.

(9) Obszerny materiał na ten temat w teczce „Górny Śląsk 1921" depozyt Ciechanowskiego w Hoover Library.

(10) Patrz rozmowa Laroche'a z Wieniawą-Długoszewskim, streszczona u Laroche'a.

a dworcu, co wobec przyjętego protokółu dyplomatycznego akrawało na wyraźny nietakt. Czy winę za to ponosiło poelstwo polskie w Paryżu, które z takich czy innych względów ie poczyniło należytych przygotowań, czy też grały tu rolę ıne czynniki — trudno jest dziś stwierdzić. Poza tym drobnym ıcydentem wizyta rozwijała się pomyślnie i rząd francuski po-ejmował głowę państwa z wszystkimi honorami. Według ra-ortów poselstwa polskiego w Paryżu, Piłsudski zrobił dobre rrażenie na politykach francuskich. Marszałek ze swej strony vyrażał się z dużym uznaniem o Millerandzie, chwaląc jego „zdrowy nacjonalizm"; z mniejszym o Barthou.

Szczytowym punktem wizyty Piłsudskiego stał się obiad vydany na jego cześć w Pałacu Elizejskim 5-go lutego, po któym Prezydent Francji w towarzystwie swych doradców, ale ez udziału Focha i Weyganda, odbył zasadniczą rozmowę z Naczelnikiem Państwa i towarzyszącymi mu ministrami. Pod-zas tej rozmowy ustalono zrąb sojuszu polityczno-wojskowego między Polską i Francją, a oficjalny komunikat, wydany tego amego dnia, stwierdził identyczność poglądów i interesów pomiędzy obu krajami. Główny cel wizyty Piłsudskiego został za-em osiągnięty i zarówno Piłsudski jak Millerand mogli posz-zycić się zrealizowaniem swych zamierzeń.

W późniejszych opracowaniach, tak polskich jak i francu-kich, spotkać się można niekiedy z opinią, że łatwość z jaką Millerand i Piłsudski osiągnęli porozumienie, wypływała z ich rzedwojennej znajomości, gdy obaj spotykali się na między-narodowych kongresach jako przedstawiciele partii socjalis-ycznych swych krajów. Istniała więc rzekomo między nimi lawna więź ideologiczna oraz wzajemne zaufanie. Wydaje się, e teza ta jest bardzo przesadzona. W roku 1921 Millerand najdował się na prawicy, a związek Piłsudskiego z socjalizmem ył już raczej luźny. Nie ma również przekonywujących dowodów na to, ażeby Millerand miał specjalny sentyment czy zau-anie do Naczelnika Państwa. Zaledwie parę miesięcy wcześ-niej, w okresie bitwy pod Warszawą, Millerand oświadczał Lloydowi George'owi, że Piłsudski grał podwójną grę w sto-unku do aliantów i że gotów był porozumieć się nawet z bol-zewikami, aby tylko utrzymać się przy władzy (11). Jakkol-wiek należy sądzić, że prezydent Francji zrewidował następnie swe poglądy na osobę Piłsudskiego, nic nie wskazuje na to, aby obdarzał go szczególnym zaufaniem.

Po ustaleniu zasadniczych wytycznych sojuszu, Piłsudski opuścił Paryż, pozostawiając negocjacje polityczne i gospodar-cze w rękach ministra Sapiehy, a wojskowe w rękach gen. Sosnkowskiego. O przebiegu dwutygodniowych negocjacji, któ-re doprowadziły do podpisania układów sojuszniczych wiemy bardzo mało. Istnieje więc poważna luka, która nie pozwala

(11) Rozmowa w Hythe. Patrz *Documents of British Foreign Policy*, I st. ser. VIII, str. 734.

nam ocenić ani charakteru rozmów ani roli poszczególnych ne gocjatorów. Wiadomo jest jedynie, że strona polska nalega na jak najdalej idące zobowiązanie militarne Francji wobe Polski; starała się o uzyskanie pożyczki zbrojeniowej; ora lawirowała tak, aby uniknąć jednostronnych koncesji gospoda czych o charakterze eksploatacyjnym. Strona francuska stara się zmniejszyć zasięg żądań polskich w dziedzinie pomocy wo skowej, oraz starała się uzyskać korzyści gospodarcze, uzale niając zobowiązania polityczno-wojskowe od umów handlo wych (12).

Dnia 19 lutego podpisano przymierze polityczne oraz tajn konwencję wojskową wraz z aneksem, dotyczącym pożycz zbrojeniowej. Układy handlowe nie zostały parafowane, gd minister Sapieha, obawiając się krytyki Sejmu a szczególn lewicy, oświadczył, że musi uzyskać aprobatę Warszawy zani podpisze umowy. W rezultacie tej odmowy Francuzi wprow dzili dodatkowy artykuł do pozostałych traktatów (polityczneg i wojskowego), który stwierdzał, że traktaty te wejdą dopie w życie z chwilą podpisania umów gospodarczych.

Układ polityczny, którego tekst znany jest z oficjalny publikacji Ligi Narodów i licznych przedruków, był już wie krotnie komentowany tak przez pisarzy polskich jak i franc skich. Zobowiązania sojusznicze były w nim potraktowane do elastycznie, a określenie ,,se concerter'' w wypadku niespr wokowanej agresji, nie oznaczało automatycznej pomocy. Art kuł, mówiący o agresji przeciw terytorium państwowemu p zostawiał wątpliwości w sprawie Górnego Śląska i nie by jasne czy akcja niemiecka na tym terenie mogła być uważan za akt agresji przeciw Polsce. Te pewne niedomówienia i n jasne sformułowania wydają się być w sprzeczności z tekst tajnej konwencji wojskowej. Ta ostatnia, dotąd nie ogłosz na (13), stanowi niewątpliwie ciekawy dokument. Dyplomac francuska wykazała od początku duże niezadowolenie z teks konwencji i trudno jest dociec dlaczego Quai d'Orsay nie uda się zmienić kilku artykułów, najbardziej jej zdaniem niewłaś wych. Dyplomaci francuscy, uważając konwencję jedynie techniczne uzupełnienie paktu politycznego, byli zaskocze i niezadowoleni z tego, że dokument ten zawierał artykuły charakterze wyraźnie politycznym. Przede wszystkim artyk pierwszy podawał definicję agresji w sposób odbiegający układu politycznego. Definicja ta była szersza i wyraźnie ob mowała Górny Śląsk. Artykuł drugi przewidywał pomoc fra cuską w wypadku wojny polsko-sowieckiej o czym jawny ukł sojuszniczy w ogóle nie wspominał. Wreszcie artykuł trze który zobowiązywał Francję do zabezpieczenia linii komunik cyjnych Polski ze światem, miał również poważne znaczeni Chodziło tu szczególnie o utrzymanie łączności poprzez Bałt

(12) Części powyższych informacji udzielił mi p. generał Sosnkows
(13) Zrekonstruowany tekst na końcu artykułu.

i zobowiązanie francuskie mogło w praktyce oznaczać interwencję zbrojną w Gdańsku lub na Pomorzu w wypadku zagrożenia tej części kraju przez Niemcy (14). Jak z powyższych artykułów wynika Francja przyjmowała na siebie daleko idące zobowiązania natury wojskowej co stanowiło niewątpliwy sukces polskich negocjatorów (15). Francuskie postulaty, dotyczące wielkości armii polskiej na stopie pokojowej oraz systemu organizacyjnego, zostały uwzględnione w tajnej konwencji, przy pewnych oporach ze strony polskiej (16).

Sprawa pożyczki zbrojeniowej, którą zajmował się jej inicjator, gen. Sosnkowski, wymagała trudnych rokowań, w których wzięli udział między innymi, minister skarbu Doumer, oraz przedstawiciele finansjery francuskiej. W aneksie do konwencji wojskowej, Francja zobowiązywała się dać pożyczkę w wysokości 400 milionów franków, co stanowiło mniej niż strona polska początkowo żądała. Pożyczka nie została zresztą zaraz udzielona, gdyż pojawiły się trudności natury polityczno-prawnej. W zasadzie pożyczka tego typu musiała być uchwalona przez parlament, ale rząd nie mógł jej przedstawić parlamentowi, ze względu na to, że figurowała ona w aneksie do tajnej konwencji. Dalsze losy pożyczki zbrojeniowej stanowią już inny rozdział, który nie łączy się bezpośrednio z sojuszem 1921 roku.

Nawet bardzo pobieżna analiza układów polsko-francuskich wymaga poruszenia kwestii umów gospodarczych, od podpisania których strona francuska uzależniła pakt polityczny i konwencję wojskową. Na czym polegały trudności w rokowaniach w wyniku których minister Sapieha odmówił podpisania umów?

Wydaje się, że wchodziły tu w grę zasadniczo dwa czynniki. Pierwszym z nich był charakter umów, wypływający ze stanowiska zajętego przez Francuzów; drugim dotychczasowe doświadczenia polskie w stosunkach handlowych z Francją. Oba te czynniki, ściśle z sobą związane, wzbudzały poważne obawy i zastrzeżenia ze strony polskiej.

Francuska ekspansja gospodarcza w Polsce w pierwszych latach powojennych odbywała się w sposób gwałtowny, przy użyciu nader brutalnych metod nacisku. Wobec ogromnych strat jakie kapitał francuski poniósł w Rosji, przemysłowcy i finansjera uważała inwestycje w Europie wschodniej za ryzykowne przedsięwzięcie i dążyła do uzyskania maksymalnych zysków w jak najkrótszym czasie. Kapitały francuskie w Polsce

(14) Tak przynajmniej interpretowały to niektóre polskie koła sztabowe.

(15) Porównaj uwagi Focha, cytowane w książce Noela, oraz opinie Weyganda wyrażone w jego pamiętnikach. Ambasador Laroche komentował konwencje w sposób bardzo krytyczny w swej książce, a później w rozmowie ze mną przed półtora rokiem.

(16) Ciekawe uwagi zawiera raport posła amerykańskiego w Warszawie, Gibsona, z 1.XI.1921 National Archives, 860c.00/104.

były niewątpliwie poważne w przemyśle naftowym, włókien-niczym, oraz w kopalniach węgla. Wzrosły one jeszcze z chwilą gdy Polska musiała zaofiarować nowe koncesje dla podtrzymania francuskiego zainteresowania Górnym Śląskiem. Kapitaliści francuscy dążyli do uzyskania uprzywilejowanej pozycji na terenie Polski, a handel zagraniczny francuski, nadszarpnięty wojną, szukał nowych rynków zbytu i korzystnych warunków sprzedaży.

Czynniki francuskie udzielały pełnego poparcia przemysłowcom i finansistom, choćby za cenę nadwyrężenia prestiżu i popularności Francji zagranicą. Pierwszy poseł francuski w Warszawie, Eugène Pralon, był jednym z najbardziej zapalonych zwolenników tego typu polityki i ocenę jego postępowania znaleźć można w raporcie posła amerykańskiego w Warszawie Gibsona. Pralon, według Gibsona, ,,starał się popierać francuski handel w Polsce, zaniedbując przy tym prawie zupełnie swe inne funkcje. Popierał on nadmierny import przeróżnych artykułów luksusowych francuskiej produkcji do Polski, tak że rynek jest obecnie zalany perfumami, mydłami toaletowymi oraz podobnymi wyrobami. Wydaje się, że zachęcał on również kupców francuskich do wykorzystywania korzystnego (dla Francuzów) kursu wymiany, celem ogałacania Polski z futer, koronek, klejnotów i dzieł sztuki... przez swe publiczne wypowiedzi i postępowanie stwarzał on wrażenie, że Polska jest nowym terenem eksploatacyjnym dla francuskich sfer gospodarczych i że on sam (Pralon) uważa, że jego główna funkcja polega na kierowaniu tym procesem eksploatacyjnym'' (17).

Metody nacisku stosowane przez Francję były niejednokrotnie gorszące. Na przełomie zimy 1919-1920 poseł francuski zażądał odszkodowań dla przemysłowca francuskiego, p. Bastida, który poniósł straty w związku z inflacją walutową, oraz domagał się zobowiązań od rządu polskiego, że pokrywać będzie tego rodzaju straty na przyszłość. Minister skarbu Biliński scharakteryzował to żądanie jako ultimatum pod adresem Polski, zwłaszcza że rząd francuski wstrzymał równocześnie wysyłkę zakupionych płaszczy dla wojska. Zdaniem jego Francja wymagała od Polski nieograniczonej gwarancji pokrywania nieznanych bliżej strat nieznanych obywateli francuskich. Biliński opisując ten incydent zauważył, że kocha Francję i Francuzów ale obawia się bardzo ,,handlowej Francji''. Nie był on w tym odosobniony i Moraczewski użył prawie tego samego zwrotu w wywiadzie udzielonym nowojorskiemu pismu *The Call*.

Łączenie spraw gospodarczych i politycznych przez Francję, jak to miało miejsce w rokowaniach paryskich, nie było zatem niczym nowym i strona polska miała dobre powody, aby się mieć na baczności. Konwencje: handlowa, naftowa i bilateralna, przygotowane do podpisu w lutym 1921 roku, wskazywały na to, że Paryż żądał wysokiej ceny za podpisanie układu

(17) Raport Gibsona z 13.II.1920, National Archives, 701.5160c/1

sojuszniczego. Nie wchodząc w bliższe szczegóły tych trzech traktatów, jest jasne, że były one wyraźnie jednostronne na korzyść Francji. Konwencja handlowa zapewniała Francji klauzule najwyższego uprzywilejowania i wprowadziła ponadto specjalne zniżki taryfowe dla szeregu artykułów francuskich, przeważnie wyrobów luksusowych. Według konwencji naftowej francuskie towarzystwa w Polsce otrzymywały specjalne przywileje podatkowe oraz prawo bezcłowego wywozu ropy naftowej i innych produktów, ponad kwotę przeznaczoną na konsumpcję wewnętrzną. Polska ze swej strony uzyskiwała jedynie zniżki taryfowe francuskie na pewną ilość swych produktów, z tym że zniżki te były obliczane od przeciętnej pomiędzy francuską maksymalną a minimalną taryfą celną. Umowy handlowe przynosiły więc Polsce same obciążenia z wyjątkiem nadziei na inwestycje kapitału francuskiego. Stanowiły one wyraźną zapłatę za zobowiązania Francji w dziedzinie polityczno-wojskowej.

Zgodnie z przewidywaniami Sapiehy, charakter konwencji handlowych wywołał fale oburzenia w Polsce. Gdy tekst ich został później ogłoszony, *Manchester Guardian* w artykule z 12 listopada 1923 r. porównywał te umowy do traktatu bukaresztańskiego, narzuconego Rumunii przez Niemcy w ostatnim roku wojny światowej. Zarzut, że Polska staje się gospodarczą kolonią francuską był niejednokrotnie wysuwany.

Aby lepiej zrozumieć całokształt zagadnienia warto wymienić pokrótce główne powody dla których rząd francuski wysuwał tak daleko idące żądania podczas rokowań paryskich. W roku 1921 przemysł francuski znajdował się w stanie depresji i bilans handlu zagranicznego był ujemny dla Francji. Presja czynników gospodarczych, które odgrywały poważną rolę w ówczesnym układzie politycznym była bardzo poważna a dotychczasowe układy handlowe z krajami Europy środkowo-wschodniej, że wspomnę tu tylko traktat francusko-czechosłowacki z 1920 roku, nie zadawalały interesów przemysłowców i finansjery. Wobec istniejących we Francji wahań i zastrzeżeń co do celowości bliskiego przymierza politycznego i militarnego z Polską, ewentualne korzyści gospodarcze nabierały dużej wagi i podkreślanie ich pomagało do przezwyciężenia tych oporów. Paryż powinien był jednak zdawać sobie sprawę z tego, że uzależnianie sojuszu od koncesji gospodarczych nie mogło przyczynić się do wzrostu wzajemnego zaufania pomiędzy obu krajami. W Polsce szczególnie obawa przed kuratelą i wyzyskiem francuskim nabierała na sile i dawała broń do ręki tym, którzy utrzymywali, że przymierze pomiędzy Warszawą a Paryżem może mieć jedynie sens jeżeli opierać się będzie na równym traktowaniu obu stron.

Ostateczne podpisanie umów handlowych, które nastąpiło w 1922 roku, miało miejsce w zmienionej sytuacji międzynarodowej — w przeddzień konferencji genueńskiej — i nie wiąże

się ściśle z omawianym tutaj przymierzem. Dlatego też nie będzie ono omówione w tym artykule.

Jakie wnioski wysnuć dziś można patrząc retrospektywnie na układy sojusznicze polsko-francuskie z 1921 roku. Z punktu widzenia Warszawy przymierze tego typu (pierwsze po wojnie) było dla zagrożonej i izolowanej Polski koniecznością. Słabość młodego państwa polskiego była głównym powodem tego, że pomimo głoszonych frazesów o równości obu partnerów, równości tej w praktyce nie było. Francja nie traktowała, a w gruncie rzeczy nie mogła nawet traktować Polski jako równorzędnego sojusznika. Alians z Polską nie rozwiązywał problemu bezpieczeństwa Francji, dlatego też w latach, które następują po podpisaniu umów paryskich, Quai d'Orsay czyni stale wysiłki celem znalezienia sojusznika wśród wielkich mocarstw. Próby zbliżenia z Anglią, próby ,,dogadania się'' z Rosją Sowiecką, wreszcie zasadnicza próba zabezpieczenia francuskich interesów przez układy locarneńskie — oto dalsze etapy polityki francuskiej. Większość tych posunięć oznacza podporządkowanie interesów polskich interesom Francji i jeżeli nie stoi w sprzeczności z duchem aliansu z 1921 roku, to zmniejsza wydatnie jego efektywność.

Sojusz z roku 1921 był szczytowym punktem zbliżenia polsko-francuskiego i zawierał maksymalne zobowiązania francuskie wobec Polski. Wypływał on z istniejącej sytuacji, w której Francja osamotniona i odosobniona po wygranej wojnie szukała sojuszników i pomocników dla realizowania swej polityki na kontynencie europejskim. Zobowiązanie powzięte wobec Polski, nawet za cenę poważnych korzyści gospodarczych, wydawały się Paryżowi zbyt daleko idące już w 1921 r., a w latach następnych opozycja przeciw nim będzie się zwiększać. Czynniki francuskie będą stale podejmowały próby zmniejszenia tych zobowiązań i będą traktowały Polskę jako jedno tylko ogniwo w systemie politycznym francuskim w Europie. Z punktu widzenia Warszawy korzyści płynące z sojuszu z Francją będą się również zmniejszać. Czy w ówczesnym układzie sił mogło być inaczej? Rozważania nad tym ,,co by było gdyby było'' wydają się bezprzedmiotowe. W roku 1921 sojusz polsko- francuski był naturalnym wynikiem istniejącej sytuacji i charakter jego odpowiadał w dużej mierze potencjałowi obu partnerów. Dlatego też sama analiza tekstów układów nie może wyjaśnić nam dalszego rozwoju stosunków polsko-francuskich w okresie dwudziestolecia. Przyczyn późniejszych trudności i nieporozumień między Warszawą i Paryżem szukać należy w ewolucji sytuacji międzynarodowej rzutowanej na politykę i na mentalność narodów polskiego i francuskiego w okresie między wojnami.

*Piotr WANDYCZ*

## TEKST TAJNEJ KONWENCJI WOJSKOWEJ POLSKO-FRANCUSKIEJ Z 19.II. 1921 (18)

En exécution de l'accord du 19 février 1921, il est convenu entre les représentants militaires soussignés dûment autorisés par leurs Gouvernements respectifs :

### Article premier

Les deux Gouvernements dans le cas ou la situation en Allemagne deviendrait menaçante au point d'impliquer un danger de guerre contre l'un des pays et notamment en cas de mobilisation allemande, comme aussi dans le cas où l'exécution du Traité de Versailles viendrait à nécessiter une action commune de leur part, s'engagent à renforcer leurs préparatifs de façon à être en mesure de se prêter un concours efficace et rapide et à agir en commun. En cas d'agression allemande contre l'un des deux pays, les deux pays sont également tenus de se prêter le concours, suivant un commun accord.

Sera considéré comme agression de l'Allemagne toute agression partant d'un territoire relevant du Gouvernement Allemand, tel que ce territoire est délimité par le Traité de Versailles.

### Article II

Dans le cas où la Pologne serait menacée d'une guerre par la République des Soviets ou dans le cas d'une attaque de cette dernière, la France s'engage à agir tant sur terre que sur mer pour contribuer à assurer à la Pologne la sécurité vis-à-vis de l'Allemagne, telle que ce pays est défini ci-dessus, comme aussi à l'aider dans sa défense contre l'armée des Soviets.

### Article III

Dans l'une et l'autre des éventualités envisagées aux Articles I et II ci-dessus, l'aide directe que la France s'engage à porter en Pologne, pourra consister en l'envoi de matériel de guerre et de chemins de fer, ainsi que de personnel technique, mais non dans l'envoi de troupes françaises combattant en renfort de l'armée polonaise. La France s'engage également, dans la mesure de ses moyens, à assurer la sécurité des lignes de communications entre elle et la Pologne y compris les lignes maritimes.

### Article IV

..............................................................................

*a)* L'unification de l'armement d'infanterie en armes des modèles en service en France;

---

18. Tekst powyższy został zrekonstruowany w następujący sposób: Dnia 18.I.1928, dyrektor departamentu politycznego w MSZ Jackowski przedstawił ministrowi Augustowi Zaleskiemu francuski projekt nowej konwencji pomiędzy Polską a Francją. W załączniku p. Jackowski podał pełne brzmienie artykułów I, II, III oraz IV z konwencji z 1921 roku. W wypadku pozostałych artykułów oryginalny ich tekst został wpisany ręką (zapewne Jackowskiego lub któregoś z urzędników MSZ) ponad odpowiednimi artykułami nowo proponowanej konwencji. Artykuł IV jest wyraźnie niekompletny i brakująca część odnosiła się zapewne do ogólnej organizacji armii polskiej, która miała obejmować 30 dywizji piechoty i 9 brygad kawalerii.

*b)* L'unification de l'armement de l'artillerie en matériel des modèles en service en France;

*c)* La constitution d'un stock de mobilisation en munitions d'infanterie et d'artillerie et en grenades pour six mois de guerre;

*d)* L'entretien et le développement du matériel d'aviation et de transmissions;

*e)* Les moyens de protection contre les gaz asphyxiants.

Le tout sera calculé sur la base indiquée à l'alinéa A du présent article, étant entendu que les divisions d'infanterie seront à trois régiments de 3 bataillons (chaque bataillon ayant une compagnie de mitrailleuses) et deux régiments d'artillerie divisionnaire comprenant 3 groupes de 3 batteries de 4 pièces d'artillerie de campagne et 1 groupe de 3 batteries de 4 pièces d'artillerie lourde.

### Article V

En vue d'assurer à l'armée polonaise le matériel nécessaire à sa mobilisation et à son ravitaillement pendant la guerre, la Pologne s'engage à développer, avec l'aide de la France, son industrie de guerre conformément à un plan spécial.

### Article VI

Les états-majors des deux pays contractants s'entendront constamment sur les préparatifs et les moyens nécessaires à l'exécution des décisions de la présente convention et au maintien des lignes de communication entre les deux pays.

### Article VII

Les décisions de l'accord du... concernant la mission militaire française en Pologne pourront être soumises, après chaque période d'une année, à une révision, à la condition d'une entente préalable entre les deux Etats. En vue d'assurer une harmonie complète et l'indispensable collaboration intime entre les officiers français de ladite mission, les commandements et autorités militaires polonaises auprès desquels ces officiers seront accrédités, les renseigneront sur toutes les affaires courantes et les inviteront à toutes les conférences. séances et conseils afin de leur donner la possibilité de se prononcer en temps utile.

D'autre part, la Pologne :

*a)* instituera en France, auprès de l'attaché militaire polonais un bureau de liaison composé d'officiers;

*b)* détachera dans les écoles et corps de troupes de l'armée française, pour y suivre un cycle entier d'instruction, un nombre d'officiers à fixer d'entente entre les états-majors.

### Article VIII

Le présent accord n'entrera en vigueur qu'après la signature des accords commerciaux actuellement en négociation.

# Kongres socjologów w Stresie

(8-15 WRZEŚNIA 1959)

Dążenie do międzynarodowej współpracy naukowej jest jednym z uderzających zjawisk okresu powojennego. Bodaj nigdy dotąd nie odbywało się tyle międzynarodowych kongresów, konferencji i sympozjonów. Przedstawiciele poszczgólnych nauk lub węższych specjalności przybywają w regularnych odstępach czasu z odległych zakątków świata, by zasiąść przy wspólnym stole dla wymiany poglądów, osiągnięć i planów na przyszłość.

Socjologia jest świeżym przybyszem na scenie współpracy międzynarodowej. International Sociolological Association (ISA) założono dopiero w 1949 roku, a pierwszy międzynarodowy kongres socjologiczny odbył się w Zurychu w 1950 roku. ISA nie grupowało początkowo reprezentacji krajów przynależnych do bloku sowieckiego, gdyż stowarzyszeń socjologicznych w tych krajach nie było lub zostały właśnie wówczas zawieszone w działalności. Kongresy organizowane były na zasadzie, iż udział w nich wziąć może każdy zgłaszający się. Lecz uczeni z krajów tzw. bloku socjalistycznego — prócz nielicznych wyjątków, Czechów i Polaków — nie brali udziału w pierwszych międzynarodowych spotkaniach. Dopiero w 1956 roku na kongresie w Amsterdamie zjawiły się delegacje z Rosji Sowieckiej, Bułgarii, Czechosłowacji, Niemiec Wschodnich, Polski, Rumunii i Węgier.

Już w Amsterdamie delegacja polska spełniała pionierską rolę w przełamywaniu intelektualnej izolacji bloku sowieckiego i torowała drogę do nawiązania przerwanych nici międzynarodowej współpracy w dziedzinie badań społecznych. W połowie 1956 roku powołano do życia Sekcję Socjologiczną Polskiego Towarzystwa Filozoficznego, przekształconą w kilka miesięcy później w Polskie Towarzystwo Socjologiczne (przed dwoma laty należało do niego 74 osoby). Na kongresie w Amsterdamie Polska przyjęta została w poczet członków ISA, Stanisław

Ossowski wybrany został członkiem komitetu wykonawczego tej organizacji, a Jan Szczepański znalazł się w komitecie programowym następnego kongresu międzynarodowego, który odbył się przed kilku tygodniami w Stresie. Na kongres amsterdamski przybyła dziewięcioosobowa delegacja polska, w Stresie było około 30 polskich socjologów. Stanisław Ossowski wybrany został ponownie do władz i jest obecnie jednym z trzech wiceprzewodniczących ISA. Polacy zasiadają w różnych grupach roboczych powołanych do życia przez International Sociological Association.

W innych krajach bloku sowieckiego wydarzenia toczyły się nieco wolniej. W Rosji Sowieckiej Towarzystwo Socjologiczne powstało w 1958 roku na mocy decyzji prezydium Akademii Nauk ZSRR. W skład Towarzystwa wchodzą organizacje i instytuty naukowe, a jednostki tylko wyjątkowo. Te szczególne okoliczności tłumaczyć należy faktem, iż socjologia w nowoczesnym tego słowa znaczeniu w Rosji Sowieckiej nie istniała, a nawet jej znajomość była fragmentaryczna i najczęściej ograniczała się do potrzeb walki ideologicznej. Ostatnio Radzieckie Towarzystwo Socjologiczne przystąpiło do ISA, a w jego ślady poszła grupa socjologów wschodnio-niemieckich i bułgarskich.

Kongresy w Amsterdamie i w Stresie opierały się przeto na znacznie szerszej płaszczyźnie międzynarodowej i zgromadziły znacznie większą liczbę uczestników aniżeli kongresy poprzednie. W Zurychu zebrało się 110, w Amsterdamie 560, w Stresie około 1.000 socjologów. Liczba uczestników jest jednym ze wskaźników wzrastającego zainteresowania badaniami społecznymi w całym świecie, umacniania się pozycji socjologii jako nauki akademickiej, a może również zapowiedzią okresu rozkwitu socjologii jako nauki empirycznej, zdolnej oddawać usługi w ulepszaniu form współżycia społecznego.

Pogląd, jaki często spotykamy w publicystyce socjologicznej, a również w wypowiedziach niektórych socjologów, iż nauki społeczne już dzisiaj dostarczają wiedzy dla skutecznej i racjonalnej technologii społecznej, nie jest bowiem słuszny. Kongres w Stresie dał pod tym względem wiele do myślenia. Referaty i dyskusje sugerowały uważnemu słuchaczowi dwa wnioski, jakie trudno jest z sobą pogodzić. Z jednej strony nie ulegało wątpliwości, iż nagromadzono wiele empirycznego materiału, rozpoczęto badania społeczne w wielu kierunkach, udoskonalono metody i techniki badawcze, rozbudowano aparaturę pojęciową, sformułowano interesujące hipotezy, które stać się mogą kiedyś podstawą dla zbudowania empirycznie sprawdzalnych teorii. Z drugiej natomiast strony i w sposób paradoksalny kongres mógł dostarczyć argumentów tym wszystkim krytykom socjologii, szczególnie licznym w W. Brytanii, którzy traktują socjologię jako pseudo-naukę, ukrywającą banalność swych odkryć pod szatą pretensjonalnego i zawiłego żargonu.

Socjologia, mówią ci krytycy, nie jest przedmiotem zasługującym na nauczanie w programach uniwersyteckich. Nie może się ona poszczycić stanem posiadania, jaki osiągnęła na przykład ekonomika. Nie dokonano w niej bowiem odkryć takich jak prawo Greshama, socjologia nie dysponuje pojęciami analityczno heurystycznymi o mocy równej pojęciu krańcowej użyteczności. W socjologii jest tyle prawdy, ile jest w niej mądrości zaczerpniętej z odwiecznych doświadczeń ludzkości, które w wielkich dziełach myśli i literatury pięknej wypowiedziane zostały wnikliwiej i sugestywniej aniżeli we współczesnych dziełach socjologicznych (1).

Krytyk socjologii nie zdaje sobie najczęściej sprawy, iż jego opinie prócz sensu merytorycznego mają również znaczenie socjologiczne, gdyż ilustrują zależność między poglądami o faktach społecznych, a strukturą społeczną zbiorowości, w jakiej krytyk żyje. Jedną z miar metodologicznej dojrzałości socjologii jest wzrastająca świadomość wspomnianej zależności, z której socjolog nie wyłącza siebie samego i swej dyscypliny. Pozwala to dojrzeć szczególne trudności na jakie socjolog napotyka w badaniach empirycznych i teoretycznych konstrukcjach, w ustalaniu jak się rzeczy naprawdę mają, w neutralizacji lub eliminacji tego, co przez analogię do astronomii nazwać można ,,społecznym równaniem osobistym'' badacza zjawisk społecznych. Wyjaśnia to również wrogość, jaką socjologia obudza w grupach rządzących, tzn. dysponujących środkami kształtowania postaw ludzkich, niezależnie czy będą to postawy polityczne, religijne, badawcze, lub jakiekolwiek inne. Albowiem grupy sprawujące władzę legitymują się i uzasadniają swe postępowanie określonymi poglądami o zjawiskach i zależnościach społecznych, a jednocześnie poglądy te przenikając do świadomości społecznej są jednym ze środków umacniania tych grup i istniejącego stanu rzeczy. Odwrotnie, kwestionowanie panujących poglądów o społeczeństwie oraz formułowanie teorii rywalizujących nie jest czynnością, jaka z natury rzeczy pozostać może w sferze czysto poznawczej. Każde poznanie mniej lub bardziej burzy status quo, a wiedza socjologiczna nie jest od tej reguły wyjątkiem. Z tymi następstwami postępu wiedzy o zjawiskach społecznych łączy się wzrastający krąg możliwości dla racjonalnej kontroli społecznej. Współczesny socjolog jest najczęściej meliorystą lub człowiekiem postępu.

Powyższe uwagi stanowią komentarz do pierwszego tematu dyskutowanego na kongresie w Stresie: Socjologia w swym kontekście społecznym. Podstawą dyskusji były raporty o historii, położeniu i osiągnięciach socjologii w poszczegól-

---

(1) Podobne uwagi krytyczne znaleźć można na przykład w recenzji *Modern Sociological Theory*, pracy zbiorowej pod redakcją H. Beckera i A. Boskoffa (New York, The Dryken Press, 1957), która ukazała się w *Times Literary Supplement* z 15 sierpnia 1958.

nych krajach. Była to jedyna część programu, którą zdołano na czas wydrukować i udostępnić uczestnikom w przeddzień otwarcia kongresu. Referaty pozostałych dwóch sekcji — zastosowania wiedzy socjologicznej oraz rozwój metod socjologicznych — można było tylko wysłuchać, w całości lub w streszczeniu, co przy masowym charakterze kongresu oraz znacznej liczbie tematów w obu sekcjach ujemnie odbiło się na przebiegu dyskusji. Jest to również usprawiedliwieniem piszącego, iż jego sprawozdanie pominie wiele spraw, a innych dotknie ogólnikowo.

Raporty narodowe stanowią fascynującą lekturę i wszystkie bez wyjątku, świadomie lub nieświadomie, ilustrują zależność między socjologią lub poglądami o sprawach społecznych z jednej strony, strukturą społeczną, systemem władzy, łącznie z jego filozofią społeczną lub ideologią z drugiej. Na szczególne wyróżnienie zasługują raporty japoński i indyjski. Oba obrazują w sposób uderzający społeczną funkcję socjologii jako czynnika inicjującego lub wzmacniającego racjonalną ewolucję społeczną oraz racjonalną kontrolę społecznych procesów. Fakt ten jest tym bardziej znamienny, iż socjologia spełniała tę rolę w krajach hołdujących filozofii społecznej obcej duchowi współczesnej nauki. W obu wypadkach opisywane procesy budzą również ciekawość z innych jeszcze względów. Modernizacja Japonii była rewolucją odgórną i arystokratyczną, socjologia natomiast, której początki przypadają na ten sam okres, pomagając w dziele unowocześnienia kraju była jednocześnie podporą tendencji liberalno-demokratycznych. W Indiach stosunki między rządzącymi i socjologami pozbawione były od pierwszej chwili ambiwalencji, polegały na współpracy, wolnej od konfliktów, w wykorzystywaniu badań społecznych dla celów ekonomicznego i społecznego planowania. Światłość umysłu okazana przez Nehru nie zawsze cechowała lub cechuje ludzi rządzących w krajach europejskich. Warto może również podkreślić, iż w latach trzydziestych naszego wieku generałowie japońscy nie popadli w ekstremy dyktatorów europejskich i nauczanie socjologii na uniwersytetach japońskich nie było nigdy zabronione.

Józef Chałasiński, autor raportu polskiego, ograniczył się do okresu stalinowskiego oraz do przedstawienia roli, jaką socjolodzy odegrali w przygotowaniu umysłowego przewrotu stanowiącego również początek odrodzenia się socjologii i badań społecznych po kilkoletnim okresie banicji. Nie wyczerpało to ani zakresu zagadnień, ani historii społecznej socjologii w Polsce, a również nie dało obrazu stanu obecnego od 1956 roku. Dla socjologa nauki okres stalinowski w Polsce jest ciekawym przedmiotem badań, uzupełniającym materiały dotyczące społecznego uwarunkowania nauki i postaw uczonego, jakich dostarczyły dzieje innych krajów. Lecz wydarzeń w Polsce, skutecznej akcji socjologów w latach 1954-56, wreszcie obecnego rozkwitu badań społecznych nie można zrozumieć

bez szerszego kontekstu społecznego oraz uwzględnienia tradycji socjologicznej, która narastała od lat kilkudziesięciu a w okresie międzywojennym przybrała postać szkoły socjologicznej, licznej i bogatej w osiągnięcia. J. Chałasiński do szkoły tej należał, jej dorobek znacznie wzbogacił, jej dzieje kiedyś opisał (2). Szkoda, iż do tego szkicu nie sięgnął i nie cofnął się dalej jeszcze, do Krzywickiego i Gumplowicza, Kelles-Krauza i Abramowskiego (o których wiele jeszcze pozostaje do powiedzenia), do dorobku i działalności Czarnowskiego, którego bogaty i głęboki umysł możemy dopiero obecnie, po wydaniu jego pism zbiorowych, w pełni i sprawiedliwie ocenić. Piszący te słowa gotów jest na przykład bronić tezy, iż często nie docenia się znaczenia Krzywickiego w recepcji myśli marksowskiej w Polsce (tego błędu nie popełnił Oskar Lange w doskonałym eseju o Krzywickim jako teoretyku materializmu historycznego), gdyż utrwalił tradycję nie sprzyjającą rozpowszechnianiu się woluntarystycznej interpretacji Marksa, zapoczątkowanej przez Lenina, doprowadzonej do absurdu przez Stalina i nadal siejącej zamęt w umysłach przez pomieszanie treści poznawczych i ideologicznych w marksowskich teoriach.

W dyskusji nad związkami zależności między strukturą społeczną a wiedzą socjologiczną głos zabrał P.N. Fedosiejew, którego przemówienie było jedną z sensacji kongresu. Podczas gdy w swym raporcie o stanie i rozwoju socjologii sowieckiej Fedosiejew identyfikował socjologię z materializmem historycznym i stał na stanowisku, iż badania społeczne o tyle tylko spełniają użyteczną rolę o ile potwierdzają tezy materializmu historycznego, w swym wystąpieniu kongresowym dał on wyraz odmiennym poglądom. Tekst przemówienia Fedosiejewa nie został udostępniony uczestnikom kongresu, a pamięć ludzka jest zawodna. Różne wersje podawane przez słuchaczy zawierały jednak kilka wspólnych wątków, co może pozwoli odtworzyć główne myśli przemówienia Fedosiejewa.

W Rosji Sowieckiej, oświadczył mówca, panowały błędne poglądy o socjologii zachodniej, co było następstwem jej niedostatecznej znajomości. Ukazało się wiele artykułów i broszur ilustrujących tę ocenę. Obecnie uczeni sowieccy dokładają wszelkich starań by zaniedbania przeszłości usunąć. Fedosiejew podkreślił, iż również na Zachodzie rozprzestrzenione są błędne opinie o socjologii marksistowskiej oraz zachęcał swych kolegów zachodnich, by starali się ten stan rzeczy naprawić. Badania społeczne dostarczają niezbędnej podstawy dla racjonalnej kontroli społecznej i w nowoczesnym społeczeństwie słusznie przywiązuje się do nich wielką wagę. Wyspecjalizowana wiedza i umiejętność diagnostyczna, jakie socjolog posiada, wyznaczają mu szczególne miejsce w społeczeństwie i

(2) J. Chałasiński, *Trzydzieści lat socjologii polskiej* (1918-1947), „Przegląd Socjologiczny" 10, 1948, 1-54.

uzasadniają przekonanie, iż socjolog winien zabierać głos w sprawach społecznych a jego opinie winny być brane pod rozwagę. Z drugiej strony badania społeczne prowadzone w oderwaniu od wszelkich teoretycznych założeń w przekonaniu, iż wreszcie jakaś teoria wyłoni się z bezplanowo nagromadzanych faktów, skazane są na niepowodzenie. Fedosiejew podkreślał z zadowoleniem tendencje socjologii zachodniej do odrzucenia wąskiego empiryzmu, do powiązania badań teoretycznych, metodologicznych i empirycznych, oraz upatrywał w tej tendencji okoliczność sprzyjającą nawiązaniu wymiany myśli między socjologią marksistowską i nie marksistowską. Nie ulegało bowiem w jego mniemaniu wątpliwości, iż mimo zaniedbań i błędów socjologia marksistowska posiada wyższość nad całą pozostałą socjologią, a wyższość tę zawdzięcza poznaniu ogólnych praw historycznych, którym każda rzeczywistość społeczna podlega. W naukach społecznych znajomość praw globalnych, w szczególności historycznych, musi poprzedzać wykrycie prawidłowości niższego rzędu.

W przemówieniu Fedosiejewa i innych delegatów sowieckich nie zabrakło więc dobrze znanego caeterum censeo. Nie było ono jednak w Stresie wyrokiem potępienia na cały dorobek nie marksistowskiej myśli i nie wykluczało gotowości do ograniczonej lecz rzeczywistej rewizji ideologicznych podstaw socjologii sowieckiej oraz do podjęcia badań społecznych. Wystąpienia delegatów bułgarskich i wschodnio-niemieckich, agresywne w tonie, polityczne i ideologiczne w treści, przypomniały kongresowi przemówienia sowieckie w przeszłości i drogą kontrastu podkreśliły budzenie się obecnie nowych myśli lub orientacji wśród uczonych sowieckich (3).

Przemówienie Fedosiejewa miało wartość informacyjną, lecz do toczącej się dyskusji niczego nie wniosło. Temat zaś dyskusji — zależność myśli socjologicznej od układu warunków społecznych — jest problemem o marksowskiej inspiracji. W raportach narodowych i w podsumowaniu Raymond Aron doszło do głosu wspólne przeświadczenie, iż w swej przedkrytycznej postaci socjologia jest samowiedzą społeczną, świadomością form społecznego współżycia, przez te formy współżycia w znacznej mierze kształtowaną. Ponieważ jednak samowiedza społeczna w fazie przedkrytycznej pomija zarówno his-

(3) O dyskusjach nad socjologią, jej zadaniami i miejscu w ramach doktryny marksistowskiej, toczących się w czasopismach sowieckich od 1958 roku, informuje J. Lutyński w artykule : *Socjologia w Związku Radzieckim*, „Przegląd Socjologiczny" 13, 1959 (2), 149-157. Dyskusja ta nieco przypomina spory o stosunku dialektyki i logiki formalnej, prowadzonej w latach 1950-51 oraz 1957-58. Wprawdzie nie wniosły one wkładu do naszej wiedzy logicznej, lecz uwolniły w znacznej mierze logikę formalną w Rosji Sowieckiej od ideologicznego nadzoru sprawowanego przez ludzi niekompetentnych, pozbawionych znajomości logiki i kultury logicznej.

toryczną różnorodność, jak i zmienność w czasie zjawisk społecznych, socjologia w fazie początkowej narażona jest na niebezpieczeństwo przekształcenia się w ,,fałszywą świadomość''. Wyzwolenie się od ograniczeń i złudzeń ,,fałszywej świadomości'' dokonać się może dopiero na wyższej płaszczyźnie refleksji, mianowicie przez analizę i eliminację tych wszystkich przypadkowych czynników, które współwyznaczają aparat pojęciowy i metody badawcze socjologa, a w ten sposób również zniekształcają przedmiot badany — zjawiska społeczne. Przywodzi to na myśl tzw. zasadę nieoznaczoności Heisenberga, która głosi, że wielkości sprzężone jakimi są na przykład położenie i pęd cząsteczki elementarnej nie mogą być równocześnie wyznaczone z dokładnością dowolną, ponieważ sam proces pomiaru wywołuje nie dające się kontrolować zaburzenia układu badanego. Na przykłady badań zmieniających przedmiot badany w zakresie faktów przyszłych zwracał uwagę przed wielu laty T. Kotarbiński, a ostatnio Popper i Merton zajmując się zjawiskami określonymi nazwą ,,the Oedipus effect'' lub ,,the self-fulfilling prophesy''. Przedwczesną byłoby rzeczą stwierdzać w sposób stanowczy, że istnieje jakiś odpowiednik zasady nieoznaczoności w odniesieniu do zjawisk społecznych. Nie jest bowiem rzeczą wykluczoną, iż zmiany wprowadzone przez socjologa do rzeczywistości społecznej (i przez tę rzeczywistość wyznaczone) są tak nieznaczne, iż można je w praktyce pominąć. Problem jednak istnieje i sugeruje, iż postęp wiedzy socjologicznej jest uzależniony od refleksji i badań nad socjologią, jak mówiono na kongresie, od ,,socjologii socjologii'' (4). Ponieważ jednak socjologia socjologii istnieje dotąd jedynie w sferze postulatów i programów, udoskonalenia metodologiczne i technik badawczych, wynalazczość w dziedzinie empirycznej kontroli nad hipotezami i teoriami socjologicznymi leżącymi u podstawy badań społecznych, nieprzerwana krytyczna analiza założeń teoretycznych i całej aparatury pojęciowej, uchronić mogą socjologię przed nadmierną inwazją ,,fałszywej świadomości''. Aron sugerował, iż różnorodność struktur społecznych, metod badawczych i teorii socjologicznych jest jednym z podstawowych warunków, od których zależy postęp poznawczy w dziedzinie faktów społecznych.

Z przyczyn, o których była mowa, nie jest rzeczą możliwą podsumować najogólniejszych wyników pozostałych dwóch

(4) Termin ten wprowadził Charles H. Page w interesującym eseju ,,Sociology as a Teaching Enterprise'', drukowanym w dziele zbiorowym *Sociology Today. Problems and Prospects* (Ed. R.K. Merton, L. Broom, L.S. Cottrell Jr., New York, Basic Books, 1959). Page zwrócił uwagę iż pierwszym dziełem z zakresu socjologii socjologii, które pobudziło badania w tej dziedzinie, było studium Znanieckiego *The Social Role of the Man of Knowledge.*

sekcji. Zastosowania socjologii dyskutowano w 13 grupach — socjologii przemysłu, wsi, wychowania, zdrowia publicznego, środków masowego oddziaływania, rodziny, czasu wolnego, stosunków rasowych, itp. — co charakteryzuje różnorodność możliwych zastosowań socjologii. Te zastosowania są niejednokrotnie elementarnej natury i posiadają charakter obserwacji i refleksji, dalekich od systematycznego opisu faktów i empirycznych uogólnień, które stać by się mogły użytecznym i skutecznym narzędziem w ręku społecznego technologa. Najczęściej, w zakresie zagadnień bardziej złożonych, praktyczna funkcja socjologii sprowadza się do roli wychowawczej i profilaktycznej. Pobudza ona do porzucenia spekulatywnych stereotypów, uwalnia od presji tradycji, od uprzedzeń i ideologicznych mitów, zachęca do rzetelnego myślenia i szukania twardego gruntu faktów. Nie wystarcza to jednak do stawiania diagnoz i prognoz, na których moglibyśmy w pełni polegać, zwłaszcza gdy w grę wchodzą zjawiska społeczne funkcjonalnie zależne od wielu zmiennych.

Trzecim tematem kongresowych obrad były zagadnienia metod i technik badawczych, dyskutowanych na 10 seminariach. Jan Szczepański podsumowując na sesji plenarnej wyniki obrad sekcji metodologicznej przypomniał słowa H. Poincaré, iż socjologia jest nauką posiadającą najwięcej metod i najmniej rezultatów. Ta charakterystyka, Szczepański dodał, jest nadal w pewnej mierze słuszna. Obrady w mniejszych grupach nad poszczególnymi metodami socjologicznymi (tzw. metody eksperymentalne, obserwacja, lustracja, metoda historyczna, porównawcza, statystyczna, modele matematyczne, itp.) poprzedziła dyskusja plenarna poświęcona wybranym problemom ogólnej metodologii. Skupiała się ona wokół trzech zagadnień: wpływu instytucjonalizacji socjologii jako dyscypliny akademickiej o uznanej użyteczności publicznej na badania społeczne, różnic metodologicznych między socjologią amerykańską i europejską, wreszcie możliwości formułowania globalnych teorii socjologicznych mających za przedmiot całość rzeczywistości społecznej. Dyskusję wprowadziła żywa i pobudzająca wymiana opinii między P. Lazarsfeldem, J. Stoetzelem oraz R. Koenigiem.

Bodaj głównym przedmiotem kontrowersji była sprawa właściwego ustawienia badań mikro- i makro-socjologicznych. Dyskusja nieco ucierpiała na skutek wieloznaczności terminów „mikrosocjologia", „makrosocjologia" i ich równoważników. Mianem „mikrosocjologia" posługiwano się bądź na oznaczenie wszelkich badań szczegółowych, charakteryzujących socjologię w nowoczesnym tego słowa znaczeniu, która rozwijała się w przeciwstawieniu do wielkich syntez historiozoficznych i filozoficzno-społecznych ubiegłego wieku (systemów Comte'a, Spencera i Marksa), bądź w odniesieniu do tendencji wąskiego empiryzmu, odżegnywującego się od wszelkich teorii, jaki

echował socjologię amerykańską w latach dwudziestych i trzydziestych naszego wieku. Podobnie „makrosocjologia" miała o najmniej dwa znaczenia. Niektórzy posługiwali się tym terminem mając na myśli empirycznie niesprawdzalne wielkie syntezy w stylu XIX wieku, obejmujące ogólną teorię struktur społecznych, rozwoju społecznego i historii, inni nadawali mu sens węższy, ograniczony do hipotez i teorii zasadniczo dostępnych empirycznej kontroli. Jest rzeczą jasną, iż mikrosocjologia w pierwszym i makrosocjologia w drugim z wyróżnionych znaczeń mogą współistnieć i wzajemnie się uzupełniać. W tym też kierunku idzie wzrastająca liczba socjologów amerykańskich, w znacznej mierze dzięki wysiłkom T. Parsonsa i grupy współpracujących z nim badaczy. W ten sposób zanikają różnice orientacji i tendencji, jakie dzieliły socjologię amerykańską i europejską przed kilkudziesięciu laty. Albowiem socjologia europejska w osobach swych wybitnych przedstawicieli — Durkheima, M. Webera, Znanieckiego — odżegnując się od syntez socjologicznych pozbawionych empirycznego sensu (co nie znaczy, iż są one pozbawione wszelkiego sensu), nigdy nie poniechała badań teoretycznych. Znaniecki, który wraz z Thomasem był w pewnym sensie założycielem empirycznej socjologii amerykańskiej, nie traktował ówczesnych badań empirycznych jako celu dla samego siebie. Domagał się on podjęcia badań terenowych, gromadzenia wszelkiego rodzaju materiałów socjologicznych i starannych opracowań teoretycznych. Jest rzeczą uderzającą, czego dotąd nie dostrzeżono, iż koncepcja „indukcyjnej socjologii" Znanieckiego opiera się, wbrew swej nazwie, na pomysłach metodologicznych podobnych do teorii nauk empirycznych Poppera (5). Znaniecki zalecał prowadzenie badań społecznych z określonym celem teoretycznym, mianowicie dla sprawdzenia lub obalenia określonych twierdzeń, a postęp wiedzy rozpatrywał jako proces falsyfikowania hipotez. Jak bowiem pisał w „The Method of Sociology", tylko w domu dla umysłowo chorych powstać mogą teorie, dla których żadnej empirycznej ilustracji znaleźć nie można.

Hasło powrotu w socjologii do badań teoretycznych było jednak niejednokrotnie niewłaściwie pojmowane. Niektórzy uczestnicy dyskusji niedostatecznie rozumieli różnicę między twierdzeniem dostępnym empirycznej kontroli, tzn. podlegającym weryfikacji i falsyfikacji, a pseudo-naukowymi tezami

(5) Termin „socjologia indukcyjna", którym Znaniecki posługiwał się w wykładach i słowie pisanym, był terminem mylącym, gdyż metoda, jaką zalecał, nie miała z indukcją nic wspólnego i była w rzeczywistości „anty-indukcyjnym" przepisem metodologicznym. Znaniecki nazywał go „indukcją analityczną" i nie zdawał sobie sprawy, iż rzucał idee nowatorskie bogate w konsekwencje, wiodące do metodologii nauk przyrodniczych przeciwstawiającej się w sposób zasadniczy tradycji stworzonej przez Johna Stuarta Milla.

uniwersalnymi, z jakich składają się systemy makrosocjolo giczne w pierwszym z wyróżnionych znaczeń. Innymi słowy porzucenie w badaniach społecznych wąsko pojętego empi ryzmu pojęli jako powrót do socjologii w rozumieniu XIX wieku, do filozoficzno-społecznych i historiozoficznych spe kulacji. Inni, rozumiejąc metodologiczną różnicę międz pseudo-naukową i empirycznie sprawdzalną tezą uniwersalną również skłaniali się do poglądu, iż wrócić należy do wielkich syntez filozoficzno-społecznych, ponieważ są to sprawy najważ niejsze i istnieje na nie społeczne zapotrzebowanie, wobec któ rego socjolog nie może pozostać obojętny. Ten punkt widzeni reprezentowali na sesji plenarnej polscy marksiści młodszeg pokolenia, Z. Bauman i J. Wiatr, a polemizował z nimi, w przekonaniu piszącego trafnie i przekonywująco, S. Nowak również przedstawiciel młodszego pokolenia polskich socjolo gów (6). Do wyjaśnienia niektórych nieporozumień i wielu znaczności przyczyniło się pojęcie teorii średniego rzędu, uku te przez Mertona. Teorie socjologiczne średniego rzędu sensie Mertona to teorie o takim stopniu abstrakcyjności, i można łatwo sformułować warunki ich empirycznej sprawdza ności, innymi słowy — dla których podać można fakty, jakic stwierdzenie nakazuje odrzucić daną tezę uniwersalną. T. Pa sons zwracał uwagę, iż wysoki stopień abstrakcyjności hipotez nie zawsze pozbawia ją charakteru tezy empirycznie spraw dzalnej i z tej przyczyny nawoływał do budowania teorii socjo logicznych bez ograniczeń sugerowanych przez Mertona, a jego ślady również przez innych socjologów. Parsons mia merytorycznie rację, dostępność empirycznej kontroli nie je nieodmiennie zależna od stopnia abstrakcyjności. Faktem je jednak, że w obecnym stadium rozwoju socjologii wysoc abstrakcyjne hipotezy i teorie są najczęściej empirycznie ni sprawdzalne, co nadaje postulatowi Mertona praktyczną meto dologiczną doniosłość.

Na kongresie w Stresie dyskutowano szereg innych za gadnień z dziedziny socjologii stosunków politycznych, socjo logii religii, socjologii poznania, socjologii rewolucji. Zorga nizowano również zebranie dyskusyjne poświęcone rozwojow teorii marksistowskich, które pomimo spóźnionej pory zgrom dziło bardzo liczne audytorium. Przebieg dyskusji był jedna przygnębiający. Jedynym osiągnięciem współczesnego mar ksizmu, jaki jego zwolennicy mogli zanotować, było odrzuce nie dogmatyzmu na rzecz postawy krytycznej. Mówcy, głów nie francuscy (Naville, Goldman), nadto podkreślali, iż te duch krytyczny widoczny jest wśród marksistów zachodnic w Polsce i w Jugosławii, lecz cieszy się małym poparcie

(6) Z. Bauman wyłożył swoje poglądy nieco dokładniej w intere jących artykułach „Spór o miarę postępu" i „Wartości oby nie za bione" (*Nowa Kultura* 22/1959, 23/1959).

pomocą ze strony uczonych sowieckich, co spotkało się z ła-
odną lecz bezradną repliką Fedosiejewa.

Ostatnia plenarna sesja dyskusyjna poświęcona była spo-
ecznym aspektom planowania. Przemawiać miało na niej
rzech mówców — G. Myrdal, C. Bettleheim, i S. Ossowski.
ecz Myrdal na kongres nie przyjechał, Bettleheim skupił się
a problemach technicznych planowania ekonomicznego w
ciślejszym tego słowa znaczeniu i tylko marginesowo dotknął
praw związanych z jego konsekwencjami społecznymi. Tak
więc na placu pozostał jedynie Ossowski, by zająć się właści-
ym tematem. Z tego zadania wywiązał się tak świetnie, iż
esję na której przemawiał uczynił najbardziej pamiętną sesją
ongresu.

Niezależnie od tego, czy planowanie społeczne zmienia
trukturę i instytucje społeczne bezpośrednio — przez akty
stawodawcze, decyzje polityczne i administracyjne — czy też
ośrednio, mianowicie w następstwie planowania rozwoju eko-
omicznego, planowanie ma dwa różne aspekty: teoretyczny
praktyczny. Ossowski zajmował się obydwoma aspektami,
tarannie rozdzielając problematykę obu sfer zagadnień.

W części teoretycznej punktem wyjścia było spostrzeżenie,
ż planowania, ogólniej — racjonalnej kontroli społecznej, nie
można analizować ograniczając się do celów i ich osiągnięć,
zn. do zamierzonych wyników planowania od wzorów lub
rzeważającego wzoru zachowania społecznego. Po wtóre, za-
eżność techniki i wyników planu. Wiele składa się na to
rzyczyn. Po pierwsze, zależność zamierzonych wyników
lanowania od typu porządku społecznego. Po trzecie, za-
eżność wyników planowania od niezamierzonych skutków
ych środków, jakie zostały dobrane dla urzeczywistnienia
lanowanych celów. Niezamierzone następstwa występują
awsze, chociaż zmieniają się stosownie do obranych środ-
ów mających zapewnić wykonanie planowanych zadań. Za-
res niezamierzonych skutków może być większy lub mniej-
zy, zależnie od wiedzy stosunków społecznych, jakimi pla-
ujący dysponują. Wybór środków opiera się na przewi-
ywaniu, którego racjonalność wymaga uwzględnienia za-
ówno przeważającego wzoru społecznego zachowania, jak
stniejącego porządku społecznego. Przewidywania są w
nacznej mierze oceną prawdopodobieństw w nie matematycz-
ym tego słowa znaczeniu, oraz zakładają jakąś skalę wartości
aką planujący świadomie lub nieświadomie się posługują.
Planowanie widziane oczyma socjologa nie jest zbiorem wskaź-
ików i cyfr konkretyzujących zamierzenia planujących, a ele-
nentem złożonej globalnej społecznej sytuacji. Zadaniem teo-
etycznej analizy jest wyodrębnienie jej podstawowych skład-
ików oraz wzajemnych związków między nimi. To zadanie
ostawił sobie Ossowski w pierwszej części swego referatu,
lo którego należy odesłać zainteresowanego czytelnika.

W społeczeństwach mono- i policentrycznych, tzn. w społeczeństwach posiadających jeden lub wiele ośrodków władzy i decyzji, problematyka teoretyczna planowania jest wspólna. Również technika różnych typów planowania wykazuje znaczne podobieństwa. Każdy rodzaj racjonalnej kontroli społecznej posługuje się metodą nakazów i zakazów oraz metodą perswazji i pobudzeń do dobrowolnej kooperacji. Proporcja, w jakiej te dwie metody łącznie występują, jest zmienna i stosownie do tego różne społeczne następstwa towarzyszą różnym typom racjonalnej kontroli społecznej. Rzeczą istotną jest zwrócenie uwagi, iż planowanie społeczne stwarza nowe wzory zbiorowego zachowania, nowe postawy społeczne i emocjonalne, nowy typ społecznej osobowości. Ossowski analizował bliżej następstwa społeczne w monocentrycznym systemie planowania znanym mu najlepiej z osobistych obserwacji. Występują one oczywiście w każdym systemie planowania i Ossowski podkreślił naglącą potrzebę przeprowadzenia porównawczych studiów przy uwzględnieniu wszystkich stosowanych sposobów racjonalnej kontroli społecznej.

Niezamierzone społeczne skutki planowania w najszerszym tego słowa znaczeniu stanowią główny przedmiot socjologicznego zainteresowania planowaniem. W tych ramach szczególne miejsce zajmuje problem twórczości kulturalnej. Społeczne planowanie może być czynnikiem oddziaływującym potężnie na twórczość kulturalną, artystyczną i naukową, zarówno stwarzając pomyślne warunki dla jej rozwoju jak i oddziaływując na środki masowego kształcenia, udostępnienia i upowszechnienia dóbr kulturalnych. Stosownie jednak do typu i metod planowania życie kulturalne może przybierać bądź formę sztywnego i schematycznego uniformizmu, bądź wolności twórczej, różnorodnej i bogatej w osiągnięcia o szerokiej skali.

W zbiorowościach zbliżających się mniej lub bardziej do typu idealnego społeczeństwa laissez faire selekcja wartości kulturalnych i ich dostępność w skali masowej są wyznaczone przez wolny rynek. Cena rynkowa reguluje dostępność dóbr kulturalnych, a zapotrzebowanie na rynku dokonuje selekcji między nimi, stwarza przez mechanizm rynkowy skalę preferencji i wartości. W gospodarce planowej regulujące działanie rynku jest zastąpione przez celową działalność, która czynnie popiera tworzenie i rozpowszechnianie określonych wartości kulturalnych. Dostępność tych wartości jest również zależna od cen, lecz ceny są wyznaczone według innych kryteriów niż koszt produkcji lub prawo popytu i podaży. W ogólności, świadome regulowanie wszelkich cen, a nie tylko cen dóbr kulturalnych, kształtuje budżet jednostki, a budżet w znacznej mierze wpływa na styl życia. Należy pamiętać, iż ten ostatni sposób oddziaływania na twórczość kulturalną i jej masowe upowszechnienie został urzeczywistniony przez skoncentrowanie wszystkich miarodajnych sądów wartościujących

wszystkich czynności wyznaczających skalę wartości, również wartości nie posiadających wspólnej miary, w ręku ciała planującego.

Istoty problemu społecznego planowania i jego różnorodnych następstw w dziedzinie wartości kulturalnych nie można dostrzec bez uwzględnienia całej skali zjawisk. Kontrola państwa nad nauką i sztuką w Polsce przed 1956 rokiem dała opłakane rezultaty. Należy jednak dodać, iż nawet w najgorszych okresach niekonformistyczne jednostki nie były pozbawione materialnych możliwości kontynuowania pracy w odosobnieniu swych pracowni. Do zanotowania są jednak nie tylko zjawiska ujemne. W ubogiej Polsce sprzedaje się więcej tomików poezji na głowę ludności aniżeli w Stanach Zjednoczonych, poczytność dzieł naukowych i literatury pięknej wzrosła wielokrotnie w porównaniu z okresem przedwojennym, teatry, sale koncertowe, piękno gór i wybrzeża morskiego udostępnione zostało ludziom, którzy dawniej nie mogli sobie na to pozwolić.

Żaden sposób planowania nie jest wolny od pewnych ujemnych następstw kulturalnych. Zasada maksymalnego zysku, która określa selekcję i rozdział dóbr kulturalnych w zbiorowościach podpadających pod typ idealny społeczeństwa laissez-faire, wywiera wychowawczo szkodliwe skutki na środki masowego oddziaływania w stopniu nie mniejszym niż presja polityczna. Skutkiem zasady maksymalnego zysku jest komercjalizacja i wulgaryzacja kultury masowej, dzienników, filmów, radia i popularnych książek.

W ujemnych skutkach kulturalnych niektórzy skłonni są upatrywać immanentne zło wszelkiego społecznego planowania, niezależnie od jego typu i metody, którego nie można usunąć bez porzucenia planowania. Ten pogląd jest błędny. Dobroczynne skutki ekonomicznego i społecznego planowania są niewątpliwe, co jednak nie oznacza, iż w następstwie planowania nie powstały nowe i trudne problemy, jakie nigdzie dotąd nie znalazły zadowalającego rozwiązania. Są to problemy teoretyczne i praktyczne.

Wśród problemów teoretycznych pierwsze miejsce należy przyznać zagadnieniu, w jaki sposób ustalać hierarchię wartości, nie posiadających wspólnej miary, gdy porzuca się użytkowanie określonych mechanizmów społecznych wyznaczających automatycznie skalę wartości. W sferze spraw praktycznych powstają pytania: Jak uniknąć jednostronności i uniformizmu? Jak zapewnić współdziałanie różnych tendencji i wzorów kulturalnych? Jak zachować drogę otwartą dla nowych rodzących się wartości, które nie harmonizują z wartościami panującymi? Jak wreszcie uchronić te rzeczy najcenniejsze od presji bieżących potrzeb politycznych?

W świecie pełnym konfliktów i napięć rządzący zawsze poświęcają więcej uwagi planowaniu zapewniającemu potęgę aniżeli planowaniu społecznego dobrobytu, obejmującego war-

tości społeczne i kulturalne. Nie należy wyciągać z tego wniosku, iż koła intelektualne, widzące świat w innym kształcie, są całkowicie pozbawione możliwości wywierania efektywnego wpływu na bieg wydarzeń. Lecz ta szansa pozostaje w stosunku odwrotnie proporcjonalnym do częstotliwości z jaką intelektualista dopuszcza się zdrady klerka, w nieco innym znaczeniu aniżeli zwrotem tym posługiwał się Jules Benda. Gdy mowa o zdradzie klerków chodzi o takie postępowanie intelektualisty, gdy poświęca on prestiż, jakiego mu udziela życie oddane poszukiwaniu i kultywowaniu trwałych ogólnoludzkich wartości, na rzecz ekonomicznego bezpieczeństwa, zaszczytów społecznych i pozycji. Możliwość czynnego udziału intelektualistów w rozwiązywaniu problemów społecznego planowania zależy od stopnia solidarności, przekraczającej granice narodowe i kurtyny polityczne, jaką okażą ludzie zespoleni oddaniem i zrozumieniem dla wartości nauki i kultury.

Piszący te słowa nie pamięta podobnej owacji na międzynarodowym zjeździe, jaką audytorium dziękowało Ossowskiemu za jego przemówienie. Zespoliły się w nim jasność i prostota języka, wszechstronna erudycja, błyskotliwa umiejętność analityczna, wrażliwość na los człowieka, niezwykła obiektywność w ocenie zjawisk złożonych i zazwyczaj budzących pasje i namiętności. Rozpierzchły się one w wielkiej a wyraziście zakreślonej perspektywie, w jakiej aktualne problemy społecznego planowania mówca przedstawił. Pozostał problem i człowiek, jego sytuacja i zadania, wreszcie powiew intelektualnej rzetelności, która głęboko poruszyła słuchaczy.

Referat Ossowskiego, chociaż stanowił wystąpienie najważniejsze, był tylko jednym z licznych i wartościowych wystąpień polskich uczestników kongresu. Dotyczy to zarówno grupy skupionej wokół Ossowskiego i zainteresowanej głównie problematyką teoretyczną i metodologiczną, jak grupy poświęcającej się badaniom empirycznym, której przewodził Szczepański, jak wreszcie zespołu młodych socjologów marksistowskich, zajmujących się, jak się zdaje, nade wszystko socjologią polityki. Większość polskich uczestników to socjologowie młodszej generacji. Nabywali oni wiedzę i umiejętność swego rzemiosła w nie najszczęśliwszym okresie, a badania rozpoczęli dopiero niedawno. Wartości intelektualne i dorobek, ze względów oczywistych skromny, z jakimi przybyli na kongres, zapał jakim promieniowali w swych wystąpieniach, wytworzyły wysoką opinię o możliwościach rozwojowych socjologii w Polsce. Ten stan rzeczy jest źródłem radości dla wszystkich Polaków, nagrodą dla nauczycieli młodych uczonych, a dla nich samych kredytem zaufania, którego — trzeba dodać — są w pełni świadomi.

*Zbigniew JORDAN*

# Książki

## Czy nowy Szwejk?

Czechosłowacja, najwierniejszy satelita sowiecki, miała także w tym roku swój skandal literacki. W parę miesięcy po puczu komunistycznym z 1948 roku, pewien młody literat — miał wówczas zaledwie lat dwadzieścia pięć — zaczął pracować nad powieścią. Jego nazwisko — Józef Skvorecky — było wówczas znane tylko w małym kółku przyjaciół, i stan ten miał przetrwać dalszych lat dziesięć. Gdy na wiosnę 1949 roku, Skvorecky skończył swą powieść ,,Tchórze'', nie można było nawet myśleć o jej wydaniu. Przed sądami ludowymi toczyły się właśnie pierwsze procesy pokazowe, a ,,front kulturalny'' znajdował się pod terrorem partyjnych kaprali. Podobnie jak wielu innych artystów i pisarzy, Skvorecky musiał pogodzić się z myślą o długim śnie zimowym. Na razie więc ukończył wydział filozoficzny uniwersytetu praskiego, i gruntownie przygotował się do innych lepszych czasów, w które wciąż wierzył. Przede wszystkim nauczył się dobrze mówić po angielsku: i w ciągu tych lat przymusowej abstynencji pisarskiej przyswoił sobie doskonale współczesną literaturę anglosaską. Gdy więc wreszcie skończył się okres stalinizmu, Skvoreckyego zaangażowano do nowego czasopisma ,,Svetova literatura'' (Literatura światowa), gdzie został zastępcą naczelnego redaktora. W tym to czasopiśmie, które dotąd wychodzi w Pradze jako dwumiesięcznik objętości 280 stron, Skvorecky pisał o angielskich ,,Angry Young Men'' i o innych szkołach pisarskich świata anglosaskiego. Choć artykuły te były dowcipne i oparte na rzetelnej dokumentacji, ich autor pozostawał niemal anonimowy. Skvorecky był podobny do setek innych urzędników kulturalnych — dobrze odżywiony, lepiej ubrany niż inni młodzi ludzie, ale prawie bez twarzy, bez wyrazu — produkt masowy partyjnego szkolenia. Ale w tym wypadku pozory były tylko maską.

Gdy w roku 1956 nastała w Czechosłowacji odwilż — w rzeczywistości wcześniej niż w Polsce i na Węgrzech — Skvorecky wyciągnął z szuflady swą zapomnianą powieść i przyniósł ją do spółki wydawniczej Związku Pisarzy Czechosłowackich, w której zarządzie znajdowało się kilku jego najbliższych przyjaciół. Wkrótce potem, już w sierpniu 1956 r., manuskrypt jego został zaaprobowany i wysłany do drukarni dla składania. Na nieszczęście Skvorecky'ego, czeskie drukarnie pracują nieprawdopodobnie powoli : gdy więc nareszcie, po dwóch latach, jego powieść ukazała się na półkach księgarskich, było już po odwilży, a ,,Tchórze'' uznano na anachronistyczne echo już przebrzmiałego i oficjalnie potępionego ,,rewizjonizmu''. W ciągu dziesięciolecia, które upłynęło od czasu napisania tej powieści sytuacja polityczna raz jeszcze gruntownie się odmieniła. Rok 1958 różnił się także zasadniczo od roku 1956-go. Skvorecky nie zmienił w swym tekście ani jednej litery. To właśnie doprowadziło do skandalu.

Ponieważ reakcje publiczności i krytyki wypadły bardzo pozytywnie, pierwszy nakład książki, liczący 10 tysięcy egzemplarzy, został w szybkim czasie wyprzedany. Może fakt szybkiego rozejścia się ,,Tchórzy'' tłumaczy dlaczego tylko jeden egzemplarz, i to z wielkim opóźnieniem, trafił na Zachód, i dlaczego na Zachodzie emigracja czeska zorientowała się w znaczeniu tej książki tak późno, dopiero po napaściach czeskiej prasy komunistycznej na Skvorecky'ego.

Pierwsze recenzje o książce Skvorecky'ego wyszły spod pióra jego przyjaciół. Prawie wszystkie były wysoce pochlebne. ,,Prawdziwa, współczesna powieść... Wielka odwaga mówienia prawdy... Prawdziwie twórczy czyn... Nareszcie powieść... Oto powieść !'' — takie to oceny można było wyczytać w prasie czeskiej ubiegłej jesieni. W numerze noworocznym z bieżącego roku, czeski tygodnik ,,Kultura'' wydrukował jeszcze zdanie kilku młodych pisarzy, że ,,Tchórze'' to najciekawsza książka, jaka ukazała się w roku 1958. Ale te pochwały odniosły wreszcie ten skutek, że książką zajęła się prasa partyjna. Z początku prasa ta spróbowała położyć Skvorecky'ego na terenie literackim, nazywając go epigonem Hemingwaya. Wkrótce jednak organy partyjne przeszły do ataków politycznych : Skvorecky został oskarżony o rewizjonizm, o obrazę Partii i Związku Sowieckiego, o próby poniżania i zniesławiania Rewolucji. Gdy wreszcie czeski dyktator kulturalny, Ladislav Stoll, wmieszał się w tę sprawę, nie tylko Skvorecky wyleciał z posady, ale z nim także i dyrektor wydawnictwa, w którym książka się ukazała. Z kolei zrobiono wielką czystkę kierujących osobistości w pismach, czasopismach i wydawnictwach. Książka Skvorecky'ego dała reżymowi upragnioną okazję przywrócenia bezpośredniego terroru. Okręgowy komitet partii komunistycznej w Hradec Kralove oświadczył gorliwie, że ,,powieść Skvorecky'ego ,,Tchórze'' wywiera zły wpływ na naszą młodzież so-

cjalistyczną". A stary pisarz komunistyczny, Karel Novy, pisał : ,,Skvorecky jest utalentowanym autorem, który mi przypomina kota, wprawdzie bardzo chytrego, ale już niebezpiecznie chorego na nosaciznę".

Niejeden czytelnik może zapytać, co też znajduje się w książce, która tyle narobiła hałasu. Odpowiedź nie jest łatwa, ani prosta. Akcja powieści Skvorecky'ego rozgrywa się w ciągu ośmiu dni, między 4 a 11 maja 1945, w małym czeskim miasteczku, Kostelec; ,,bohaterzy" powieści, właśnie ci tchórze, — są to młodzieńcy, którzy ukończyli w czasie wojny tamtejsze gimnazjum i których cała uwaga jest ześrodkowana na młodych panienkach i zabawach. Główny bohater powieści, Danny Smiricky, rozmyśla już w pierwszym dniu akcji powieści : ,,W piękno duchowe nie wierzę. Wszystkie moje sympatie idą w kierunku pięknych kobiet. Wszyscy tak samo myślą". Bohater ten ukończył gimnazjum z odznaczeniem, gra na saksofonie, ma bogatego ojca, i w ciągu jednego z ostatnich dni wojny jest najedzony i zadowolony, jak w czasach najgłębszego pokoju. W czasie próby muzyki jazzowej jeden z jego przyjaciół opowiada o niemieckim Kacecie, w którym do niedawna siedział jako półżyd. Ale cóż opowiada? Że było tam wiele wszy. Te wszy piły jego dobrą, słodką krew. Nic więcej nie ma do powiedzenia. Drugiego dnia, gdy Danny je śniadanie, muzyka w radio praskim nagle urywa się i rozlegają się prośby o pomoc i ratunek po angielsku i po rosyjsku. Danny wówczas mówi : ,,Tego jeszcze nigdy nie było — rewolucji zrobionej w radio, i stamtąd szerzącej się jak pożar. Kapitalny pomysł". I tak co dzień. Któregoś dnia Danny zostaje aresztowany przez patrol niemieckiego Wehrmachtu, bo się pokłócił z niemieckim oficerem. Ale wkrótce go wypuszczają. Potem melduje się bez zapału i ochoty do armii czechosłowackiej, kręci się trochę z jakąś bronią w ręku i jest świadkiem walki niemieckiego czołgu z rosyjskim. Gdy strzelanina się kończy pomaga w transporcie rannych do szpitala. Jakiś przyjaciel pokazuje mu, że jeden z rannych Rosjan ma w kieszeni wiele zegarków.

Z innym przyjacielem Danny ostrzeliwuje niemiecki czołg, i, na pytanie Rosjan i jakiegoś miejscowego komunisty, jak się nazywa, podaje im fałszywe nazwisko i fałszywy adres. Dlaczego ? ,,Ach, nie chcę żadnych orderów. Przecież to wszystko tylko lipa", powiada później jednemu z przyjaciół. Następnego dnia, 10 maja 1945, tłum torturuje i wreszcie dobija dwóch Esesów w składzie jakiegoś browaru. Danny przygląda się tej scenie. ,,Co na to powiesz?" pyta go się jakiś przyjaciel. ,,Cóż można na to powiedzieć? Ot po prostu Goya". ,,Ależ nie, Danny, w porównaniu z tym Goya to gówno". I scena kończy się na tym komentarzu.

Następnego dnia Rosjanie są nareszcie uroczyście przyjmowani i witani. Przybywają pierwsze pojazdy o konnym za przęgu. Danny monologuje z samym sobą : ,,To wszystko prze-

chodzi koło mnie. Nic to wszystko dla mnie nie znaczy. Wiedziałem, że ludzie przygotowują Rosjanom serdeczne przyjęcie, że będą wygłaszane mowy, i że ludzie będą entuzjazmować się komunizmem. Będę lojalny. Jeżeli okaże się możliwe dalej uprawiać jazz i patrzeć na ładne dziewczynki, nic nie będę miał komunizmowi do zarzucenia. Ostatecznie wszystko jest obojętne. Zostaje tylko zwierzęcy strach przed śmiercią''. Podczas gdy Danny tak rozmyśla, ludność wita Rosjan na rynku. Orkiestra odgrywa hymny rosyjski, czechosłowacki, amerykański, francuski i angielski. Wszystko to trwa bez końca. Danny mówi: ,,Hymnu chińskiego nie grają, chociaż Chińczycy są także naszymi aliantami. Widocznie muzykanci nie mają odpowiednich nut''. Potem gdy jeden z mówców woła: ,,Niech żyje Związek Sowiecki!'' — jeden z przyjaciół Danny'ego komentuje: ,,Nie zafajdaj się!'' I wreszcie ostatni dzień powieści: na rynku w Kostelec Danny i jego przyjaciele na powitanie Rosjan grają marsza jazzowego Dixieland.

Powieść Skvorecky'ego — jak na tak młodego autora — ma rzeczywiście nieoczekiwanie świetną formę, jest pasjonująca i pod pokrywką cynizmu można w niej znaleźć niekiedy zdania prawdziwie poetyckie. Powieść ta nie jest anty-ideologiczna, lecz jasno i wyraźnie a-ideologiczna. Właśnie z tego powodu jej postacie są realne, są z krwi i kości. O co więc cały ten hałas? Z powodu paru dowcipów o Rosjanach? ,,Filozofia'' tej książki nie powinna bowiem komunistów irytować: ,,Tchórze'' propagują tylko rezygnację i kapitulację przed komunizmem, i to do tego stopnia, że można nawet uważać tę książkę za rodzaj dokumentu, który wyjaśnia dlaczego w 1948 roku demokracja czechosłowacka tak szybko została zmiażdżona przez komunistów. Być może jednak, że dwa względy podnieciły komunistycznych władców. Po pierwsze, chodzi tu o autentyczne dzieło sztuki. Po tylu traktatach o ,,pozytywnym bohaterstwie'' partia może uważać za prowokację, iż żadne dzieło o pozytywnych bohaterach nie osiągnęło rangi dzieła sztuki, natomiast tego zaszczytu dostąpili właśnie negatywni ,,tchórze''. A poza tym kapitulacja Danny'ego jest mniej groźna dla zwyciężonych, niż dla zwycięzców. Jest to kapitulacja Dzielnego Wojaka Szwejka, który ze wszystkich bitew i perypetyj wojennych wychodzi jednak zdrów i cały. On — tak samo jak i ,,Tchórze'' — śmieje się ostatni...

Co prawda nie jest bardzo pochlebne dla literatury czechosłowackiej i dla przyszłości demokracji czechosłowackiej, że powodem do skandalu i gromów partyjnych był nie jakiś nowy Pasternak, ale tylko Skvorecky ze swym ,,Szwejkiem po czterdziestu latach''. Ale i pod tym względem książka ta jest też dokumentem. Dokumentem losów wiernego satelity.

*(Przekład z jęz. niemieckiego)*

*Jarosław DRESLER*

# Nowe przekłady z hiszpańskiego (dok.)

## (CZĘŚĆ TRZECIA)

Przez długie wieki Ameryka Łacińska była li tylko odbiorcą dóbr kulturalnych Metropolii i mimo chwalebnych wyjątków jak Sor Juana de la Cruz, właściwie dopiero w naszym wieku zaczął się pochód jej literatury a w tym i poezji za Ocean, do Hiszpanii i na świat cały. Dziś nie sposób mówić o współczesnej poezji nie wspominając, choćby tylko pobieżnie, o takich postaciach jak Ruben Dario, Gabriela Mistral czy Pablo Neruda.

Kubańczyk Nicolas Guillén (nie mieszać z nieco starszym i bardziej znanym poetą hiszpańskim Jorge Guillenem) jest mulatem. Urodzony w Camagüey w 1902 roku, syn senatora, zapisał się na studia prawnicze, które jednakże porzucił dla dziennikarstwa. Jego poezja jest uosobieniem zmysłowej dynamiki Karaibów. Powiedział ktoś, że nie tylko Guillén jest mulatem, ale i jego pieśń. Unamuno czuje w jego poezji ,,ducha ciała''. Wprawdzie poeta zaczął swoją twórczość jako epigon modernizmu, ale fala ,,negryzmu'' w sztuce naprowadziła go na właściwą drogę. Guillén nie musiał niewolniczo naśladować nowej mody: wystarczyło pokazać Afrokubańczyków, wśród których żył, dość było dać się ponieść własnej krwi.

Trzonem poezji Guilléna jest jej rytm. Dla niego powstają najwyszukańsze słowa-fonemy, po których jak po rusztowaniu pląsa wszechwładny rytm, porywający i urzekający. Drugim elementem jest kolor. Prosty język sprawił, że poezja ta stała się popularna wśród szerokich mas. Nie bez wpływu na twórczość Guilléna pozostał przyjazd na Kubę Lorki, który szukał namiastki swojej ojczyzny po obcym mu duchowo Nowym Jorku. Guillén za przykładem Hiszpana będzie próbował sił pisząc dramatyczne romance w stylu ,,Velorio de Papa Montero''. Mulat w pewnym stopniu podobny jest do Cygana Lorki, a przecież ten ostatni w Murzynie z Brooklyn odnalazł klucz do zrozumienia Ameryki.

W nowszym etapie twórczym znajdujemy z jednej strony nawrót do popularnej ludowej śpiewki, prostych, niefrasobliwych sonów i dziecięcych igraszek, z drugiej — naiwne marzycielstwo polityczne fetowanego gościa Związku Radzieckiego. Niemniej beztroska jego wyziera choćby z tolerancyjnego ułożenia obok siebie w książce lamentu sąsiadki, której zdechła kura i pieśni do Stalina:

*którego niech Changó strzeże i broni Ochun.*
*U twego boku ze śpiewem idą wolni ludzie :*
*Chińczyk, co oddycha płucami jak wulkan*
*Murzyn o białych oczach i brodzie ze smoły*
*Biały o oczach zielonych i zaroście z szafranu*
*Stalinie, hetmanie !*

Wybór poezji Guillena w szacie polskiej jest najnowszym dorobkiem Zofii Szleyen, autorki imponującego już szeregu tłumaczeń z hiszpańskiego (6). (Pięć wierszy Guillena ukazało się w ,,Kulturze'', Nr 9/47 w 1951 r. w przekładzie J. Łobodowskiego). Zważywszy dość specyficzne trudności poezji Guillena, tłumaczka wyszła raczej obronną ręką ze swego przedsięwzięcia. Dziwi mnie natomiast dość przypadkowy układ i wybór. Czy nie należało dać sekwencji tematycznych, a jeżeli było to trudne, to należało zachować chronologię powstania, czy co najmniej jedność utworów pochodzących z poszczególnych tomów. Wśród zamieszczonych wierszy jest szereg pozycji błahych (Epigramy) i takich, których przekłady zbyt wiele uroniły, by można je prezentować jako wiersze nieprzeciętnego poety (Gitara). Poszukiwanie rymu polskiego na miejsce hiszpańskiego asonansu zmusza tłumaczkę do niebezpiecznych pogoni, na których cierpi niewątpliwie poezja. Efekt jest często odmienny :

*Ahora si que te rompieron,*
*Papa Montero !*

*Oto dzisiaj, dziś dopiero*
*zadźgali cię, kumie Montero* (str. 15).

Bardzo to nijakie ! A kuma mógł, moim zdaniem, zastąpić tu z powodzeniem ,,ociec''. Tamże dwuwiersz :

*Sólo dos velas estan*
*quemando un poco de sombre ;*

*Dwie świece z obu stron głowy*
*przydają światła mrokowi.*

w wersji polskiej zatracił piękny obraz poetycki oryginału — świece spalające rąbek mroku. Antyamerykański poemat ,,West Indies Ltd.'' kończy się w oryginale epitafium, z którego wynika, że rzecz została napisana w roku 1934. Pominięcie tej daty stwarza wrażenie, że chodzi o współczesną antyimperialistyczną wypowiedź. Podaję w wątpliwość wierność polskiej wersji dwuwiersza :

*Escandalo de una mano*
*que nunca ignora la otra.*

*Okrzyk ręki, która woła,*
*że inna ręka jej dłużna* (str. 81).

(6) GUILLEN, Nicolas. *Trzystrunna gitara.* Tłumaczyła Zofia Szleyen. Czytelnik. Warszawa, 1957.

Wydaje mi się, że powodem jest rym do ,,jałmużna''. Czyżby nie chodziło o trawestację ewangelicznego upomnienia: ,,Niechaj nie wie prawica, co czyni lewica?'' Dla rymu też powstał inny nieudany przekład:

*y las heridas palidas sin vendas.*

*w ranach otwartych rośnie krwi malina* (str. 92)

Ta ,,malina'' jest nieudana. W ,,Głosie hiszpańskiej nadziei'' powtarza się kilkakrotnie ,,fuzja naoliwiona'' — *rifles engrasados*. Czy nie należało by tłumaczyć ,,karabin''?

Choć ukazuje się w małym nakładzie, tom wierszy Guillena jest niewątpliwie pozycją ciekawą, dorzucającą nowy fragment do bardzo dalekiej chyba od ideału, znajomości dorobku literackiego Ameryki Łacińskiej w Polsce.



Rafael Alberti, nieomal rówieśnik Lorki i jak on Andaluzyjczyk, znany jest w pierwszym rzędzie jako świetny poeta. Urodzony w 1902 w Puerto de Santa Maria (Cadiz), uczęszczał do szkół jezuickich. W 1917 r. pojechał do Madrytu jako obiecujący malarz kubista. Od 1923 r. jednakże czuje się poetą. W dwa lata później otrzymał państwową nagrodę literacką za zbiór liryków *Marinero en tierra*. Równie głośnym, a może nawet głośniejszym poza Hiszpanią, stał się tom poematów *Sobre los angeles* (1929). Świetny liryk, jak Lorca, zwrócił się ku poezji ludowej, ale równocześnie nie stronił od gongoryzmu. Choć nigdy nie był poetą statycznym, radykalna zmiana nastąpiła u niego po wydaniu tomu *Sobre los angeles*. Z poety partykularza ma ambicję zostać poetą uniwersalnym.

Od wojny domowej Alberti poświęca walory estetyczne na rzecz ideologii. W czasie pobytu w Warszawie w 1955 r. pisze cykl ballad i pieśni pt. ,,Polska wolności i pokoju'' stwierdzając w ten sposób najdobitniej zupełne niezorientowanie w sytuacji narodu, wśród którego przebywał.

Alberti, żyjący obecnie w Argentynie, oprócz poezji pisze od pewnego czasu utwory teatralne, aczkolwiek nie uzyskały one większego powodzenia. Najnowszą sztukę *Noc wojny w Prado* (7) przetłumaczyła na język polski Zofia Szleyen.

Na treść ,,akwaforty w jednym akcie'' składa się szereg scen dramatycznych, których protagonistami są postacie z płócien i rysunków Goyi, Velazqueza, Tycjana i Fra Angelico. Pomysł doskonały, niestety wykonaniu brak konsekwentnego powiązania, są sceny zupełnie nie pasujące, zawiódł smak. Całość jest apoteozą walki ludu hiszpańskiego z tyranią. Wojnę o niepodległość przyrównano do wojny domowej, milicjanci repu-

(7) ALBERTI, Rafael. *Noc wojny w Prado.* Akwaforta w jednym akcie. Przełożyła Zofia Szleyen. *Dialog,* 2, 1956, str. 60-79.

blikańscy wśród gradu pocisków i bomb, zabezpieczają zabytki sztuki w muzeum Prado. Bohaterzy Goyi gotują barykadę w poprzek głównej sali muzeum. Jednoaktówka kończy się sceną powieszenia kukieł reprezentujących królową Marię Luizę i jej kochanka Godoya.

Sztuce tej brak charakterystycznych dla Albertiego fragmentów lirycznych, świadczących o wielkiej wrażliwości autora. Rzecz w miarę makabryczna, o języku soczystym, a często wręcz sprośnym, zda się przeczyć naszemu pojęciu ludu. Bo Alberti spłyca je do sprośnego i okrutnego motłochu.

Dzięki uprzejmości tłumaczki, która uprzystępniła mi maszynopis oryginału, mogłem ocenić jego stosunek do polskiej wersji. Z. Szleyen wcale jędrnie oddała rodzajowe scenki w rodzaju takiej np.:

JEDNORĘKI A można wiedzieć, po co łazicie z tymi piszczałkami i grzechotkami po nocy, i to właśnie dzisiaj !

ZAKONNIK Widać jesteś z piekła rodem i przybywasz wprost z diabelskiej kloaki. Maszkaro nieobyczajna !

STARUCHA III. Stul gębę, świątobliwy ojczulku, bo zaraz nam zatańczysz na tonsurce, aż sukienka ci opadnie i pokażesz wstydliwe części, kiedy się dowiesz, kto z tobą rozmawia.

STARUCHA I. Kunegundo, ej, Kunegundo, zdycham z ciekawości... Brodawka mi pęknie, jeżeli się nie dowiem, kto jest ta maszkara !

STARUCHA II. Wytrzymaj jeszcze chwileczkę, Hildegardo. To zbrodnia, gdybyś straciła swój mechaty pieprzyk.

(str. 75)

Jedyną bodajże trudność nastręczyła tłumaczce piosenka, nawet w oryginale nieciekawa i trywialna. Z drobnych usterek znajdziemy małżonkę „Carlosa IV" (str. 96) zamiast Karola IV. *Disparo de arcabuz* — to nie „kula armatnia" (str. 77), ale wystrzał z muszkietu, *roble* — nie grab, ale dąb. W czterowierszu Antonia Machado na samym końcu sztuki, słowo *rompeolas* niewłaściwie oddano jako „taran". Chodzi, zdaje się, o wał ochronny, o falochron, o który nawały się rozbijają, a nie o taran, będący bronią oblężniczą, zaczepną.

Polski przekład, rzecz znamienna, ukazał się drukiem w tym samym roku, co oryginał hiszpański.



O *Statku śmierci* (8) nie będę się rozwodził. Mimo stwierdzenia wydawców, że tytuł oryginału brzmi *El barco de la muerte* wydaje mi się, że ulegli oni mistyfikacji. Zresztą zarówno o książce, jak i o jej autorze mówić trzeba z zastrzeżeniem, bo nikt właściwie nie wie na pewno kim jest Bruno Traven, względnie człowiek ukrywający się pod tym pseudonimem. Ponoć mieszka on obecnie w Meksyku, a pochodzi albo z Niemiec

(8) TRAVEN, Bruno. *Statek śmierci.* Tłumaczył Antoni Śliwiński. Czytelnik. Warszawa, 1958.

albo ze Stanów Zjednoczonych. *Statek śmierci* to powieść, która ukazała się w 1926 r. *Index translationum* podaje niemiecki jako język oryginału.

Autor *Statku śmierci* posiada niepospolity talent narracyjny choć zbyt często oscyluje pomiędzy utopijnym anarchizmem a cynizmem.

Po raz pierwszy, odkąd istnieją stocznie, zbudowano statek zgodnie z ideą komunizmu. Pomyślano o tym, że załoga statku towarowego składa się z istot ludzkich, a nie tylko z rąk roboczych.

(str. 7)

Marynarzy, po których zostały leżące bezładnie kości, zgładzono, aby zmniejszyć wydatki na utrzymanie statku i podnieść dywidendy akcjonariuszy towarzystwa.

(str. 156)

Czemu nie skasować paszportów? Nie znieść ograniczeń migracyjnych? Dlaczego nie pozwolić ludziom, by jeździli, dokąd im się podoba, na Biegun Północny czy na Biegun Południowy, do Rosji, Turcji, Stanów Zjednoczonych czy do Boliwii? Och, nie, ludzie muszą być kontrolowani. Nie mogą fruwać jak owady po świecie, na który ich wydano nie pytając o zgodę. Trzeba ludzi kontrolować przy pomocy paszportów, odbitek palców i różnych ograniczeń. A w jakim celu? Jedynie po to, by pokazać wszechpotęgę Państwa i nietykalnych jego sług, biurokratów. Biurokracja stała się wielkim i absolutnym władcą świata. Istnieje, aby ujarzmić ludzi dyscypliną, zamieniając ich w cyfry podporządkowane Państwu.

(str. 251)

Moja ojczyzna jest tam, gdzie nikt mi nie dokucza, gdzie nikt nie usiłuje dociec, kim jestem, skąd się wziąłem, dokąd chcę pójść, co myślę o wojnie, o prałatach, o komunistach; gdzie mogę robić, co mi się podoba, i wierzyć, w cokolwiek pragnę wierzyć, bylebym tylko nie zagrażał życiu, zdrowiu albo własności, uczciwie nabytej przez moich rodaków. To byłaby jedyna ojczyzna, w której warto żyć i dla której słodko umierać.

(str. 321)

Wypowiedzi jego są więc obosieczne. Jeżeli wydawcy polskiemu spodobał się morał, że służba u kapitalisty prowadzi do wyzysku i śmierci, jeżeli przejął się losem marynarza bez ojczyzny, Stanisława Kozłowskiego, zastanawiają inne ustępy, niebezpieczne, bo bijące w niesprawiedliwość i ucisk w ogóle, w nieludzkość totalitarnego państwa i bezdusznej biurokracji. Dlatego mimo cynicznych obserwacji i dłużyzn, powieść godna jest polecenia. Przekład jest gładki, tom prezentuje się zupełnie dobrze.



Nie chcę wnioskować ze stosunkowo niewielkiej ilości przekładów lat ostatnich, że zmieniła się polityka wydawnicza, skutkiem czego w pierwszym rzędzie drukować się będzie

książki bardziej opłacalne. Rozumiem, że jest to kwestia nie tylko popytu, ale także, a może przede wszystkim, podaży. Pewne przekłady sztuk, które w Kraju obecnie trudno wydać nie zdają się temu przeczyć. Należało by zatem wydawać przede wszystkim powieści, począwszy od Fernan Caballero po Camila Celę.

Zwrócono moją uwagę na znacznie lepszy poziom przekładów powojennych w porównaniu z dawnymi. Godzę się z tym najzupełniej, aczkolwiek oglądałem na emigracji zaledwie kilka starych przekładów.

Metoda jaką przyjąłem w swojej pracy jest nieco inna od metod krytyków oceniających przekłady tylko z punktu widzenia czytelnika. Jeżeli najczęściej ograniczam się do wytykania usterek, to robię to dlatego, że chcę przypomnieć, w mojej opinii, podstawową powinność tłumacza, honorowania oryginału. Zwolennicy tzw. dowolnego przekładu najczęściej nie zadają sobie trudu rozwikłania tekstu, który mają przekazać ludziom władającym innym językiem. Oceny poza-estetyczne chciałbym ograniczyć do minimum. Niestety w wielu wypadkach muszę zabierać głos w obronie nieszanowanych wartości i w imię prawdy.

Zdaję sobie sprawę z jednego poważniejszego zaniedbania: nie omówiłem dotąd nowego wydania pism św. Teresy od Jezusa i św. Jana od Krzyża opracowanego na podstawie przekładu ks. bpa H. Kossowskiego przez O. Bernarda, karmelitę bosego. Jak dotąd próby moje celem zdobycia *Życia* św. Teresy oraz poezji św. Jana od Krzyża drukowanych w Krakowie w czasie okupacji, spełzły na niczym. Jeżeli nie skompletuję całości, omówię za jakiś czas to co mam.

Dziękuję za wszystkie łaskawie przysłane mi rady i materiały. Bardzo proszę o kierowanie ew. dalszych uwag wprost na mój adres: 28 Elfort Rd., London, N. 5.

*Florian ŚMIEJA*

# "Polen"

W lipcu rb. wydawnictwo Boehlau Verlag, Koeln-Graz, wypuściło na rynek księgarski monumentalne dzieło pod tytułem „Polen". Jest to drugi tom z szeregu projektowanych podręczników akademickich historii Europy Wschodniej — pierwszym był wydany w 1954 roku tom „Jugosławia" — opracowany przez Instytut Historii i Geografii Europy Wschodniej Uniwersytetu w Tybindze, pod redakcją dyrektora tego

Instytutu i kierownika katedry historii Europy Wschodniej, profesora Wernera Markerta.

Podręcznik ten na XXXII + 829 stronach tekstu, uzupełnionego 32 mapami i 155 wykresami, łączy w usystematyzowaną całość pracę 31 autorów — opisujących historię Polski od pierwszej wojny światowej do 1958 roku. Całość została podzielona na pięć części o następujących tytułach :

I. Rzeczpospolita Polska.
II. Polska w drugiej wojnie światowej.
III. Polska po drugiej wojnie światowej.
IV. Polska nauka i kultura w XX wieku.
V. Dokumentacja.

W przedmowie redaktor stwierdza, że sploty i zazębienia historii Polski z losami Niemiec zobowiązują naukę niemiecką do rewizji dawnych zapatrywań i pojęć, oraz do ustalenia rzeczowej problematyki wzajemnych stosunków. W osobnym wprowadzeniu, zatytułowanym „Polska i Europa", profesor Markert szkicuje cały szereg nowych zagadnień, jakie wyłoniły się w ostatnim półwieczu i między innymi wylicza :

Niemal połowa polskich rodzin w ciągu ostatniego dwudziestolecia została w gwałtowny sposób przesiedlona, albo dobrowolnie porzuciła swoje siedziby.

Po gwałtownych wydarzeniach wojennych i powojennych, po wyniszczeniu Żydów w czasie hitlerowskiej okupacji, po wymuszonym przez Związek Sowiecki odgrodzeniu (*Séparation*) Polaków od Wschodnich Słowian, po olbrzymim przesunięciu państwa na zachód i wysiedleniu Niemców, — po raz pierwszy od czasów średniowiecza naród polski znalazł się w sytuacji pozbawionej symbiozy z innymi narodami. Dokonał się proces historyczny od dawna trwający na wschodzie Europy stawiając naród polski wobec nowych współzależności i warunków.

Losy obu narodów, splecione w ubiegłych pokoleniach, mimo radykalnie zmienionych warunków, ściśle wiążą się i nadal. Niemal połowa Polski znajduje się dzisiaj na terenie Rzeszy Niemieckiej z 1914 roku. Stąd sprawa niemiecka jest dla Polski tak zasadniczym problemem, jak dla Niemiec po doznanych wstrząsach i doświadczeniach polska rzeczywistość i sąsiedztwo muszą być na nowo pojęte i zdefiniowane.

Pierwszą część rozpoczyna praca heidelberskiego historyka, profesora Wernera Conze, omawiająca prawne odrodzenie państwa polskiego, dokonane aktem cesarzy Franciszka-Józefa i Wilhelma II w dniu 5 listopada 1916 roku, działalność Rady Regencyjnej i paryskiego Komitetu Narodowego, oraz powrót Piłsudskiego z Magdeburga i przejęcie władzy od Rady Regencyjnej. Rozdział ten jest właściwie skrótem obszernej książki tegoż autora, wydanej przed kilkoma miesiącami również przez Boehlau Verlag pod tytułem „Polnishe Nation und deutsche Politik im ersten Weltkrieg". Profesor Conze wykorzystał tu mało lub wcale nie znane dokumenty pozostałe po generale von Beseler, okupacyjnym gubernatorze w Warszawie w latach 1915-18. Książce tej należy się osobna recenzja.

W następnym rozdziale dr Harald Laeuen prezentuje bardzo ciekawe studium o powstaniu polskiej inteligencji, społeczeństwa, myśli państwowej, biurokracji i czwartego stanu (1).

Trzecim rozdziałem dr Hans Roos rozpoczyna serię swych pięciu opracowań: ,,Polska między wojnami", ,,Polska podczas okupacji niemieckiej", ,,Chronologia 1916-1957", ,,Skład imienny Rządów Polski 1916-1939" i ,,Biografie", obejmujące 192 nazwiska z okresu po 1914.

Drugim pod względem ilości tekstów jest profesor Gotthold Rhode, autor rozdziałów ,,Polityczny rozwój Polski w drugiej wojnie światowej", ,,Polska jako demokracja ludowa", i ,,Skład imienny rządów Polski 1939-1957", z uwzględnieniem rządów emigracyjnych.

Profesor Rhode i dr Roos łącznie wypełniają więcej niż czwartą część podręcznika.

Kapitalnym uzupełnieniem działu historycznego jest drobiazgowe zestawienie traktatów i umów państwowych, zawartych przez Polskę do wybuchu wojny i przez rządy emigracyjne do czasu cofnięcia uznania aliantów, oraz przez kolejne władze Polski komunistycznej. Tej mozolnej, ale posiadającej olbrzymią wartość podręcznikową, pracy dokonał asystent profesora Markerta, dr Dieter Geyer.

W dziale kultury i nauki XX wieku profesor Erwin Koschmieder dał zwięzły przegląd polskich tradycji naukowych i rozwoju kulturalnego Rzeczypospolitej między wojnami. Po omówieniu aktywności kulturalnej emigracji, następuje obszerny opis obecnego stanu wiedzy i badań w Polsce komunistycznej, zakończony imienną tabelą głównych wydziałów Akademii Nauk w Warszawie.

W tym samym dziale profesor Konstanty Regamey z Lozanny dał doskonały esej o muzyce polskiej, a publicysta Ludwig Zimmerer — od dłuższego czasu przebywający w Warszawie w charakterze korespondenta prasowego — ze znawstwem opisał powojenny film polski, tradycje przedwojenne i powojenne odrodzenie teatru, uzupełnione dwoma tabelami statystycznymi, oraz przedwojenne tło i obecne kierunki malarstwa, rzeźby i grafiki.

Literaturę omówił profesor Friedrich Wilhelm Neumann. Jakkolwiek podał on dużo szczegółów, mnóstwo nazwisk i sporo źródeł, to jednak specyficzny szereg pominięć pisarzy zarówno krajowych jak i emigracyjnych, szereg nieścisłości (dotyczących również ,,Kultury") i wzbudzające wątpliwości komentarze — nie stawiają tego rozdziału na równym poziomie z pozostałymi.

Rozdział ,,Żydostwo w Polsce" napisał dr habil. Franz J. Beranek, przedstawiając tło przedwojenne, cyfry i fakty okresu wojennego, oraz zwięzły opis rzeczywistości powojennej.

W pięciu rozdziałach profesorowie Hans Koch i Bertold Spuler, docent dr dr Bernhard Stasiewski i Oskar Wagner opisali kościoły katolicki, ewangelicki, prawosławny i unicki, oraz politykę rządu w stosunku do religii po roku 1945. Profesor Walter Maas na tle dawnych tradycji naszkicował obecny system szkolnictwa. Dr Oskar Eugen Guenther omówił obecne wyższe szkolnictwo i organizacje młodzieżowe, dr Fritz Exner

(1) Esej Haralda Laeuena zamieścimy w jednym z najbliższych nrów ,,Kultury".

powojenne radio i prasę, docent dr Friedrich Korkisch konstytucję i prawodawstwo Polskiej Republiki Ludowej.

Do działu historycznego należą jeszcze trzy rozdziały: ,,Niemczyzna w Polsce i jej losy w czasie i po wojnie'' — profesor Walter Kuhn; ,,Polska siła narodowa (*Volkskraft*) i przemiany ludnościowe we Wschodnich Niemczech'' — profesor Guenther Ipsen; ,,Socjalno-polityczne zagadnienia Polski na wschodnich terenach Niemiec'' — dr Hans Joachim von Koerber. Tematy te są bardzo kontrowersyjne i do tych opracowań, jak i do szkicu prof. Neumanna powrócimy jeszcze w przyszłości.

Podręcznik zawiera poza tym jedenaście rozdziałów, napisanych przez wybitnych specjalistów, omawiających zagadnienia gospodarcze. Są to opracowania, w dużym stopniu już przestarzałe.

W ostatecznej ocenie omawiany podręcznik trzeba uznać za opracowanie pionierskie, i jako takie nie pozbawione wielu przeoczeń czy omyłek, Jest to piąte powojenne dzieło piśmiennictwa niemieckiego — po ,,Polnische Tragoedie'' Haralda Laeuena, ,,Die Ostgrenze Polens'' Gottholda Rhode, ,,Polen und Europa'' Hansa Roosa, ,,Polnische Nation und deutsche Politik'' Wernera Conze — którego historyk polski nie będzie mógł pominąć.

Wydawca uznał za zbędne rozesłanie egzemplarzy recenzyjnych pismom i publicystom polskim.

*S.W. KOZŁOWSKI*

# Regionalna literatura kaszubska

*Zawiązane w okresie odwilży ,,Wydawnictwo Morskie'' opublikowało w końcówce 57 r. książkę o charakterystycznym tytule ,,Wiersze i frantówci'', zawierające drobne utwory poetyckie dr. Aleks. Majkowskiego, wybitnego działacza regionalnego Pomorza. Publikacja ta, przygotowana do druku przez mgr. Leona Roppel'a, miała zapoczątkować stały cykl wyd. pt.: ,,Biblioteka Kaszubska''. Zastrzeżenia wysunięte natychmiast przez gros literatów regionalnych, kwestionowały samą wartość tego rodzaju edycji. Wiersze jak i piosenki* (frantówki) *wyzuto z piękna gwary, stosując znormalizowaną pisownię kaszubską, narzuconą już w* 1952 *r. przez ,,Gdański Związek Literatów Polskich''. Ten wstręt do pseudo-kaszubszczyzny jak i do sui generis nowoczesnych terminów ,,Wybrzeże, Przymorze, lud przymorski'' zamiast Kaszuby i Pomorze nie znajduje oddźwięku w szerszym ogóle trzeźwo myślącej ludności wojew. gdańskiego. Przytoczony niżej list z Kraju daje świadectwo jak rażące są stosowane metody ,,unowocześniania'' literatury regionalnej.*

O ostatniej książce z dziedziny literatury kaszubskiej nie ma dotąd krytycznego omówienia prasowego. Były felietony jakby ogłaszające i rekomendujące ją, a pochodzące niezawodnie z tego samego kręgu, co wydawca, natomiast nie było i nie mogło być głosu ze strony Kaszubów samych. A tylko Kaszuba znający i język oraz potrzeby kulturalne ludu nadmorskiego, dla którego Majkowski żył i tworzył, może w sposób właściwy oceniać wartości i niewartości książeczki. Jest to „Aleksander Majkowski, Wiersze i Frantówci" w opracowaniu Leona Roppla.

Z jakimi myślami i uczuciami bierze do ręki tę książeczkę *Kaszuba* ...

Tomik wprawdzie zawiera autentyczne wiersze Majkowskiego, ale w większości utwory z okresów polskiej twórczości Majkowskiego, ... wierszy autentycznych kaszubskich jest zaledwie parę, pomijając wiersze pisane w pseudokaszubszczyźnie. — Istnieją bowiem dwojacy pisarze kaszubscy. Są pisarze z regionów starokaszubskich, z *autentyczną* kaszubszczyzną, albo przynajmniej znający ją. Do nich należy Majkowski *stary* ten co napisał „Remusa". I są pseudokaszubscy pisarze, którzy już nie władają mową ojców i nie mający szlachetnej ambicji jaką miał właśnie stary Majkowski, dojścia do kultury autentycznego języka. Lecz piszą kaszubszczyzną „ułatwioną", zaledwie czasem przypominającą kaszubskie albo zgoła czysto polskim dialektem literackim, a w każdym razie nie piszący dla Kaszubów i nie wzbogacający literatury kaszubskiej, z Genową, Karnowskim Heykem, Majkowskim etc. Niezależnie od tego są dwie kaszubszczyzny w literaturze. Autentyczna stara, piękna i bogata, choć niełatwa, którą sobie pisarz-Kaszuba, w braku kaszubskiej szkoły podstawowej i szkoły literackiej musi przyswajać, a obok niej — panosząca się pseudokaszubszczyzna, tak zwana kaszubiąca polszczyzna, która częściowo nie zasługuje nawet na miano gwary polskiej, a jest uprawiana dla łatwizny, dla odbiorcy niekaszubskiego, dla interesu, dla snobizmu, dla dodania sobie kolorytu egzotycznego i z podobnych względów ubocznych. A ponieważ Kaszubi weszli do przybytków literatury, 100 lat temu w przedstawicielu Derdowskim, który nie mógł i nie chciał być autorem kaszubskim na miarę Heykego czy Majkowskiego, dlatego dotąd nieuświadomiony czytelnik uważa mowę i pisownię Derdowskiego za prawdziwie kaszubskie, czym nie są. I choć już od 50 lat północna autentyczna kaszubszczyzna zajmuje ów przybytek literatury, nie może ona doczekać się wydania ani nabierać rumieńców. Czy ma być ona skazana na wyginięcie? — Taka jest sytuacja i problematyka w literackiej *kulturze kaszubskiej* obecnie, i taki jest poziom wydawnictwa sporządzonego przez L. Roppla.

Dla kogo ono właściwie jest? Chyba dla wąskiego kręgu inteligentów. A nie odpowiada „zamówieniu społecznemu" ze strony ludu kaszubskiego. Ten lud pragnie przede wszystkim czytać Majkowskiego „Remusa", którego nie ma. Pragnie do czytania powiastek i obrazków z kaszubskiego życia, w dobrej kaszubszczyźnie, swoich pieśni w śpiewnikach, aby się przeglądać w bogactwie swojej mowy i melodii. Ale „wiersze Majkowskiego", a to niekaszubskie? Nie jest przecież Majkowski lirykiem takiej miary, by jego wiersze *nasamprzód* musiały być na nowo wydane przed jego arcydziełem „Remusem". Obok nielicznych kaszubskich i kilku przepięknych opisów morskich w języku polskim zbiór ten zawiera sporo rzeczy nieaktualnych a także słabych, których nawet sam poeta z pewnością nie byłby wydał na nowo. Dlaczego wydano jego próby literackie i ćwiczenia stylistyczne, jakimi są jego tłumaczenia z obcych języków wzgl. wiersze monachijsko-berlińskie, a nie to, w czym Majkowski jest i *oryginalny* i *mistrzowski*? Dla kogo są wydawnictwa z funduszów społecznych: dla nielicznych szperaczy osobliwości czy dla ludu, który d...

słownie od dziesiątek lat nie czyta swojej pięknej a umiłowanej mowy w druku ?

Pierwsze zbiorowe wydanie wierszowanych utworów Majkowskiego ! Czytelnik ma prawo oczekiwać jakiegoś opracowania chronologicznego albo przynajmniej ugrupowania utworów według rozwoju w duchu poety. Zamiast tego chaotyczność chronologiczna i ani śladu linii rozwojowej. Aby zbiorek wierszy miał wygląd bardziej kaszubski, są te nagłówki w tonie kaszubskim utrzymane. — Dobrze, że szata książki kaszubska, ale jaka to kaszubszczyzna ! Zbiór ,,Wiersze i Frantówci" (po kaszubsku może byłoby ,,Wierztë ë Frańtowczy") — powinien przyczynić się do posunięcia naprzód sprawy tak ważnej jak język i pisownia czyli do uporządkowania kaszubszczyzny w mowie i w piśmie. Tymczasem p. Roppel jest znany z tego, że jest zwolennikiem ułatwionej kaszubszczyzny, że jego zasób słów kaszubskich jest nader skromny. Ignoruje gramatykę kaszubskiego języka, ustaloną jednoznacznie przez Lorentza, Genowę, Bronischa etc. W pisowni tego tomika cofa się o 100 lat do Derdowskiego, gdy problem pisowni, dziś rozstrzygnięty, jeszcze nie był zgłębiony.

Podobno Wydawnictwo Morskie chce koncentrować w swym ręku wszystkich dawnych autorów kaszubskich. Ale niech Bóg broni Kaszubów od takich wydawców, jeśli poziom ich nie będzie inny.

*RODAK Z POMORZA*

# Nadesłane nowości wydawnicze

*Biography of Books in Polish or Relating to Poland published outside Poland since September 1st*, 1939. Compiled by Janina ZABIELSKA, Mag. Phil. Deputy Librarian, The Polish Library. Vol. II: 1952-1957 and Supplement to 1939-1951 (Nr 1-4175). Str. 556. Powielacz. (Wyd. The Polish Library, London, 1959).

COTTIER (M.-M.). *L'athéisme du jeune Marx*. Ses origines hégéliennes. Pp. 384. (Ed. Librairie Philosophique J. Vrin, Paris, 1959).

REY (Sydor). *Księga rozbitków*. Str. 228. (Wyd. Czytelnik, Warszawa, 1959, cena zł. 20).

NIEBIESZCZAŃSKI (Adam). *Notatnik z podróży*. Str. 264. (Nakł. Katol. Ośr. Wyd. ,,Veritas", Londyn, lipiec 1959, cena 15 sh.).

RADZYMIŃSKA (Józefa). *Spojrzenie na brzeg*. Str. 162 (Wyd. Wydawnictwo Łódzkie, Łódź, 1959, cena zł. 12).

SZYMAŃSKI (Antoni). *Zły sąsiad*. Niemcy 1932-1939 w oświetleniu polskiego attaché wojskowego w Berlinie. Str. 204. (Nakł. Kat. Ośr. Wyd. ,,Veritas" jako tom XLIV Serii Czerwonej ,,Biblioteki Polskiej", Londyn, lipiec 1959, cena 15 sh.).

BULAS (Kazimierz) and WHITFIELD (Francis J.). *The Kościuszko Foundation Dictionary English-Polish — Polish-English. Volume I: English-Polish.* Str. 1037, (Poland's Millenium Series. Wyd. Mouton & Co, Hague 1959. Cena $ 10).

DANILEWICZOWA (Maria). *Zmienne koleje przyjaźni* (Zygmunt Krasiński i Henry Reeve). Str. 21. (Odbitka z książki zbiorowej „Krasiński Żywy", wydanej staraniem Zw. Pisarzy Polskich na Obczyźnie, B. Świderski, Londyn, 1959).

WÓJCIK (Andrzej J.). *The Teheran Conference ant the Odra-Nisa Boundary.* Str. 70. The essay prepared in fulfillment of the requirements for a Master's degree at Columbia University. (Nakładem autora, New York, 1959).

## WYCIĄG Z PROTOKÓŁU „JURY KONKURSU im. KAMILA NORWIDA W BUENOS AIRES

*z dnia* 2 *maja* 1959 (*Organizowanego przez* K.A.P.P.A.)

Sąd Konkursowy przyznał następujące nagrody:

I-a Piotr Pawluczuk (pseudonim „PAWNICZ") za lej p.t. „Polka Weselna";

II-a Zygmunt Kozłowski („FIDELIS") za akwarelt pt. „Murzynka";

III-a Karol Badura („ROMULUS) za akwarelę pt. „Pejzaż Zimowy";

IV-a Maria Seyda („HENRYK") za rzeźbę „Małgosia" (gips patynowany);

V-a Barbara Skoczylas-Nikischowa („AZTEK") za olej „Martwa Natura";

VI-a Irena Sławińska („LIMBA") za ceramikę pt. „Zaloty";

VII-a Artur Popkowski (ELISABETH") za szkic olejny pt. „Ewa";

VIII-a Alojzy Mazur („BANDERA") za olej „Widok z okna";

IX-a Jerzy Jurewicz („KRUK") za rzeźbę w „Quebracho" pt. „Fantazja na temat życia Norwida".

W y r ó ż n i e n i a :

Ludwik Wiechecki (bez pseudonimu) za akwerelę pt. „Stara Warszawa";

Czesław Czarnowski („DAL") za olej pt. „Diuny";

Nelly O'Brien de Lacy („EN") za akwarelę z Brazylii pt. „Pejzaż";

Janusz Eichler („JAN") za olej pt. „Fotograf".

Nagrody ufundowali Pierwsza ($ (pezów) 10.000) i Druga ($ 5.000) zebrane systemem składkowym wśród społeczeństwa polskiego w Argentynie. Trzecia („Nagroda Moniki"), p. Stanisław Smoliński ($ 4.000), następne: Związek Polaków „DOM POLSKI" i Sekcja b. Wojskowych w Santa Fe ($ 2.000), Związek Polaków w Argentynie ($ 2.000), Klub Polski w Bs. Aires ($ 1000), Stow. Inżynierów i Techników Polskich w Argentynie ($ 1000), Stowarzyszenie Polskich Kombatantów i Stow. Lotników Polskich w Argentynie ($ 1000).

Poza tym argentyńska fabryka „Herrelco" ofiarowała aparat elektryczny marki „Horus" do technicznego wykonywania rzeźb wartości ponad 5000 pezów, a firma „Intalador" (Józef Gil i Ska) komplet narzędzi.

# Listy do Redakcji

Londyn, 11 października 1959

Szanowny Panie Redaktorze,

Książka „*Honor i Ojczyzna*" *gen. Rómmla* tak w Kraju, jak i na emigracji stała się powodem szeregu dyskusji i poważnych kontrowersji.

Zaproszenie przez „Kulturę" *gen. Wacława Stachiewicza*, byłego Szefa Sztabu Głównego z okresu omawianego przez książkę, było najbardziej słuszne i pożądane, choć sam artykuł Generała musi budzić poważne zastrzeżenia. Wprawdzie gen. Stachiewicz zaznaczył, że „mimo zaproszenia „Kultury" długo zastanawiałem się czy mam w ogóle zabierać głos w tej sprawie", uważał bowiem, że merytorycznie i co do formy książka gen. Rómmla zwalniała go od odpowiedzi.

W moim pojęciu nie jest to stanowisko słuszne. Problematyka poruszona przez gen. Rómmla, bez względu na jej formę jest tej wagi, że wymaga odpowiedzi i to przede wszystkim od żyjących jeszcze uczestników i kierowników na najwyższym szczeblu dramatu 1939 r.

Ustalmy kilka podstawowych faktów. Gen. Rómmel w swojej książce przedstawił okres przygotowania do wojny, widziany oczyma inspektora armii, dowodzenie w czasie wojny na szczeblu dowódcy Armii Łódź, a następnie rejonu obrony Warszawy. Gen. Rómmel jest jedynym wyższym dowódcą w kampanii 1939 r., który od pierwszego dnia kampanii aż do kapitulacji Warszawy utrzymał łączność z podległymi mu wielkimi jednostkami, zachował w całości wszystkie operacyjne dokumenty dotyczące kampanii, opierając na nich swą pracę, uzyskując po kapitulacji Warszawy od nieprzyjaciela zaszczytne prawo zatrzymania bocznej broni. Ile w tym było zasługi, ile szczęścia żołnierskiego, względnie przypadku, to w obecnej dyskusji ma znaczenie drugorzędne. Gen. Rómmel od 17 września pełnił jako najstarszy walczący na terenie Kraju dowódca, faktyczne obowiązki Naczelnego Wodza. Jeżeli do tego dodamy, że Generał ma dzisiaj 70 lat, że napisał swoją książkę w obecnej rzeczywistości krajowej, że dał jej tytuł „Honor i Ojczyzna", że nie ma w niej ani jednego zwrotu wiernopoddańczego dla dzisiejszych okupantów Polski, że oddał w niej w pełni zasługę bohaterstwu i spełnieniu obowiązku przez wszystkich podległych mu żołnierzy, to sposób w jaki omówienie pracy gen. Rómmla potraktował gen. Stachiewicz jest co najmniej w swej formie krzywdzący, a merytorycznie zupełnie nieprzekonywujący.

Z całej książki gen. Stachiewicz wybrał tylko — jak sam pisze: „uwagi moje ograniczam do omówienia jednego tylko, ale szczególnie

ważnego i brzemiennego w skutki okresu — opuszczenia przez gen. Rómmla swej armii, przyjazdu do Warszawy i objęcia dowództwa grupy Armii Warszawa".

W ten sposób gen. Stachiewicz uchylił się od odpowiedzi na konkretnie postawione zarzuty przez gen. Rómmla, odnośnie przygotowania wojny przez Naczelne Dowództwo i jej prowadzenia. Można mieć również bardzo poważne zastrzeżenia, czy ,,opuszczenie przez gen. Rómmla swej armii było szczególnie ważne i brzemienne w skutki", pomijając to, że mamy dwa naświetlenia tego faktu : Jedno gen. Stachiewicza, a drugie gen. Rómmla i jego Szefa Sztabu, płk. Pragłowskiego. Co do brzemienności w skutki, to nie przeszkodziło to dywizjom wycofać się przez Puszczę Kampinowską w rejon Modlina, a gen. Rómmlowi objąć dowództwa grupy armii Warszawa. Również wersja objęcia tego dowództwa podana przez gen. Rómmla i przez gen. Stachiewicza jest różna : Gen. Stachiewicz chce przekonać czytelnika, że się w nominacji pomylił i, że to on ją zrobił. Jest to podobnie jak poprzedni fragment nieprzyjemny, ale znaczenia faktycznego i historycznego, wbrew temu co sądzi gen. Stachiewicz, nie posiadający.

Wracając do spraw bardzo poważnych zawartych w książce, pierwsza to sprawa nieprzygotowania wojny politycznie i wojskowo. Gen. Rómmel stwierdza, że *nie było planu wojny*. Gen. Stachiewicz, odnośnie wszystkich merytorycznych zarzutów gen. Rómmla, chowa się za pracę ,,Polskie Siły Zbrojne", o której pisze : ,,Zostało opracowane naukową metodą podstawowe dzieło 'POLSKIE SIŁY ZBROJNE W DRUGIEJ WOJNIE ŚWIATOWEJ, tom I. Kampania Wrześniowa' ", sugerując czytelnikowi nieznającemu tego dzieła, nie tylko jego naukowość, ale doskonałość nie dodaje jednak przy tym, że część podstawowa tego dzieła, dotycząca przygotowania do wojny, oparta była na relacji pisemnej gen. Stachiewicza i długich jego dyskusji z redaktorami i kierownikami I. tomu. Przymiotniki ,,naukowy", ,,obiektywny" w tych warunkach na pewno uważnemu czytelnikowi nie mogą się nasunąć. Dla ludzi poważnie studiujących przyczyny i przebieg naszej klęski 1939 r. jest już sprawą zupełnie jasną, że kampanię zaczęliśmy bez planu wojny, a wyłącznie z pobożnymi życzeniami, co do których również gen. Rómmel zajmuje krytyczne stanowiska.

Gen. Rómmel pisze, a jego Szef Sztabu rozwinął to szczegółowo, że pobożne życzenia w stosunku do Armii Łódź nie miały sensu, a poza tym, że były niewykonalne. Gen. Rómmel wysuwa bardzo poważny zarzut, że nie dano mu przyrzeczonych 5 wielkich jednostek i do tak niewykonalnego zadania, a że otrzymał tylko 3. Przypisuje to całkiem logicznie nieprzeprowadzeniu mobilizacji i nieukończeniu transportów koncetracyjnych.

Skarży się, że nie znał zupełnie myśli przewodniej obrony w stosunku do Niemiec, co zresztą pośrednio potwierdza gen. Stachiewicz, pisząc, że gen. Rómmel ,,wymyśla fakty i przypisuje Naczelnemu Wodzowi opinie, zamiary i decyzje... Opierając się jedynie na fragmentarycznej znajomości położenia, nie znając — sytuacji ogólnej, przesłanek i warunków na podstawie których Naczelny Wódz pobierał decyzje".

Autorytatywne stwierdzenie przez Szefa Sztabu Głównego, że przygotowanie dowódców armii do wojny z Niemcami opierać się mogło na fragmentarycznej znajomości położenia jest czymś w historii wojen tak bezprzykładne, że na wiele lat służyć ono będzie jako przykład najdalej idącej niekompetencji na szczeblu Naczelnego Dowództwa.

Gen. Rómmel stawia — moim zdaniem — zupełnie niesłuszny zarzut, że Naczelne Dowództwo nie interweniowało na jego froncie, nie kierując na jego odcinek Armii Poznań. W tym okresie Armia Poznań nie była

jeszcze gotowa, a uruchomienie jej wymagałoby szeregu dni, w których sytuacja Armii Łódź musiała się całkowicie zmienić i co się też stało. Gen. Rómmel, który znał tylko fragmentarycznie przygotowania do wojny również fragmentarycznie oceniał z kolei możliwości Naczelnego Dowództwa nie wiedział on, że Naczelne Dowództwo od pierwszego dnia wojny mogło wydawać tylko jeden rozkaz : ,,Zmykać szybko, niszcząc za sobą drogi do nowej koncentracji" i tego właśnie jedynego, najmądrzejszego rozkazu Naczelne Dowództwo nie umiało na czas wydać, pogłębiając w ten sposób wszystkie błędy, wypływające z tzw. pobożnych życzeń i związanego z nimi kordonowego rozrzucenia i podstawienia się pod zarznięcie niemieckie.

Gen. Rómmel pisze, że w sytuacji jaka się wytworzyła uważał on, że miejsce Naczelnego Wodza było przy zgrupowaniu armii Pomorze, Poznań, Łódź i ten zarzut pomija gen. Stachiewicz milczeniem. Być może, że w ten sposób Naczelne Dowództwo uratowałoby honor, nie uniknęłoby jednak Sedanu. Wreszcie, gen. Rómmel wykazuje — i moim zdaniem zupełnie słusznie — absurdalność zwrotu zaczepnego znad Bzury. Zwrot ten dał to, czego należało oczekiwać : bezcelowe zniszczenie Armii Poznań. Wycofanie w całości Armii Poznań w rejon trójkąta Modlin — Warszawa — Zachód Puszczy Kampinowskiej mógł pozwolić na poważniejsze związanie większych sił niemieckich. Zgoda Naczelnego Dowództwa na zwrot zaczepny gen. Kutrzeby jest tylko jeszcze jednym dowodem więcej, że Naczelne Dowództwo, po zaskoczeniu początkowym, nie posiadało żadnej idei co zrobić by sytuację poprawić, i żadnej wiary, że coś pozostaje do zrobienia.

Przy omawianiu książki gen. Rómmla gen. Stachiewicz zapomniał o rzeczy najważniejszej : gen. Rómmel mógł przegrać bitwę, Naczelne Dowództwo mogło przegrać wojnę, jest to wielka różnica ! Gen. Rómmel — jak już zaznaczyliśmy — być może dzięki szczęściu żołnierskiemu bitwy nie przegrał, on zresztą jedyny poza gen. Klebergiem w tej wojnie. Nikt nie może mieć wątpliwości, że Naczelne Dowództwo wojnę bezapelacyjnie w 1939 r. przegrało. Jeśli historia obciąży jakimiś przewinami gen. Rómmla, to będą one niewspółmierne do odpowiedzialności Naczelnego Dowództwa.

Książkę gen. Rómmla uważać musimy, za poważny wkład historyczny dla odtworzenia przygotowań i przebiegu kampanii 1939 r. Ewentualne błędy czy braki gen. Rómmla, to też dorobek epoki, w której przygotowywał się on do wojny.

Łączę wyrazy szacunku i poważania

*A.K. KĘDZIOR*



Londyn, 28 września, 1959 r.

Szanowny Panie Redaktorze,

Z prawdziwą przyjemnością przeczytałem w Pańskiej ,,Kulturze" nr 143 doskonałe uwagi p. Wacława A. Zbyszewskiego o ,,Voice of America".

Paroletnia, jak wywnioskowałem z tekstu, praca Autora w tej instytucji, była dlań bodajże bardziej owocna, niż również paroletni staż w naszym MSZecie. Obserwacje i sformułowania dotyczące przygotowania oraz ,,podania" programu radiowego są znakomicie przejrzyste i — jak mi się wydaje — prawie bezbłędnie trafne. To, co np. Zbyszewski napisał o spikerach, powinni sobie odczytywać, przynajmniej 2 razy dziennie,

spikerzy polskich audycyj BBC (oczywiście, poza uznaną gwiazdą spikerską — Józiem Opieńskim). Jako wieloletni, wytrwały słuchacz tych audycyj, mogę coś o tym powiedzieć.

Do Zbyszewskiego oceny programów France Un — Paris Inter i tego co napisał o wspaniale żywych pięciominutówkach Jean Noché — nic dodać, nic ująć.

Niemniej wydają mi się słuszne stwierdzenia Autora o stosunku amerykańskich ,,boss'ów'' do tzw. ,,locals''. Są w tej relacji akcenty więcej niż smutne i... raczej trudne do pojęcia.

W tym samym nr. ,,Kultury'' zupełnie znakomita ,,Podróż do Portugalii'' Tadeusza Nowakowskiego.

Korzystając z okazji, parę słów o bardzo ostatnio płodnym w pisarstwie emigracyjnym płk. dypl. Aleksandrze Pragłowskim, który w tejże Pańskiej ,,Kulturze'' ogłosił wysoce ciekawy artykuł pt. ,,Kampania Wrześniowa''. Jest ta praca b. szefa sztabu armii gen. dyw. Juliusza Rómmla, jak gdyby pendant do głośnej książki generała, wydanej w Warszawie pt. ,,Za Honor i Ojczyznę''.

Podobnie, jak przy czytaniu tej książki, czytającemu artykuł ,,Kampania Wrześniowa'' nieodparcie nasuwa się pytanie: dlaczego, widząc i wiedząc co się dzieje w GISZ'u — gdzie płk. Pragłowski zajmował wszakże wysokie i odpowiedzialne stanowisko — nie skorzystał on z bodajże najwyższej formy dopuszczalnego w takiej sytuacji protestu i nie podał się do dymisji? Świadomi t a k i e g o kroku autora, dzisiaj czytalibyśmy — tak mi się przynajmniej zdaje — ,,Kampanię Wrześniową'' z zupełnie *innym* uczuciem. Zastrzegam się: jestem cywilem i sprawy wojskowe znam tylko z wojny (jak niemal każdy mężczyzna w moim kraju). Być może, że protest w formie prośby o dymisję w naszym wojsku się nie praktykuje.

Proszę przyjąć, Szanowny Panie Redaktorze, życzliwe pozdrowienia

*Włodzimierz V. POPŁAWSKI*



Sutton Coldfield, 28.9.1959 r.

Szanowny Panie Redaktorze,

W artykule ,,Kampania Wrześniowa'' (,,Kultura'' nr. 143) pisze płk. Pragłowski: ,,Polska nie miała ani produkcji, ani zapasów sprzętu wojennego''. Nie wie on więc o tym, że w Polsce istniał wcale mocno rozbudowany, jak na nasze możliwości, przemysł wojenny. Znaczna część sprzętu, z jakim Polska w 1939 roku wkroczyła do wojny, oraz cała amunicja były produkcji polskiej. Istniały również i zapasy wojenne, niezbyt może obfite, ale na pewno wystarczające na pierwsze tygodnie wojny.

Można dyskutować na temat, czy nasz przemysł i nasze zapasy były dostateczne, ale po prostu negować ich istnienie jest dowodem tak kompletnej ignorancji, że po prostu dyskwalifikuje ona płk. Pragłowskiego, jako krytyka.

Łączę wyrazy głębokiego szacunku.

*Tadeusz FELSZTYN*

# P.E.N. CLUB A PRAWDA

(*Na marginesie zarzutów Józefa Mackiewicza*)

Poczuwam się do obowiązku odpowiedzi na wystąpienia p. Józefa Mackiewicza w sprawie pominięcia prawdy na Kongresie P.E.N. Clubów w Frankfurcie, przy jednoczesnym wystąpieniu jego z P.E.N. Clubu. Mam bowiem wrażenie, że p. Józef Mackiewicz niebezpiecznie uprościł sytuację mówiąc, że ,,P.E.N. Club wyraźnie unika przyjęcia do wiadomości powszechnie znanej prawdy o komunistycznej rzeczywistości, którą dziś zna już na pamięć byle uczniak".

Sam fakt istnienia w ramach federacji P.E.N. Clubów ośrodka pisarzy na uchodźstwie, który korzysta z pełnych praw członkowskich, jako jedyne wielonarodowe i wielojęzyczne ugrupowanie w zespole ośrodków narodowych i jednojęzycznych, jest wymownym dowodem, że P.E.N. Club prawdę o komunistycznej rzeczywistości przyjął nie tylko do wiadomości, ale że wyciągnął z niej praktyczne wnioski. Uznawanie P.E.N. Clubu Estońskiego na emigracji, Koreańskiego (Korea Południowa), dwóch centrów chińskich (Formoza i Hong-Kong) jest dalszym dowodem przeciw ogólnikowym zarzutom p. Mackiewicza.

W tyglu swoich ogólników i inwektyw utopił p. Mackiewicz piękną i odważną rolę jaką w obronie wolności i prawdy, w interesie pisarzy węgierskich przede wszystkim, odegrali np. na kongresie P.E.N. Clubów w Tokio delegaci P.E.N. Clubu z Polski. Ten polski P.E.N. obchodził niedawno 25-lecie prezesury Jana Parandowskiego, którego obecność w Frankfurcie jako honorowego wraz z Marią Dąbrowską gościa Kongresu, była jednym jeszcze przykładem, że kurtyny podziałów i dzielących ludzi przepaści nie zawsze przebiegają w literaturze tymi samymi drogami, co w polityce.

Nie mam miejsca aby punkt po punkcie przedyskutować opinię oraz oceny p. Mackiewicza. Wspomnę jednak że wbrew wrażeniu jakie wynieść można z jego listu do Przewodniczącego Kongresu P.E.N. Clubów wiele z tego, co mogło być powiedziane w Frankfurcie przeciw ,,odwieszeniu" P.E.N. Clubu węgierskiego, zawieszonego w swoich prawach na Kongresie w Tokio, zostało powiedziane w trakcie zarówno dyskusji na posiedzeniu Egzekutywy, jak i na plenum następnego dnia. Przemówienia delegata Austrii, a następnie p. George Paloczy-Horvatha jednego z kolegów uwięzionych na Węgrzech pisarzy, były głosami sumienia nie szczędzącego obecnym prawdy i przestrogi przed konsekwencjami tego posunięcia. Zostało ono mimo to przeprowadzone w głosowaniu ogólnym głównie dlatego, że większość dążyła do wyczerpania wszystkich środków groźby oraz prośby, aby pomóc uwięzionym kolegom. Nikt jednak nie mógł i nie miał prawa uważać przywrócenia P.E.N. Clubu węgierskiego do praw społeczności międzynarodowej, jako zamknięcia sprawy ani zakończenia obrachunków za postępowanie reżymu Kadara wobec pisarzy. Sprawa ta jest otwarta i będzie z pewnością przedmiotem nie tylko dalszych interwencji P.E.N. Clubów, ale jednym z naczelnych tematów obrad następnego Kongresu w Brazylii, tym bardziej, że znana już jest negatywna reakcja węgierskiego Ministra ,,Sprawiedliwości" na telegram Egzekutywy w obronie uwięzionych pisarzy.

Jak się okazuje, łatwo niestety rozdzierać szaty nad losem pisarzy w więzieniach komunistycznych, samemu mieszkając na zachodzie ; o wiele trudniej zrobić coś takiego, co by im mogło przywrócić wolność.

Poświęcenie groźbie komunistycznej większej niż dotąd uwagi ze strony pisarzy wolnego świata jest słusznym zaleceniem ze strony p. Mackiewicza.

Tym bardziej słusznym, że posiadamy dowody, iż zagadnieniu tej groźby poświęcają sporo uwagi niejedni pisarze zza żelaznej kurtyny, w Polsce, a nawet w Rosji, chociaż Rosja do organizacji P.E.N. Clubów nie należy.

P. Mackiewicz demaskuje P.E.N. Club jako platformę komunistycznych wpływów albo działania na ich korzyść, dając jednocześnie zadziwiający wzór postępowania wobec niebezpieczeństwa o którym pisze, wycofuje się bowiem z pola, na którym mógłby spotkać się lub zmierzyć ze swoimi przeciwnikami.

Przypomnę przy tej okazji, że honorowy członek londyńskiego Centrum Pisarzy na Uchodźstwie, Salvador de Madariaga, świetny pisarz i mówca, nie przyjął zaproszenia na Kongres mimo że miał być gościem honorowym w Frankfurcie, napisał natomiast list tłumaczący odmowę przyjazdu obawą, że mógłby użyć zbyt ostrych słów na potępienie rezolucji Egzekutywy za przyjęciem węgierskiego P.E.N. Clubu.

List ten odczytany został dwa razy w czasie zjazdu ku rosnącemu zirytowaniu obecnych. Irytacja wynikała z tonu listu, w którym wybitny pisarz zdawał się traktować swoich kolegów po piórze jako ludzi niezdolnych do wysłuchania ostrych uwag czy nawet potępień. Ogólna opinia tych którym aplikowano tekst tego listu w przekonaniu, że jest to silny argument przeciw przyjęciu rezolucji węgierskiej, wyrażała się w poglądzie, że jeśli p. de Madariaga ma w tej materii coś istotnego do powiedzenia, *literackim i ludzkim jego obowiązkiem* było być w Frankfurcie i wziąć udział w dyskusji, poprzedzającej głosowanie. Jeśli p. Mackiewicz uważa, że P.E.N. Club nie zna całej prawdy, albo że jej nie mówi, obowiązkiem jego jest o tę prawdę walczyć *obecnością* a nie odwracaniem się na pięcie i zatrzaśnięciem drzwi na sytuację w której ostatnie słowo nie zostało bynajmniej powiedziane.

Przykładem jak można było bronić zasad P.E.N. Clubów w związku z tymczasowymi postanowieniami odnośnie oficjalnej delegacji z Węgier była zwołana, dzięki inicjatywie Centrum Pisarzy na Uchodźstwie, konferencja prasowa w przeddzień zakończenia Kongresu. Przewodniczył Stephen Spender w asyście Ralpha Ellisona ze Stanów Zjednoczonych (Murzyna) i dr. Aziz Ahmada z Pakistanu. Zaproszenie przyjęli wszyscy korespondenci prasowi obecni z okazji Kongresu w Frankfurcie.

Zagadnienie węgierskie referowali przede wszystkim koledzy uwięzionych pisarzy Węgrów, znający je o tyle z bliska, że sami spędzili w węgierskich więzieniach po kilka lat. Mimo głosowań frankfurckich pozostają członkami P.E.N. Clubów.

Obecni byli także przedstawiciele francuskiego komitetu w obronie Tibora Dery, komitetu który w swojej dokumentacyjnej broszurze o losie pisarzy węgierskich przedrukowuje m.in. wiersz Adama Ważyka o Węgrach, uważając że najbardziej wymowne głosy w obronie wolnej twórczości odezwały się i odzywają nadal *po tamtej stronie żolaznej kurtyny.*

Różne mogą być poglądy na organizację tego typu co P.E.N. Cluby i na sposób w jaki przestrzegają one, albo reprezentują własne zasady. Trudno jednak wymagać od organizacji pisarzy aby w konfliktach naszej współczesności rozdzierających sumienia na całym świecie nie szukano drogi rozwiązań poprzez dyskusję, w której dochodzą do głosu różne racje i różne metody myślenia i gdzie może się zdarzyć przegranie bitwy o swoją interpretację prawdy, co nie znaczy bynajmniej, że trzeba dlatego poddawać się rezygnacji i uznawszy wszystko za stracone, zostawiać przeciwnikom w poglądach wolne pole i poczucie że zwyciężyli. Zastyganie w pozie protestu gdy cały świat przeżywa głębokie wstrząsy i przemiany jest na pewno najmniej skutecznym sposobem wpływania na ich przebieg.

Narodowy nasz gestykularz obfituje niestety w podobne akty zniechęcenia albo wręcz rozpaczy. Obawiam się jednak, że reakcja którą objawił swoim gestem p. Józef Mackiewicz nie służy sprawie wolności, w interesie której zdawało się że występuje w tym wypadku autor ,,Drogi do nikąd''.

*Aleksander JANTA*

◆

Londyn, 11.10.1059 r.

Szanowny Panie Redaktorze !

Witold Gombrowicz jakże słusznie wyraził zaniepokojenie obecnym stanem ,,Wiadomości''.

W swym liście Jan Roztworowski nawet nie próbuje zastanowić się nad istotą tych ciężkich zarzutów (podejrzewam, że ich po prostu nie rozumie). Krytykę zbywa igraszką. Jakżeż to typowe ! To ślizganie się po powierzchni, to brylowanie, te wtręty autobiograficzne i wycieczki osobiste, ta lawina słów, byle tylko nie odpowiedzieć rzeczowo na postawiony zarzut.

Najcharakterystyczniejsze może są wrażenia z lektury ,,Trans-Atlantyku''. Czytelnicy i współpracownicy ,,Wiadomości'' wychowują się na zasadzie, że literatura to rozrywka, kabaret, przebój, akrobacja i anegdoty (o ile możliwe sprośne) z życia pisarzy. Kiedy więc pojawia się dzieło oryginalne i ważne dostają choroby morskiej, skrętu kiszek, zawału serca, ataków ślepoty i chowają się za tuzinkowymi felietonami, które, dla dodania sobie otuchy, mianują ,,szczytem kultury literackiej''.

Łączę wyrazy prawdziwego szacunku,

*Adam CZERNIAWSKI*

◆

Paryż, dnia 12.10.59.

Szanowny Panie Redaktorze,

Łudziłem się, że uda mi się utrzymać chociaż jedną oryginalną cechę, która by mnie wyróżniła spośród rzeszy Rodaków a mianowicie, że nigdy nie będę pisał listów do Redakcji. Tymczasem okazuje się, reguła ta wyjątków nie znosi i list p. St. Szwajcera w numerze 9/143 ,,Kultury'' zmusza mnie do małego sprostowania a mianowicie :

Nie jestem wydawcą jego książki pt. ,,PLAN X''. Książka ta ukazała się nakładem autora. ,,Libella'' przyjęła ją do sprzedaży komisowej. Na przeszkodzie do jej sprzedaży stoi wyłącznie brak amatorów.

Pan redaktor Giedroyc mógłby w tej samej mierze zabronić sprzedaży ,,Planu X'' co p. Szwajcer sprzedaży ,,Kultury''.

Łączę wyrazy szczerego szacunku.

*K. ROMANOWICZ*
Dyrektor Księgarni ,,Libella''

Monachium, 30 września 1959r.

Szanowny Panie Redaktorze,

Gdy ukazała się moja książka „Rok złych wróżb" miałem nadzieję, że wywoła nie tylko oceny krytyczne, lecz uzupełnienia faktów, które na gorąco notowałem przed laty. Istotnie, ukazało się zarówno w prasie emigracyjnej jak krajowej sporo recenzji i głosów o książce. Nie zwykłem polemizować z recenzentami. Ale tym razem — jeśli Pan Redaktor pozwoli — chciałbym kiedyś odpowiedzieć na łamach „Kultury" moim krytykom krajowym, zwłaszcza niektórym.

We wrześniowym numerze „Kultury" ukazały się doskonałe wspomnienia Stanisława Sępa-Szarzyńskiego pod tytułem „Trop legendy". Tym cenniejsze, że napisał je jeden z czynnych uczestników tak zwanego „podziemia londyńskiego", które skupiało w swych szeregach co gorętsze elementy, opozycyjnie nastrojone wobec generała Sikorskiego i jego otoczenia. Cieszyłbym się gdyby „Trop legendy" zachęcił innych uczestników tego opozycyjnego ruchu do napisania wspomnień. Suma ich stworzyłaby ciekawą dokumentację dla badaczy wojennego okresu naszych dziejów emigracyjnych.

Łączę wyrazy szacunku i uścisk dłoni.

*Tadeusz* KATELBACH

◆

## ERRATA

W książce prof. Wacława LEDNICKIEGO pt. *Glossy Krasińskiego do apologetyki rosyjskiej*, która ukazała się w ub. miesiącu jako tom XLV Biblioteki „Kultury" zauważone zostały następujące pomyłki, które niniejszym prostujemy:

Na str. 8, wiersz 14 od góry — skreślić słowa „tylko te".

Na str. 19, wiersz 14 od góry — zamiast: granicy rosyjsko-niemieckiej winno być *„granicy francusko-niemieckiej"*.

Na str. 35, wiersze 21 i 22 od góry — zamiast „Wszystko, co ma się skończy się tak" — Winno być: *„Wszystko, co ma się skończyć kończy się tak"*.

Londyński korespondent „Kultury": Juliusz MIEROSZEWSKI.
11 Gainsborough Road, London, W.4. — Telefon: CHIswick 1860.

*Cena ogłoszeń: cała strona* 20.000 frs., 1/2 *strony* 10.000 frs.
(*w tekście* + 50%; *okładka* + 100%).

*Wydawca:* Edition et Librairie „LIBELLA",
12, rue St-Louis-en-l'Ile, Paris (4e)

*Directeur-gérant:* Mme Christiane Karasiewicz.
*Dépôt légal:* 4 *trimestre* 1959

**KULTURA**

REDAKTOR : **JERZY GIEDROYC**
Adres Redakcji : 91, **Av. de Poissy, Maisons-Laffitte (S.-et-O.)**
Telefon : 962 19-04

| PRZEDSTAWICIELSTWA | Egz. poj. | Prenumerata 1/2-roczna | Roczna |
|---|---|---|---|
| **AFRYKA POLUDNIOWA : Janusz Kruszynski,** 54, 15th ., Parkhurst, Johannesburg | 3 sh. 9 d. | 21 sh. | 42 sh. |
| **ARGENTYNA : Tadeusz Dabrowski,** « Libreria Polaca », errano 2076, Buenos Aires | 39 pesos | 234 pesos | 468 pesos |
| **AUSTRALIA : « Vistula » (Australia) PTY Ltd.,** Daking ouse, Rawson Place, Sydney | 5 sh. (a) | £.A.1.7.6. | £.A.2.12.6 |
| **BELGIA I KONGO BELG. : Janina Korab Brzozowska-saky,** 19, Square Sainctelette, app. 2, Bruxelles, Nr onta pocztowego 7315-20 | 35 frb. | 180 frb. | 320 frb. |
| **BRAZYLIA** : Prenumeraty przyjmuja : **Julia Barcinska,** Itaipava 101 (J. Botanico), Rio de Janeiro; **Zofia ietlinska,** Av. Batel 1514, Curitiba Parana; **Jadwiga Swirska,** rua Maranhao 213, Sao Paulo | | **4 dol.** am. | **6 dol.** am. |
| **BRYT. AFRYKA WSCHOD. (Kenya, Tanganyka, Uganda), Roman Krolikowski,** POBOX 5979, Nairobi, Kenya | **3 sh. 9 d.** | **21 sh.** | **42 sh.** |
| **FRANCJA : « Libella »,** 12, r. St-Louis-en-l'Ile, Paris-4 | **250 fr.** | **1.300 fr.** | **2.600 fr.** |
| **HOLANDIA : T. Szpilczynski,** Ruysdaelkade 5, msterdam-Z, Tel. : 716080. Nr Konta pocz. 13500 — o.v.S. 6538 | **2 fl. hol.** | **12 fl. hol.** | **24 fl. hol** |
| **KANADA : M. Jaxa-Debicka,** 221 Howard Park Av., oronto 3, Ont. lub c/o **Polish Voice,** 1089 Queen St. , Toronto Ont.; **K. Krakowska,** 3445 Marlowe Av., .D. de G., Montreal/Queb., Tél. : HU 8-5224; **H.R. Ra-omski,** 107, Rose Park Drive, Toronto/Ont. Tél. : HY-329; **Vatra Trade,** 273 1/2 Selkirk Av., Winnipeg 4, an.; **« Zwiazkowiec »,** 1475 Queen St. W., Toronto 3, nt., Tél. : LE 1-2491; **Roman J. Sas-Babczynski,** 64 dian Rd., Toronto 3, Ont., Tél. : LE 4-1407 | 75 cent. | 4 dol. | 6 dol. |
| **MEKSYK : Victor Stanislawski,** Av. Libertad 1350, p. 1, Guadalajara, Jal. Tél. : 49855. | 75 cent. | 4 dol. | 6 dol. |
| **NIEMCY : St. Mikiciuk,** (13b) München 45, Gablon-rstr. 7/1 | 2,50 DM | 13,50 DM | 25 DM |
| **NORWEGIA : Br. Lubinski,** Moss. Kongesgt. 2 | 3 sh. 9 d. | 21 sh. | 42 sh |
| **SZWAJCARIA : Maria Wasung,** 6, rue des Lilas, enève. Tél. : 33 34 20, Nr konta poczt. 1.14431 | **2,50 fr. s.** | 13,50 fr. s. | 25 fr. s |
| **SZWECJA : Red. Norbert Zaba,** Kallskärsgatan 3/IV ockholm | | 18 kor. | 33 kor |
| **U.S.A. : W. Bienkowski,** « Gryf Publ. », 296 Sheridan ., Albany, N.Y.; **S. Dobczynski, Alma Shipping Co,** 1 St. Marks Pl., New York 9, N.Y.; **L. Dudarew ssetynski,** 670-47 street, Brooklyn 20, N.Y.; **S. ziarczykowski,** 4009 W., 23rd St., Los Angeles 18, Cal.; **.K. Dziewanowski,** 51 Reservoir St., Cambridge 38, ass.; **T. Konopacki,** 1253 Hathaway Av., Cleveland 7, io. Tel. LA-1.2305; **Ch. M. Kretowicz,** 2109 Robin-od Av., Toledo 2, Ohio; **V.B. Kwast,** 376 Wallingford rrace, Union, N.J.; **A. Pleszczynski,** 2025 Monterey . Santa Barbara, Calif.; **Polish Amer. Book Co,** 36 Milwaukee Av., Chicago 22, Ill.; **The Polish Book porting Co, Inc.,** 38 Union Sq., New York 3, N.Y.; **Posyniak,** 595 Fillmore Av., Buffalo 12, N.Y.; **Praca,** 19 Memphis St., Philadelphia 25, Pa.; **K. Trojanowski** 7932 Van Dyke, Detroit 34 Mich. Tél. T W 2.0890. | 75 cent. | 4 dol. | 6 dol |
| **W. BRYTANIA : « Gryf »** Publication Ltd., 169-171, attersea Church Road, London, S.W.11 | 3 sh. 9 d. | 21 sh. | 42 sh. |
| **WLOCHY : Aleksander J. Mikucki,** Viale Parioli 124, t 12, Roma. Tél. : 87-10-27 | 300 lires | 1.750 lires | 3.000 lires |

W krajach niewymienionych prenumerata jak we Francji, plus koszty porta 200 frs półrocznie i 400 frs rocznie Przesyłka pojedyńczego numeru : 35 frs.

Należności we Francji wpłacać można przekazem pocztowym na adres :

Jerzy GIEDROYC, 91, **Avenue de Poissy, Maisons-Laffitte (S.-et-O.)**
C.C.P. PARIS 7585-94

Imprimerie RICHARD,
24, rue Stéphenson, Paris (XVIIIe).

**Cena 250 frs.**